

*Piękne do bólu. Furie uwiodły mnie.*

LAUREN KATE  
autorka *Upadłych*

# FURIE

ELIZABETH MILES



# *Miles Elizabeth*

## *Furie 01*

### *Furie*

*Furie...*

*Mityczne boginie zemsty.*

*Nieubłagane, okrutne, bezlitosne.*

*Przybywają na ziemię z ciemności podziemnego świata. A wtedy nic nie jest w stanie przebłagać ich gniewu...*

*W Ascension zaczęły się ferie. Pada śnieg, wszystko jest takie piękne i spokojne. No i szykują się odlotowe imprezy.*

*Lecz nie wszyscy cieszą się ze świąt.*

*Emily właśnie się zakochała, ale wcale nie jest szczęśliwa.*

*Chase, jej kumpel z klasy, też ma swoje problemy – w domu i w szkole. I straszny sekret do ukrycia.*

*Nagle w Ascension zjawiają się trzy dziewczyny – trzy piękne tajemnicze dziewczyny. Sekśowne i niesamowite. Każdy chłopak traci dla nich głowę. Każda dziewczyna chciałaby wyglądać jak one.*

*Chase i Emily też są nimi zafascynowani, zwłaszcza Chase. Dopóki nie odkryją, kim są trzy nieznajome i po co zjawily się w Ascension. I co oznacza pozostawiany przez nie kwiat – przepiękny storczyk o płatkach w kolorze krwistej czerwieni...*

## Prolog

Na wiadukcie nad autostradą dziewczyna ścisnęła barierkę. Niemal się pośliznęła, manewrując na wąskim występie, na moment ogarnęła ją panika.

Wiał mocny wiatr. Niżej płynął warkoczący strumień samochodów. Miała zziębnięte dłonie, drętwiały jej palce. Złoty wisiołek w kształcie węża połyskiwał na jej dekolcie nawet w ciemności. Wszystko wydawało się takie mgliste - widok przed jej oczami, jej myśli. Była o krok od skoku. Czuła pochłaniającą ją ciemność.

Skoczyła. Leciała. Spadała.

Przemknęło jej przez myśl, że nie ma już odwrotu.

Ścisnęła ją w płucach, nie mogła oddychać. Lodowate powietrze smagało jej przerażone ciało.

Chwytała rękami nic. Chwytała rękami nic.

Krzyknęła.

## **Akt 1**

Wniebowstąpienie

lub

Impreza w Ascension

## Rozdział 1

Winters stała przed lustrem w swojej sypialni, owinięta puszystym białym ręcznikiem, usiłując pozbyć się kołtuna ze swoich wilgotnych ciemnych włosów.

Było cicho, tylko z kaloryfera obok szafy dobiegało jak zwykle stukanie - kiedy była dzieckiem, ten dźwięk nie pozwalał jej zasnąć. Wyobrażała sobie starą czarownicę, próbującą wydostać się ze ściany. Ale zdążyła do tego przywyknąć. Tak jak do małego pieprzyka nad prawą brwią - miała go od urodzenia i zwracała na niego uwagę tylko wtedy, gdy ktoś inny powiedział coś na ten temat. Zach McCord, na przykład. W zeszłym tygodniu, na naukach o Ziemi, którymi nikt się nie przejmował, nachylił się do niej, żeby zerknąć w jej test. Potem spojrzał jej w oczy i dotknął jej brwi. „Ładny pieprzyk”, powiedział i odwrócił się, a ją przeszedł dreszcz.

Łup!

Kątem oka Em zobaczyła, jak coś przeleciało za oknem. Kiedy odwróciła się, żeby spojrzeć, usłyszała kolejne głuchoe walnięcie.

Owinięła się ciaśniej ręcznikiem, z bijącym mocno sercem, bo w głowie zaroilo się jej od myśli o włamywaczach i mordercach. Nasłuchiwała przez chwilę, ale nic więcej nie usłyszała. Ściskając w garści plastikowy grzebień, podeszła do okna, żeby wyjrzeć. Biały śnieg, pokrywający ogródek i drogę prowadzącą do cichej ulicy, lśnił w świetle padającym z ganku.

Oczywiście, że nikt nie usiłował się włamać, zapewniła sama siebie. Opuściła grzebień z zawstydzonym uśmiechem - co jej w ogóle przyszło do głowy, żeby jako broń wybrać akurat grzebień?

W Ascension<sup>1</sup> nie było włamań, a już na pewno nie w tej części miasta. To musiał być śnieg, który spadł ze starego dębu obok domu.

Ledwo jej serce się uspokoiło, rozległo się pikanie komunikatora, zupełnie jak budzik: dostała sześć wiadomości, jedną po drugiej.

Em westchnęła i podeszła do laptopa, leżącego na łóżku, pomiędzy książkami i papierami. Nie cierpiała uczyć się przy biurku w rogu pokoju - używała go głównie do składowania ciuchów. Obecnie prawie nie było go widać spod stosu szali, sukienek i sweterków.

„Gabs: Em? Jesteś?”

Gabs: Eee... hej?

Gabs: OK, słuchaj, szykuję się i mam pytanko, włosy spięte czy rozpuszczone?

Gabs: Emmm! Obiecałaś pomóc! Poza tym jestem rozdarta pomiędzy niebieską sukienką z dzianiny (z krótkimi rękawami) a nowymi džinsami i różowym topem... Jak myślisz? I nie mogę znaleźć mojego czarnego kardiganu - masz go?

Gabs: Podwiezie cię Szofer czy mamy wpaść po ciebie?

Gabs: Chyba włożę sukienkę. Żyjesz???"

- Włożę dzinsy i czarną bluzkę, jeśli jesteś ciekawa, Gabs -mruknęła Em. Odsunęła swoją ulubioną maskotkę, zebra o imieniu Cordy, i usadowiła się na łóżku, żeby odpisać.

Zach McCord wygrał dla niej Cordy'ego w zeszłe wakacje, kiedy Em ze swoją najlepszą przyjaciółką Gabby Dove wybrały się do wesołego miasteczka. Zatrzymał się przy jednej z tych maszyn, w których za pomocą wielkiej metalowej łapy starasz się uchwycić pluszaka. Chłopak musiał być wyjątkowo utalentowany, bo udało mu się pochwycić dwie nagrody: różowego misia i zebra.

---

<sup>1</sup>Ascension - dosłowne tłumaczenie nazwy miasteczka to Wniebowstąpienie (przyp. red.).

Zach rzucił zebra Em. „Fajna - powiedział. - Inna i fajna. Jak ty”. Przez resztę dnia upajała się jego słowami, a Cordy'ego już pierwszej nocy wzięła ze sobą do łóżka. Od tej pory pluszowa zebra często okazywała się lepszym słuchaczem od kogokolwiek z ludzi.

Oczywiście Zach dał różowego misia Gabby, która zapiszczała i cmoknęła go głośno w policzek.

Wszystko jak być powinno. Bo Zach był chłopakiem Gabby.

Napisała do Gaby: „Sorki, brałam prysznic. Tak, JD mnie podrzuci. Wydaje mi się, że zostawiłaś swój kardigan w szafce w przebieralni”. Gabs słynęła z tego, że trzymała tam tysiące zapasowych ciuchów „na wszelki wypadek”.

Kręcąc głową, Em wysłała kolejną wiadomość:

„Myślę, że sukienka to dobry pomysł. I rozpuść włosy. W końcu to impreza!”

Kiedy odwróciła się po majtki i stanik, znowu rozległo się pikanie.

„Piii: O, jesteś! Okej, czyli włosy rozpuszczone. Nawet dobrze dziś wyglądają.

Piii: Myślałam nad włożeniem tego nowego naszyjnika od mamy. Myślisz, że to by była przesada?”

Em parsknęła, odpisując:

„Gabs, ja też muszę się wyszykować! Naszyjnik będzie okej. Na razie!”

Czasami trzeba być stanowczą.

Wyciągnęła z komody czarny top, wyjęła z szafy obcisłe džinsy i spojrzała z powrotem w lustro, za które były zatknięte pocztówki, fotki i karteczki z notatkami. Na większości fotek były ona i Gabby. Wesoła, energiczna, z idealnymi blond lokami (dzięki jej codziennym obsesyjnym sesjom z lokówką), Gabby była szkolną gwiazdą. Tak jak i jej mama, reporterka od pogody, zawsze świetnie wyglądała i roztaczała wokół siebie aurę optymizmu. Bracia futboliści utorowali jej drogę do popularności swoimi trofeami sportowymi i koronami królów balu. Em też na tym skorzystała. Już w pierwszej klasie ona i Gabby weszły do szkolnej elity,

były zapraszane na imprezy starszych roczników i flirtowały ze starszymi chłopakami. Będąc pierwszoklasistką, Gabby została wybrana do Homecoming Court<sup>2</sup>, co było zaszczytem teoretycznie dostępnym dla wszystkich niezależnie od wieku, ale do tej pory nieformalnie zarezerwowanym dla trzecio- i czwartoklasistów. A w zeszłym roku dzięki pomysłom Em prowadzenie kroniki rocznika stało się naprawdę fajnym zajęciem - postawiła na zbieranie takich rzeczy jak bilety, paragony, niepozowane zdjęcia, skrawki notatek i wypracowań, zamieniając nudną kronikę w album z wycinkami. Gabby odpowiadała za layout, Em układała dowcipne podpisy. Trzeci rok szkoły płynął im dokładnie tak, jak to sobie wyobrażały: chodziły na wszystkie imprezy, na jakie miały ochotę, przygotowywały się do egzaminu SAT, krótko mówiąc: ostro bawiły się i ostro pracowały (Em czasami przypominała Gabby o obowiązkach, a Gabby czasami przypominała Em o rozrywce). Siedziały w dobrym końcu stołówki i parkowały na najlepszych miejscach na parkingu od frontu. Jeśli chodzi o tegoroczną kronikę, było niemal pewne, że Gabby uzyska tytuł Najfajniejszej Trzecioklasistki, podczas gdy Em miała duże szanse zostać Skazaną na Sukces. Tylko w czym? -zastanawiała się czasem Em. Tworzyły paczkę z Fioną Marcus i Lauren Hobart, znały się od zawsze, a także z Jenną Berg, która przeprowadziła się do Ascension zaledwie parę lat temu, ale od razu znalazła z nimi wspólny język. Jednak w szkole było wiadomo, że to Gabs i Em kręciły wszystkim. Prawdziwe papużki nierozłączki. Jednak ostatnio Em czuła się bardziej jak osobista asystentka i stylistka Gabby niż jej pokrewna dusza. W ostatnich tygodniach Gabs nawijała głównie o ciuchach, Zachu i Wiosennym Balu - do którego było jeszcze ponad trzy miesiące. Dzisiaj rano zapytała Em, czy mogłaby pogadać z Żakiem o jej prezencie

---

<sup>2</sup>W Stanach Zjednoczonych coroczna tradycja wybierania grupy najlepszych i najbardziej popularnych uczniów, którzy będą w oficjalnych sytuacjach reprezentować szkołę (przyp. red.).



świętecznym, i podsunęła listę pięciu dopuszczalnych prezentów, z której powinien skorzystać: 1. błękitny szalik, widziała go na stronie Maintenance, jej ulubionego sklepu z Bostonu; 2. grawerowany iPod Nano, przydałby się jej podczas biegania; 3. bilety na przedstawienie Cirque du Soleil - wiosną mają przyjechać do Portland; 4. szczeniaczek; 5. romantyczny, potajemny wypad do domku jego ojczyma na wybrzeżu.

Gabby czasami chyba zapominała, że nie wszyscy mają tak idealne życie jak ona.

Jasne, ta dziewczyna miała też całe mnóstwo zalet. To jedyna osoba, z którą Em chciała być, kiedy miała beznadziejny humor. Idealna kumpelka na imprezę albo żeby zrobić komuś kawał, albo na szaloną eskapadę w środku nocy. I naprawdę dobra przyjaciółka. Kiedyś, w szóstej klasie, Em podeszła do Adama Dunna na szkolnym dziedzińcu i wyznała, że go lubi, a on kazał jej spadać. Gabby upiekła potem całą blaszkę ciasta z lukrem na wierzchu, na którym ułożyła ze skittlesów napis „Dzień D”. Zaśmiewając się, zjadły je co do okruszka, zamieniając Dzień Dunna w święto. Cała Gabby. Była jak słoneczny dzień, ciasto truskawkowe i bitwa na śnieżki w jednym.

Ale czasem bywało to wyczerpujące.

Em wpatrywała się w swoje kościste kolana i długie, falujące, niemal czarne włosy, czując się bardziej jak Morticia Ad-dams niż uczestniczka *America's Next Top Model*. Bywały dni, że doceniała swoją figurę tancerki, ale dziś żałowała, że nie ma stanika z push-upem.

Piii... Piii... Piii. Co znowu?

„Em. Przygotowałam coś dla ciebie. Już przesyłam plik”.

Niebieski pasek robił się coraz dłuższy, aż wreszcie plik się załadował i w media playerze pojawiła się „Specjalna muza dla Em”.

Gabby napisała: „Na wypadek, gdybyś potrzebowała małego dopingu, zrobiłam ci składankę. Ale obiecaj: jak tylko ostatnia piosenka z playlisty się skończy, wychodzisz z domu”.

Em przeleciała wzrokiem tytuły piosenek. Idealny zestaw. Trochę starych piosenek Britney i Beyonce, do tego covery kawałków z musicali - Gabby dobrze wiedziała, że Em je uwielbia.

Zastanawiała się właśnie nad butami, nucąc pod nosem *Life is a cabaret*, kiedy z dołu dobiegły głosy rodziców. Kolejna cecha charakterystyczna starych grzejników - wydawało się, że lepiej rozprowadzały po domu głosy niż ciepło. Co prawda nie rozumiała wszystkiego, co mówili, udawało się jej wyłowić tylko pojedyncze słowa, ale dobre i to.

Rodzice zaczęli ze sobą chodzić, kiedy mieli po szesnaście lat! Kiedy Em o tym myślała, przechodziły ją ciarki. Miała teraz tyle lat, ile oni, gdy się poznali. Nie wyobrażała sobie rozmawiania z tą samą osobą przez dwadzieścia lat, ale mama i tata nie sprawiali wrażenia, jakby mieli siebie dość. Poznali się podczas wyjazdu na narty, w którym brali udział uczniowie z różnych szkół. Tamtego dnia mama Em włożyła dzierganą fioletową czapkę z dwoma niebieskimi pomponami na górze. Emily uwielbiała nabijać się z niej, że jako nastolatka miała najwyraźniej niesamowite wyczucie stylu. Po południu okazało się, że jeden pompon się zgubił. Połowa chłopaków z wycieczki go szukała, ale ostatecznie mama sama go wytropiła. Kiedy tata zdjął kurtkę w schronisku, mama dostrzegła zaginiony pompon w jego kapturze.

„Od razu między nami zaiskrzyło - mówili zawsze, puszczając oczko. - Wiesz, o co chodzi". Ale Em nie wiedziała. Nigdy nie poczuła żadnego iskrzenia ani nie miała poczucia, że spotkała swoje przeznaczenie. Wszystko, czego doświadczyła, to niezdarne pocałunki z chłopakami, którzy nie wiedzieli, co zrobić z rękoma. Nigdy nie było tak, żeby spojrzała któremuś w oczy i po prostu wiedziała.

W każdym razie żadnemu chłopakowi, z którym chodzenie byłoby możliwe. Stąd tytuł wiersza, dzięki któremu wygrała w regionalnym konkursie Blue Pen Award: *Nieosiągalne*.

Łup! Wzdrygnęła się przestraszona, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że to śnieżka uderzyła w okno jej sypialni. Kolejna śnieżka wyrwała ją z rozmyślań - czas zbierać się na imprezę. Jej osobisty kierowca od jakiegoś czasu w ten mało subtelny sposób informował ją, że już na nią czeka.

Zamknęła laptop, wciągnęła bluzkę i pokicała do okna, jednocześnie wpychając prawą stopę do wysokiego botka.

- Pięć minut - mruknęła, pokazując pięć palców JD Foun-towi, który stał pod jej oknem. Uśmiechał się, odsuwając sprzed twarzy gałąź drzewa. JD zawsze był strasznie wysoki - pamiętała, jak w czwartej klasie pani Milliken, szkolna pielęgniarka, klepnęła go w plecy i ryknęła: „Kontrola postawy!”, bo garbił się, żeby aż tak bardzo się nie wyróżniać.

Teraz miał metr dziewięćdziesiąt i stał normalnie, nie przejmując się już, co inni sobie myślą. Jakby na potwierdzenie tego JD rozpiął marynarską kurtkę, chwając się swoim strojem: spodnie materiałowe, kamizelka, fioletowa koszula. Em uśmiechnęła się mimowolnie i pokręciła głową, zastanawiając się nad śmiałym stylem JD. Nie krył się ze swoimi poglądami - uważał, że to niesprawiedliwe, żeby dziewczyny mogły bawić się modą, a chłopcy byli skazani jedynie na dzinsy i T-shirty. W którymś momencie ona i Gabby zaczęły nazywać go „Szoferem” - oczywiście za jego plecami - bo idealnie sprawdzał się jako kierowca. Nie był zapraszany na większość imprez, ale zawsze chętnie podwoził Em. Em była pewna, że po prostu chce mieć powód do wyjścia z domu w weekend, i choć był dziwakiem, którego znała od pieluch, musiała przyznać, że nawet lubiła jego towarzystwo.

W odpowiedzi na jej pięć palców JD pomachał i pokazał uniesione kciuki. Był przyzwyczajony do czekania. Fountowie od zawsze byli sąsiadami Wintersów, więc miał trochę czasu, by przywyknąć. Zanim Em zrobiła prawko, JD podwoził ją do szkoły; po tym jak opuścili pierwszą lekcję przez cztery dni z rzędu, zagroził, że będzie chodziła pieszo.

JD ruszył do samochodu tanecznym krokiem, wiedząc, że Em patrzy. Wskoczył do swojego poobijanego volva, a Em nadal stała przy oknie, wpatrując się jak zahipnotyzowana w śnieg, który właśnie zaczął padać. Choć spędziła całe swoje życie w Maine, nigdy nie miała dosyć zimy.

Uwielbiała wygląd ulic po śnieżycy -wszystkie domy przykrywały śniegowe czapy, przypominające trochę bezy na cieście. Patrzyła urzeczona na płatki śniegowe, dopóki wycie syren w oddali nie przywróciło jej do rzeczywistości.

Zasznurowała buty, pociągnęła usta błyszczkiem, założyła włosy za uszy - rzadko z nimi robiła coś więcej - i chwyciła swoją torbę. Ostatni raz przejrzała się w lustrze, w pełni świadoma, że całe to szykowanie było z myślą tylko o jednej osobie.

Z każdym krokiem na dół coraz wyraźniej słyszała rodziców. Znowu rozmawiali o pracy: czy kofeina prowadzi do zakrzepicy. Jak na ludzi, którzy nie zorientowaliby się, gdyby ich córka miała złamane serce, wykazywali irytująco dużą troskę o stan serc innych ludzi.

- Wychodzę na imprezę - oznajmiła, wtykając głowę do kuchni. Rodzice stali przy wyspie kuchennej z kieliszkami czerwonego wina w dłoniach, między nimi znajdował się półmisek z serami. Sprawiali wrażenie zaskoczonych jej widokiem. - Impreza u lana Minstera. Jadę z JD.

- Okej, skarbie-rzuciła mama. ,

- Bądź ostrożna, kochanie - dodał tata. Stał obok piekarnika, plecami do niej, a jego fartuch lekarski wisiał na oparciu jednego ze stołków. Mama stała tak blisko niego, że ich biodra się dotykały.

Em jeszcze nie wyszła, a oni już wrócili do przerwanej rozmowy.

Przewracając oczami, wciągnęła płaszcz i wyszła na dwór, kierując się do wozu JD. Zastanawiała się, czy do rodziców w ogóle dotarło, co powiedziała. I czy ktokolwiek, patrząc na nią, naprawdę ją dostrzega.

## Rozdział 2

„Ruszam za 15 min. Do zoba na miejscu”.

Chase Singer wysłał esemes do Zacha i ostrożnie schował swoją nową nokię (wcześniejszy prezent gwiazdkowy od mamy, na który tak właściwie nie było ich stać) do tylnej kieszeni dżinsów.

Co roku, tuż przed przerwą świąteczną, któryś z uczniów ostatniej klasy Ascension High School urządzał imprezę. Po

części była to impreza świąteczna, po części z okazji półmetka roku szkolnego. Było to wydarzenie, o którym później krążyły legendy, rozmawiano o nim jeszcze sporo czasu. W tym roku impreza była u lana Minstera, którego rodzice wyjechali na drugi miesiąc miodowy.

Zabrzęczała komórka Chase'a, wyciągnął ją z kieszeni. Nowa wiadomość od Lindsay Peters:

„Mogę wpaść na dzisiejszą imprezę?”

Chase nie odpowiedział. Spotykał się z Lindsay, trzeciokla-sistką z pobliskiej Trinity High, od paru tygodni. Poznali się na imprezie po meczu i z początku mu się nawet podobała. Sama przyjeżdżała, żeby się z nim spotkać, i nie miała zbyt wiele wymagań. Ale teraz był już znudzony. Niezłe kształty - dopóki nie zdjęła push-upa - niski głos i szeroki uśmiech. Ale za mocno się malowała i za głośno śmiała, nawet gdy jego żarty nie były aż tak zabawne. Nawet gdy nie starał się być zabawny. Jakieś dwa tygodnie temu opowiadał jej o niedawno obejrzanym dokumencie

o owadach, a ona myślała, że streszczał jej fabułę filmu science fiction. Poza tym jadła z otwartymi ustami. Nie, zdecydowanie lepiej, żeby nie zjawiła się na dzisiejszej imprezie.

Zanim zamknął telefon, zobaczył godzinę. Musi się pospieszyć.

Maleńka łazienka na końcu wąskiego korytarzyka była całkiem zaparowana. Chase chwycił czerwoną koszulkę polo, już bez zagnieceń, z szyny zasłony prysznicowej. Rury zadrżały

i jęknęły, kiedy zakręcił gorącą wodę. Przetarł zaparowane lustro i przyłożył koszulkę do ciemnych džinsów, oceniając całość. Czy to nie będzie wyglądało, jakby za mocno się starał? Nałożył odrobinę żelu na krótkie brązowe włosy i przyklepał je na lewą stronę. W polo, džinsach i nowiutkich adidasach Chase wyglądał jak gość - nie jak ktoś, kto mieszka z matką w ciasnej przyczepie na przedmieściach. I właśnie o to chodziło.

Sprawdził telefon. Nowa wiadomość od Lindsay: „Nie widzieliśmy się już tydzień!”

Od razu ją skasował. Działał zgodnie z planem: zanim zjawi się u Minstera, drugo- i trzecioklasistki będą wystarczająco

pijane, by pozbyć się zahamowań, ale nie do tego stopnia, by nie dało się z nimi nic zdziałać. W tym roku, na imprezie halloweeno-wej u Tiny Hathaway, co prawda udało mu się namówić gorącą drugoklasistkę do wymknięcia się na małe macanko w lesie, ale ledwie się oddalili, spuściła spodnie i zaśmiewając się, zaczęła sikać na drzewo. Z trudem zataszczył dziewczynę z powrotem na imprezę, by ją przekazać jej znajomym.

Ale dziś na pewno coś zaliczy. Nie ma innej opcji. Do Święta Futbolu zostało nieco ponad tydzień - impreza odbywała się drugiego stycznia. Doroczne święto Ascension Warriors, drużyny będącej dumą i radością miasta (w każdym razie kiedy wygrywali), i jednocześnie ważna impreza charytatywna. Większość zawodników przychodziła z całą świtą, składającą się z rodziców, rodzeństwa oraz ich dziewczyn. W zeszłym roku przyszedł sam i czuł się upokorzony, gdy inni nabijali się z niego, że nie udało mu się wyhaczyć żadnej laski.

W tym roku imprezę organizował najlepszy kumpel Chase<sup>^</sup>, Zach, który liczył na zebranie pięciu tysięcy dolców na lokalne schronisko dla bezdomnych. Miało być całe mnóstwo ludzi, nie wspominając o kamerach telewizyjnych. A Chase był gwiazdą.

Był cholernie dobrym rozgrywającym, prawdopodobnie jednym z najlepszych w stanie.

Selekcjonerzy z college'ów kontaktowali się już z trenerem Baldwinem i pytali o plany Chase'a po skończeniu liceum. I choć byłoby ekstra dostać darmowy bilet do dobrej szkoły - byłby pierwszym Singerem, który poszedł na studia, zresztą inaczej nie byłoby ich na to stać - nie grał dla stypendium. Na boisku czuł się wolny, silny, mądry. Wiedział, co robić, i miał odpowiednią przestrzeń, by działać. Podejmował właściwe decyzje. Czasami podczas gry zaskoczony czuł, że szczyrzy zęby w radosnym uśmiechu.

Ale gdzieś na obrzeżach świadomości Chase'a zawsze czaiła się myśl, że w każdej chwili wszystko może się zmienić. Wiedział, że wystarczy jedno złe zagranie, by było po nim - z każdej strony blokerzy, zero szans, by się przebić, totalna wtopa.

Poprawił po raz ostatni kołnierzyk, złapał swoją kurtkę fut-bolisty i zadowolony zatrzasnął drzwi przyczepy, aż cała zadrżała - ale on tego nawet nie zauważył.

Wieczór był zimny i zaczął już sypać zapowiadany śnieg. Ruszył truchtem do wozu - starego kombi, z którego korzystał wspólnie z mamą - gdy nagle przypomniał sobie, że pracowała dziś wieczorem w małym markecie za rogiem. Zawrócił do domu i włączył lampę na zewnątrz. Nie chciał, żeby szukała kluczy po ciemku.

Za każdym razem, kiedy opuszczał przyczepę, w ogóle swoją część miasta, czuł się, jakby wyrywał się na powietrze. Jego część miasta znajdowała się tuż przy autostradzie, a miejscowy krajobraz tworzyły stłoczone przyczepy, sklepy, stacje benzynowe i zbiorniki z wodą. Najpierw minął Kwik Mart, gdzie pracowała mama. Jak zwykle, zwolnił nieco, starając się dojrzeć jej tlenione włosy. Lubił, kiedy pracowała przy kasie, bo wtedy nie targała ciężarów w magazynie.

Jakieś półtora kilometra za Kwik Mart krajobraz się zmieniał; ostatnimi budynkami były te wchodzące w skład farmy Wil-liamsona. Na wysokości farmy, mimo że w powietrzu czuć było obornik, Chase otwierał okno, by odetchnąć otwartą przestrzenią. Potem przez parę kilometrów ciągnął się las, za którym zaczynała się najstarsza część miasta, ceglane budynki i małe sklepiki pod zielonymi markizami. Tutaj też znajdowało się gimnazjum - olbrzymi, przypominający więzienie budynek. Chase uwielbiał tędy przejeżdżać. Za każdym razem czuł podekscytowanie więźnia, któremu udało się zbiec.

Wreszcie dotarł do części mieszkalnej, tej lepszej. Wszystko wyglądało bardziej przyzwoicie, a latem wydawało się, że więcej tu zieleni. Domy stały w znacznej odległości od siebie, każdy miał ogródek i dostęp do lasu. Jeszcze dalej mieszkali ci naprawdę bogaci, w tym Minsterowie. Posiadłości były większe, podjazdy dłuższe. Za domem Minsterów było liceum; wokół szkoły znajdował się rozległy teren ze świeżo odnowionym boiskiem futbolowym, niedaleko było jezioro. Czasami Chase potrzebował całej tej drogi, by zacząć się rozluźniać, pozbyć się uczucia osaczenia

przez cienkie ściany przyczepy, przestać czuć utrzymujący się tam ciągle przykry zapach jedzenia. Wreszcie sam nie czuł się już brudny i nieważny.

Ale dziś nie udawało mu się od tego uwolnić, pozbyć się napięcia. Osaczały go różne kształty i cienie, ale kiedy się rozejrzał, widział tylko ciemność. I padający śnieg.

Miał nadzieję, że impreza poprawi mu humor. Wybierze dzisiaj partnerkę na Święto Futbolu w Ascension. Dziewczynę z klasą, która wynagrodzi mu zeszłoroczne upokorzenie. Nie za głośną, uśmiechającą się we właściwych momentach i ładnie wyglądającą w sukience. I najlepiej taką, z którą mógłby porozmawiać dłużej niż piętnaście minut.

Dziś wieczorem Chase zamierzał znaleźć idealną dziewczynę. Potrzebował jej. Zasługiwał na nią. Kiedy dotarł do Minsterów, impreza już się rozkręcała. Dom był rozświetlony, na podjeździe stali palacze, którzy z zimna przestępowali z nogi na nogę. Przeciął szybko trawnik i wszedł przez frontowe drzwi do wielkiego, wyłożonego marmurem holu. Pod lustrem w złoconej ramie stała lakierowana drewniana ława.

Zwykle, po wejściu do domu któregoś z kumpli, ogarniała go na chwilę niekontrolowana panika.

Teraz też. Wszystko było tu takie eleganckie i poczuł, że nie powinien niczego dotykać.

Dość. Nazywa się Chase Singer, a Chase Singer miał wszelkie prawo tu być. Ściągnął kurtkę, cisnął ją na ławę, jeszcze raz rzucił okiem na swoje odbicie w lustrze i ruszył na obchód.

Grupka pierwszo- i drugoklasistek maskowała swoją niepewność, zachowując się przesadnie głośno. Jenna i Ashley, czirliderki, stały z Taylor, która grała w hokeja na trawie, i wszystkie trzy flirtowały z kolesiami - jak się zorientował, totalnie zalanyimi członkami drużyny lacrosse'a. Z kuchni wyszedł sam Ian Minster, zadziwiająco zrelaksowany jak na człowieka, którego dom był pełen bawiących się licealistów. Połowa gości piła piwo z plastikowych kubków, połowa sączyła poncz. Światła były przygaszone, z ukrytych głośników płynęła żywa muzyka, i nawet ci, którzy nie tańczyli, zdawali się pulsować w jej rytm. Wszyscy, którzy wchodzili z dworu, przystawali na moment, żeby ich oczy



oswoiły się z panującymi warunkami, i chuchali w dłonie, jakby wrócili z długiej wyprawy. Zlokalizował Zacha i Gabby przy misie z ponczem, po czym zaczął się rozglądać za jakąś rozrywką. Miał wiele możliwości: Jenna albo Ashley, na które zawsze można było liczyć, tamte dru-goklasistki, które zaczęły chichotać, kiedy tylko przeciął salon. Zapowiadało się całkiem nieźle. Uśmiechnął się. Właśnie zaczynał nastawiać uszu, by przyłączyć się do jakiejś rozmowy, gdy przywołała go Gabby, aby dołączył do niej, Zacha, Andrei Rubin, Seana Wagnera i Neli White.

- Patrzcie, kto przyszedł - powiedziała Gabby. Jakiś czas temu chciała spiknąć Chase'a z Andrea, ale Andrea dała jasno do zrozumienia, że umówi się z Chase'em tylko wtedy, jeśli on będzie za wszystko płacił - żądała niemożliwego i ciążyło to Chase'owi bardziej, niż się do tego przyznawał. Może nie był najbiedniejszym nastolatkiem w Ascension, ale z całą pewnością był najbiedniejszym popularnym nastolatkiem. I źle mu było z faktem, że ludzie o tym wiedzieli.

- Hej, stary - odezwał się Zach. - Łap się za piwko, musisz nadgonić! - Nalał piwa do czerwonego kubka i podał kumpłowi, który łapczywie pociągnął łyk. Czuł się dzisiaj jakoś dziwnie i alkohol powinien dobrze mu zrobić.

- Dzięki - mruknął. - Co tam? Kto jest? Gdzie Winters? - Nie pytał o to nikogo konkretnego; Gabby poczuła jednak, że powinna odpowiedzieć.

- Gadamy sobie - zaczęła. - Wszyscy są. To znaczy prawie wszyscy. Em powinna być lada moment. Nie wiem, czemu jej jeszcze nie ma.

Chase skinął głową i szturchnął łokciem Neli.

- Znasz tę wysoką dziewczynę? - Neli pomagała pierwszoklasistom zaaklimatyzować się w szkole i miała niesamowitą pamięć do imion i nazwisk. Podążyła za jego wzrokiem.

- Chodzi ci o tę blondynkę? To Jess Carlsen. - Umilkła na chwilę, a Chase czekał zaciekawiony. Neli wywróciła oczami i dodała: - Interesuje się teatrem albo śpiewem, coś w tym stylu. Dobrze nie pamiętam.

Zach się roześmiał.

- Czyżbyś już zaczął ostrzyć sobie zęby, Singer? Chase uniósł ręce z miną niewiniątka.
- Po prostu próbuję zorientować się w nowych twarzach -powiedział.
- Zwęszyłeś świeżą krew - wtrąciła Gabby, a Chase zauważył, że nieco mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Zacha.

Po czym, ni z tego, ni z owego, zapytała:

- Słyszeliście o Sashy Boulder?

W tym momencie ktoś musiał oprzeć się o włącznik światła: rozbłysły górne światła i pokój oraz zgromadzonych zalała jasność. Przez sekundę Chase miał wrażenie, że wszyscy znieruchomieli. Po chwili znów był półmrok.

Chase i Zach wymienili szybkie spojrzenia.

Zach odchrząknął i zapytał:

- Co z nią?
- Próbowwała się zabić - szepnęła cicho Gabby.

Teraz Chase miał wrażenie, że pokój spowija ciemność, choć światło nawet nie drgnęło.

- Rzuciła się z Sikalni - dodała Gabby; Sikalnią nazywano wiadukt nad autostradą, nieopodal Fitzroy's, lokalnej spelunki. Bywalcy Fitzroy's często wychodzili na wiadukt na papierosa, a przy okazji się załatwiali. - Nie słyszeliście tych wszystkich syren? Prawie mi głowę rozsadziło. Myślałam, że to atak terrorystyczny albo coś. Zach uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ascension raczej nie jest na celowniku terrorystów, kotku. Tu nie zdarza się nic złego.

- Jednak Sashy się zdarzyło - stwierdziła Gabby, odrzucając włosy do tyłu.

Chase poczuł ucisk w klatce piersiowej. Sasha była szkolnym wyrzutkiem, ale nie od zawsze. Zalała go fala wspomnień: mała dziewczynka, buszująca z nim pośród stosów śmieci i połamanych mebli składowanych na osiedlu przyczep. Wtedy tam mieszkała, zaledwie parę przyczep dalej. Często bawili się w chowanego. I zwierzali się sobie nawzajem. Czasami, kiedy jego ojciec był

zbyt pijany i agresywny, mama zaprowadzała Chase'a na noc do Sashy, żeby go chronić. A kiedy ojciec zginął w tym dziwnym wypadku w fabryce, Chase spędził u Sashy całe pięć dni, podczas gdy mama zajmowała się pogrzebem, wierzycielami, swoim bólem.

Leżeli z Sashą w jednym łóżku, na waleta, i opowiadali sobie historie o duchach do późna w nocy. Woleli bać się wymyślonych niż prawdziwych niebezpieczeństw. Opowieści miały to do siebie, że kiedy włączyłeś światło, potwory znikwały. Pierwszy raz, kiedy Chase pomyślał o dziewczynach w inny sposób niż „mniej wysportowany odpowiednik chłopaka”, był wtedy, gdy zastanawiał się, jak by to było pocałować Saszę.

Ale potem wszystko się zmieniło. Mama Sashy poznała bogatego dentystę z Yorku. Facet przeprowadził się do Ascension i kupił wielki dom obok McCordów. Nagle dziewczyna zaczęła nosić modne ciuchy, mogła wychodzić na pizzę w piątkowe wieczory i zapraszać do siebie ludzi na wspólne oglądanie filmów na jej olbrzymim telewizorze. A o istnieniu Chase'a jakby zapomniała, dosłownie z dnia na dzień. Było to w szóstej klasie i przez chwilę Chase czuł się dziwnie, nawet na trochę ją znienawidził, ale pod pewnym względem, olewając go, Sasha oddała mu przysługę. Bo właśnie wtedy Chase to zrozumiał: dopóki nosisz odpowiednie ciuchy, mówisz odpowiednie rzeczy, robisz wrażenie na odpowiednich ludziach, pasujesz. Wystarczy, żebyś dobrze grał, a twoje pochodzenie będzie bez znaczenia.

Kiedy to załapał, poszło łatwo. Mówił o dziewczynach, ale nie za dużo. Uczył się dobrze, ale nie za dobrze. Wyróżniał się na boisku - tam podejmował wszystkie wyzwania. Zaprzyjaźnił się z Żakiem McCordem, ale nigdy nie zapraszał go do siebie. Wystarczyło jakieś pół roku, żeby przed Chase'em otworzyły się drzwi klubu - w siódmej klasie Chase Singer był już jego pełnoprawnym członkiem. Nim zaczął liceum, niemal nie pamiętał już czasów, gdy było inaczej.

Ale oczywiście z każdego klubu mogą cię wyrzucić - bezpowrotnie. Sasha zrozumiała to zbyt późno. Wszystko zwróciło się przeciwko niej, zupełnie jakby odpowiadała za to jakaś niewidzialna siła.

Desperacko usiłowała się wpasować, uniknąć nawet najmniejszego obciachu. Nikt nie potrafił wskazać, na czym dokładnie polegał jej błąd. Może za bardzo chciała, za bardzo się starała. A może początkiem było to, jak w pierwszej klasie przyszła do szkoły we wściekle różowym swetrze i przez parę tygodni była nazywana „Tęczowym Niedorozwojem”. Chociaż nie, bardziej prawdopodobne, że zaczęło się od tego, gdy popełniła błąd i na jednej imprezie, też w pierwszej klasie, całowała się z dwoma chłopakami. Chwytała się wszystkiego, żeby być lubiana, ale nie wyszło. Od tego momentu zaczęły się plotki. Cała masa plotek - Chase nawet nie pamiętał ich wszystkich. Mówili, że Sasha to bi, aktorka porno albo po prostu dziwaczka.

Zacząła nosić ciuchy, które się nie wyróżniały - nie chciała rzucać się w oczy. Opuściła kilka ważnych imprez, siedziała coraz bardziej przygarbiona podczas lekcji, nie angażowała się w żadne zajęcia dodatkowe. Ale machina już ruszyła i Sasha szybko utraciła wszystko, co udało się jej osiągnąć. Była obiektem żartów; z czasem stało się to swego rodzaju sportem. Ostatecznie została jej tylko jedna przyjaciółka: Drea Fieffer, która co tydzień zmieniała kolor włosów (od fioletowych, przez brązowo-czerwone, do kruczoczarnych), a noszone przez nią spinki do włosów, pasiaste skarpetki i koszulki z bohaterami japońskich kreskówek tylko uwydatniały jej raczej mroczny sposób bycia. Samobójstwo... Chase czuł ciężar i mrowienie kończyn, tak samo jak w kościele, do którego ciągnęła go mama, kiedy jeszcze nie pracowała w niedziele. Nigdy nie lubił chodzić do kościoła, wręcz nie cierpiał, ale nie dlatego, że nudziły go wywody księdza na temat grzechu. Nigdy nikomu o tym nie mówił, ale właściwie to kościół napełniał go strachem - ten dziwny zapach kadzideł, grzmiące echem kazanie, olbrzymi krucyfik nad ołtarzem. To zawsze wzbudzało w nim niepokój.

Teraz Chase miał wrażenie, jakby pokój zaczął się zmniejszać.

- Ludzie tak po prostu nie... - zaczął mówić, ale przerwał mu Zach:

- To jakiś żart, Gabby?

- Nie - odparła Gabby, potrząsając swoimi blond lokami. - To stało się ze dwie godziny temu! Będzie sparaliżowana do końca życia albo jeszcze gorzej. - Cichły kolejne rozmowy i wokół Gabby zaczęli gromadzić się ludzie, co ją tylko nakręcało. - Słyszałam, że spadła na naczepę ciężarówki... facet przeżył szok... a ona jest w szpitalu. W śpiączce. Ktoś ze stacji mojej mamy to relacjonuje. Stąd o tym wiem. Mama pytała, czy ją znam.

Wszyscy sprawiali wrażenie wstrząśniętych, ale Chase ledwie to zauważył. Zamrugał dwa razy i zaczął się oddalać. Zach złapał go za ramię.

- Dokąd się wybierasz?

- Muszę się odlać - burknął Chase, nie patrząc mu w oczy. -Zaraz wracam.

Chase był już parę razy u Minsterów, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, jak trafić do łazienki. Wszedł do pokoju telewizyjnego, minął wielką plazmę na ścianie i znalazł się w salonie. W barku, w rogu salonu, zauważył butelkę whisky. Świetnie -prywatne zapasy gospodarzy. Ruszył w tamtą stronę, dopijając piwo. Nawet się nie zorientują, powiedział sobie, nalewając mocniejszy alkohol do plastikowego kubka. Przez chwilę stał nieruchomo, obserwując tłum. Upił potężny łyk i natychmiast poczuł pieczenie w przetyku. Nagle wszyscy mówili jedynie o Sashy Boulder. Ludzie byli spragnieni makabrycznych szczegółów równie bardzo jak rozwodnionego piwa. Zostawiła list? Naprawdę jest sparaliżowana? W którym szpitalu leży - miejscowym, czy została przewieziona do Portland albo przetransportowana śmigłowcem do Bostonu?

Chase miał wrażenie, jakby pokój rytmicznie pulsował i ściany zacieśniały się wokół niego. „Samobójstwo”. Słowo to kołatało mu się w głowie. „Samobójstwo”. Nie mógł uwolnić się także od obrazu Sashy, ale tej normalnej, jego najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, szczerbatej, wesołej dziewczynki.

Dopił whisky, oderwał się od barku i ruszył przez salon, przemieszczając się od jednej rozmowy do drugiej. Wściekały go obrazy na ścianach domu Minstera. Uśmiechnięty, zadowolony dziadek! Uśmiechnięta, zadowolona mama! Uśmiechnięci, zadowoleni bracia!

Wszyscy oni zdawali się podążać za nim wzrokiem, krzywiąc się szyderczo. Chwyił jakieś piwo z półki w pokoju telewizyjnym i przyssał się do niego. Rany, ale tu gorąco. W końcu minął łazienkę i długi sznur dziewczyn czekających w kolejce. Ich twarze się zlewały i miał problem z rozpoznaniem poszczególnych osób, jakby wszystko działo się za chmurą dymu. Musiał przytrzymać się chwilę futryny, zanim wrócił do kuchni, gdzie zebrała się większa grupa. Gabby nadal była w centrum uwagi, zdradzając szczegóły, których dowiedziała się od mamy, i zapewne dodając sporo od siebie. Choć wszyscy stali, Chase opadł głośno na krzesło.

- W porządku, stary? - zagadnął Zach, podając mu piwo.

- Tak, dzięki. Tylko... - Chase urwał, zmieniając temat. - Co zamierzasz robić przez najbliższe dwa tygodnie? Będiesz wolnym człowiekiem! - Szybko zerknął na Gabby, czy przypadkiem nie usłyszała, ale była zbyt pogrążona w rozmowie z Fioną Marcus.

- Aha, jasne. Nie zdziwiłbym się, gdyby Gabby zainstalowała kamerkę w moim budziku. - Lekki ton Zacha wydawał się nieco wymuszony. Wszyscy byli trochę spięci tego wieczoru.

- No to pechowo. - Chase nachylił się, żeby puknąć kumpla w ramię. Kuchnia zakołysała się, kiedy powrócił do poprzedniej pozycji. - Czy granie przez całe ferie w Guitar Hero u ciebie to naprawdę szczyt naszych możliwości? - To i przygotowywanie się do SAT.

- No tak. Jeśli nie zaliczysz idealnie, będziemy musieli czuwać, żeby twój ojczym nie skończył ze sobą. Spojrzeli po sobie skępowani. Ze względu na okoliczności nie był to trafiony żart.

Na dodatek słyszeli głos Gabby, wyraźnie odcinający się od odgłosów imprezy:

- Powinniśmy założyć jakąś grupę wsparcia dla wszystkich, którymi to wstrząsnęło - powiedziała.

Lauren Hobart przytaknęła z entuzjazmem. Fiona miała łzy w oczach.

Chase się skrzywił. Tego już za wiele. Wstał, podszedł do Gabby, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Od kiedy wszyscy tak się przejmujecie Sashą, co? - wycedził. - Była frajerką. Nikomu nie będzie jej brakować.

Zgromadzeni wokół Gabby ucichli, a ona sama wyrwała się Chase'owi, wylewając trochę ponczu na jego rękę.

- Jak możesz mówić coś takiego? - zapytała. Chase czuł się teraz otępiały.

- Polałaś mnie ponczem - wymamrotał. Zabrzmiało, jakby powiedział to ktoś inny.

- Dupek z ciebie - usłyszał zza swoich pleców. Odwrócił się i zobaczył tę Jess jakąś tam. Patrzyła na niego z obrzydzeniem. Raczej nie miał już u niej szans.

Spróbował zmienić temat.

- Beer-pong, za pięć minut! - krzyknął, zauważając, że ludzie zaczęli dyskretnie odsuwać się od niego.

- Kto odważy się stanąć do gry przeciwko mnie i Zachowi? - Kierując się do toalety, słyszał, jak Zach usiłował załagodzić sytuację i namawiał ludzi, żeby przestali plotkować i zaczęli się bawić.

Parę minut później, zmywając przed lustrem lepki poncz z palców, Chase uważnie przyglądał się sobie. Poprawił kołnierzyk koszulki, obrócił twarz raz w lewo, raz w prawo, sprawdzając, czy dokładnie się ogolił. Nie znalazłszy żadnych niedoskonałości, spojrzął sobie prosto w oczy. Chase, stary, powiedział do siebie. Weź się w garść.

Ktoś zaczął walić do drzwi.

W tym momencie Chase zauważył małą plamkę obok drugiego guzika koszulki. Cholera. Poncz. Zacisnął pięść. Weź się w garść, powtórzył. To tylko mała plamka. Ale Chase wiedział, jak łatwo się wyłożyć. Czasami wystarczyła jakaś drobnostka, jedno powiniecie się nogi. Złe podanie, kłamstwo, naciśnięcie „wyślij”. Chwila słabości. Nawet coś tak błędnego jak plama mogło wszystko zrujnować.

### Rozdział 3

Em była rozkojarzona w drodze na imprezę. Chciała, by Zach dał jej jakiś znak. Jeden znak, że czuje to samo, co ona. By potwierdził,

że nie zwariowała. Że nie wymyśliła sobie tego iskrzenia między nimi, które występowało od paru tygodni. Tylko jeden znak. A potem odpuści. Naprawdę.

- Dzięki, że się ze mną wybrałeś - powiedziała do JD, kiedy skręcił, zapominając, że mówiła to już parę minut temu.

- Daj spokój. To prawdziwa gratka dla takich ekscentryków jak ja, kiedy mogą znaleźć się w towarzystwie popularnych i lubianych - odparł sarkastycznie JD, poprawiając czapkę. - Może mi się poszczęści i jakaś dziewczyna poleci na dziwoląga i kujona.

Em słuchała go jednym uchem. Szukała w torbie błyszcząca, jednocześnie starając się przejrzeć w lusterku pasażera. Na ulicy Minsterów przyglądała się zaparkowanym samochodom, wypatrując pewnego niebieskiego dżipa wranglera z dwiema naklejkami na zderzaku: drużyny futbolowej i drużyny koszykarskiej.

Kiedy wreszcie dotarli do domu lana, jej głowę zajmowały myśli o Zachu. Czowała się, jakby już wypięła - zamoczona, kręciło jej się trochę w głowie.

Ale od razu po wejściu poczuła, że coś jest nie tak. Ludzie pili, tańczyli i flirtowali jak zwykle, ale ich głosy wydawały się cichsze, a zbite w grupki dziewczyny co chwila milkły, kręciły głowami i wzajemnie się ścisnęły.

Za to Gabby była jak nakręcona. Wyglądała świetnie - do sukienki dobrała brązowe rajstopy i botki na koturnie, i rzeczywiście, miała dziś dobry dzień, jeśli chodzi o włosy. Ciągnąc Em do kuchni, i do ponczu, nawijała o zbliżającej się rodzinnej wycieczce do Hiszpanii i na Majorkę.

- Em, obiecaj, a najlepiej przysięgnij, że kiedy wrócę, pojedziemy do Maintenance - powiedziała Gabby, nawiązując do ich ulubionej świątecznej tradycji, której w tym roku nie mogły kontynuować. Podróż pociągiem do Bostonu, lunch w którejś restauracji na Newbury Street i zakupy.

- Jasne, Gabs - mruknęła Em.

- Nie mogę uwierzyć, że nie będzie mnie przez całe dwa tygodnie - ciągnęła Gabby, skacząc z tematu na temat. - Mam wrażenie, jakbym wyjeżdżała na zawsze. Przy okazji, Chase się



zaprawił. Uważaj na niego. Boże, Em, obiecaj, że nie będziesz robić nic fajnego, kiedy mnie nie będzie.

Em wyszczerzyła zęby. Jasne, że będzie jej brakowało najlepszej przyjaciółki, ale w głębi duszy była wdzięczna, że spędzą trochę czasu oddzielnie. To było w stylu Gabby, zakładać, że świat zatrzyma się po jej wyjeździe i wróci do życia w chwili jej powrotu.

- Och, i jeszcze nie pozwól, żeby Zach się bawił - dodała Gabby, kiedy zbliżyły się do misy z ponczem. Stał tam Zach z paroma innymi osobami.

W żołądku Em obudziły się motyle. Ostatnio, za każdym razem, kiedy go widziała, odkrywała go na nowo - jego magne-tyzujące oczy, cudowne, zmierzwione włosy, szerokie ramiona, i jak lekko marszczył nos, kiedy się na czymś skupiał. To było tak, jakby włączał się reflektor i w jego świetle widziała tylko Zacha.

Wiedziała, że to nie w porządku, że to złe, ale przecież właśnie o takim uczuciu pisano piosenki popowe. Em wyprostowała się, zbierając siły na kolejną porażkę. Dla niej to już codzienność.

- Cześć, skarbie! - Gabby dała susa do przodu i cmoknęła Zacha w usta. Em odwróciła wzrok. - Tęskniłeś za mną? - Nie czekając na odpowiedź, Gabby nadawała dalej: - To nic w porównaniu z tym, jak będziesz za mną tęsknić przez najbliższe dwa tygodnie. Patrz, kogo znalazłam!

- Czy w tym ponczu jest red buli? Jesteś jeszcze bardziej nakręcona niż zwykle. - Zach roześmiał się i delikatnie uwolnił od Gabby, przypominając jej, że wycieczka ma trwać tylko piętnaście dni, nie piętnaście lat. Wskazał na miskę z ponczem. - Hej, Em. - Wydawało się jej, czy oczy Zacha rozbłysły, kiedy na nią spojrział? - Nalać ci tego magicznego eliksiru? Aha, i uważaj na Singera, poluje.

Em skinęła głową, próbując zignorować dreszcz, który przeszedł ją, kiedy palce Zacha przypadkowo musnęły jej nadgarstek, gdy podawał jej kubek z ponczem.

- Jak to poluje? - wymamrotała.

- Chyba chodzi o Święto Futbolu - powiedział teatralnym szeptem Zach, poruszając brwiami. - Dokładnie o znalezienie partnerki na imprezę.

- Och, Em! Skoro już o tym mowa, muszę pokazać ci sukienkę, którą włożę na Święto Futbolu - włączyła się Gabby. - Jest fioletowo-niebieska, jak ten szalik z Maintenance, kojarzysz? - Puściła oczko i dała Em kuksańca, ale Zach już się odwrócił, by pogadać z Seanem. Prawdopodobnie planowali kosza na lodzie. Koszykówka na zamrożonym stawie była ulubioną zimową tradycją chłopców z Ascension. - Sukienka jest dotąd - ciągnęła niezrażona Gabby, wskazując na połowę uda. - Nie za krótka, prawda? - Czknęła, po czym zachichotała.

Przez chwilę Em zastanawiała się, co ona by włożyła, gdyby szła na Święto Futbolu. Może tę zieloną sukienkę à la lata pięćdziesiąte, z okrągłym wycięciem pod szyją i ołówkową spódnicą? Wiedziała, że gdyby tylko chciała, mogłaby pójść. Sean, Brian, czy jakikolwiek inny chłopak z drużyny z chęcią by ją zabrał. Ale ona wyobrażała sobie siebie tylko z jednym partnerem.

Em nie mogła dłużej zaprzeczać: zabujała się w chłopaku swojej najlepszej przyjaciółki. W ostatnich miesiącach ona i Zach bardzo zbliżyli się do siebie. Śmiali się z tych samych żartów i razem wywracali oczami na szaleństwa Gabby. Podczas gdy Gabby zwykle nie była zainteresowana osiągnięciami Zacha na boisku ani jego planami dotyczącymi studiów, Em wręcz przeciwnie. To nie tak, że nie uważała ich za dobraną parę - świetnie wychodzili razem na zdjęciach, urocza królowa balu i przystojny, bystry kapitan szkolnej drużyny koszykówki - ale czasami uważała, że Zach zasługuje na kogoś trochę bardziej zaangażowanego niż Gabby. Na kogoś takiego jak ona.

Nie żeby kiedykolwiek miała próbować jej go odbić. Ale musiała przyznać, że perspektywa dwóch tygodni, podczas których będzie mogła spotykać się z Żakiem bez Gabby, była cudowna.

- Mama dowiedziała się, że Sasha jest na intensywnej terapii - mówiła Gabby do Abbie Stevens, która się do nich przyłączyła. - Nawet jeśli z tego wyjdzie, prawdopodobnie nie wróci już do szkoły.

Em zastygła z kubkiem w połowie drogi do ust i złapała Gabby za ramię.

- O czym ty mówisz, Gabs?

- Och, dopiero co przyjechałaś. Nic nie wiesz. Sasha Boulder usiłowała, no wiesz, popełnić samobójstwo - powiedziała Gabby z rozszerzonymi oczami, ponownie zniżając głos.

Em zamrugła.

- Co takiego? - wydusiła.

- Próbowwała skończyć ze sobą, skacząc z Sikalni - relacjonowała Gabby, starając się stłumić czknięcie. Może była trochę pijana, ale wydawało się, że niemal czerpie przyjemność z opowiadania tej historii; zachowywała się trochę jak aktorka na scenie. -Ale nie zginęła, więc... teraz jest w szpitalu.

Sparaliżowana albo w śpiączce, może jedno i drugie. Szaleństwo, nie? Pomyślałam, że wypadaloby posłać jej kwiaty i kartkę, więc zaczęłam zbiórkę. Mamy już z pięćdziesiąt dolców. Super, nie?

Gabby odwróciła się z powrotem do Abbie, do której dołączyły Fiona i Lauren, ale Em pozostała na swoim miejscu. Była dziwnie wstrząśnięta, sama nie wiedziała dlaczego. Ona i Sasha nie były przyjaciółkami. Nie zrobiła nic, żeby skończyła się ta nagonka. Owszem, zawsze uśmiechała się do niej na korytarzu, ale Sasha mogła to przecież odbierać jako uśmiech wyższości popularnej dziewczyny.

- To takie dołujące. - Gabby westchnęła. Temat Sashy wreszcie się znudził i dziewczyny zaczęły rozmawiać o Behemocie, nowym, olbrzymim centrum handlowym, budowanym przy autostradzie. Było wzniesione dopiero w połowie, a opóźnienie sięgało pół roku. Tegoroczne zakupy świąteczne trzeba będzie jeszcze zaliczyć w starym centrum, nieodnawianym od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Em nie przyłączyła się do pogawędki. Było jej gorąco i choć upiła zaledwie łyk ponczu, wciąż kręciło się jej w głowie. Zastanawiała się, czy JD słyszał już wieści. Odwróciła się i wyszła z kuchni, żeby go poszukać.

Jakby słysząc jej myśli, JD pojawił się zniienacka w korytarzu; jego dziwaczny strój, składający się z fioletowej koszuli i kamizelki, sprawiał, że wyraźnie odcinał się od tłumu, jak zwykle.

- Hej, Em - zagaił. Trzymał piwo, ale wyglądało na to, że ledwie zamoczył w nim usta. - Właśnie dowiedziałem się o Sashy.

- Ja też. Nie wiem czemu, ale czuję się jakoś... dziwnie -powiedziała Emily. - Nie umiem tego wyjaśnić. - Chciała porozmawiać o tym, że mogli się domyślać i jakoś temu zapobiec, ale z drugiej strony, nie chciała zacząć płakać. I czuła się głupio, że tak ją ruszyło dopiero po fakcie. Dobrze pamiętała, że nieraz sama śmiała się z Sashy. Do trzeciej klasy nabijanie się z Boulder stało się tak nieodłącznym elementem każdego dnia szkoły, jak angielski czy matma. Ale w zeszłym tygodniu osiągnęło nowy poziom - ktoś rozwiesił w całej szkole cytaty z jej mejli. Sasha przyznawała się w nich, że rozpaczliwie chciała być piękna, seksowna i mądra. Że chciała, ' by ją za taką uważano, że starała się być popularna i lubiana. Cytaty wisiały przez pół dnia, zanim Sasha wreszcie zorientowała się, że wszyscy gapili się na nią, pokazywali ją palcami i śmiali się bardziej niż zwykle. Em widziała, jak Sasha, trzymając w jednej ręce torebkę z lunchem, a w drugiej napój, wpatrywała się we własne słowa, wydrukowane wielkimi, grubymi literami. Potem w milczeniu odstawiła lunch, odwróciła się i wyszła. Jej jedyna przyjaciółka, Drea Fieffer, krzyczała za nią, żeby zaczekała, ale tego nie zrobiła, zatrzaskując za sobą drzwi stołówki. A teraz Sasha usiłowała popełnić samobójstwo.

- Chcesz wyjść? - JD skubał końcówki swoich wiecznie sterczących włosów, przyglądając się uważnie Em.

- Nikt nie wychodzi - powiedziała, wskazując niemrawo na pozostałych gości. - Nie chcę robić z tego wielkiego halo.

- Nie musimy robić wielkiego halo, po prostu się wymkniemy. Wyglądasz jakoś blado. Em spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Okej - sapnęła. - Tylko wezmę płaszcz. Zdaje się, że Gabby wrzuciła go do którejś z sypialni na górze.

- Dobra. Zaczekam tu na ciebie.

Em odstawiła poncz i pięła się powoli wielkimi schodami, które były wyłożone dywanem, ale i tak skrzypiały pod jej krokami. Na górze było wielkie okno witrażowe, jak w jakimś gotyckim zamku. Przedstawiało słoneczny krajobraz, ale teraz, podświe-

tlone przez księżyc, budziło lekki niepokój. Em skreśliła w prawo i weszła do pierwszej sypialni, gdzie na olbrzymim łóżku leżała sterta kurtek i płaszczy. Pokój był ogromny i pusty; na ścianach prawie nic nie wisiało. Wyglądało na to, że na górze nikogo więcej nie było; jedyne co słyszała, to przytłumione odgłosy imprezy na dole. Za oknem wciąż padał śnieg.

Wzdrygnęła się. Czy ciepło nie powinno się wznosić? Na dole było jej strasznie gorąco, a teraz trzęsła się z zimna. Nachyliła się nad łóżkiem i zaczęła szukać swojego płaszcza w słabym świetle wpadającym przez okno.

- Szukasz czegoś?

Em odwróciła się i znalazła twarzą naprzeciw szyi Zacha, który miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Pojawił się jakby znikąd - w ogóle nie słyszała jego kroków.

- Płaszcz - odpowiedziała. - Zrywam się stąd.

- Już? - Zach wyduł wargi.

- Tak... Nie czuję się dobrze - mruknęła. Chociaż teraz, kiedy obok był Zach, zrobiło się jej jakoś lżej na duszy.

- Aha. No to powinnaś odpocząć. - Uściskał ją. Pachniał piwem i mydłem. - Słuchaj, widzimy się w ferie, prawda? Przyda mi się ktoś, kto by rzucił okiem na moje wypracowania. No i zniszczę cię w Guitar Hero, żeby sobie wynagrodzić niepowodzenie z zeszłego tygodnia.

Czy jego dłonie nie zostały na jej ramionach trochę dłużej niż powinny? Czy zauważył, jak dobrze ich ciała pasowały do siebie? Em poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna myśleć o Zachu w ten sposób, zwłaszcza dzisiaj. - Racja - powiedziała. - I tak obiecałam Gabby, że nie spuszczę cię z oczu przez najbliższe dwa tygodnie. - Pożałowała tych słów, ledwie je wypowiedziała.

- No to super - rzucił z uśmiechem. - Ostatnio chyba rzadko spuszczasz mnie z oczu.

Em znowu zrobiło się gorąco.

- Co... co masz na myśli? - wydukała.

Zach wzruszył ramionami, w dalszym ciągu się uśmiechając.

- Nic. Zapomnij. Tylko... - Żartował sobie, to wszystko. Prawda? Ale nim zdołała wydusić z siebie coś jeszcze, Zach wyciągnął zamkniętą garść.

Em wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

- O co cho... - Zanim dokończyła, otworzył dłoń. Miał w niej srebrny kolczyk sprężynkę, taki sam jak te, które dzisiaj założyła. Złapała się szybko za uszy; w prawym brakowało kolczyka.

- Leżał na dywanie na dole. Wiedziałem, że jest twój. Miałas je na sobie w zeszłym tygodniu, u Lauren.

Em była pewna, że to znak, na który czekała - rety, zupełnie jak mama i tata, i te głupie pompony! - ale w tym samym momencie usłyszeli głos Gabby.

- Nic mi nnie jest...! - zajęczała głosem, który świadczył o czymś przeciwnym. Następnie rozległ się łomot, jakby na coś wpadła, a potem chichot. Wreszcie stanęła w drzwiach, podtrzymywana przez Fionę Marcus. Miała potargane włosy, wisior naszyjnika przewędrował na jej plecy. - Zach... Em, wszystko w po-rząd-ku.

- Ubzdryngoliłaś się, skarbie - stwierdził Zach i w jednej sekundzie ulotniło się wszystko, co było między nim i Em. Objął Gabby ramieniem, zwalniając Fionę. - Wracamy do domu?

Emily weszła czym prędzej w swoją rolę najlepszej przyjaciółki, otrząsając się, nie bez pogardy wobec siebie samej, z tego, co się przed chwilą wydarzyło.

- Gdzie twój płaszcz, Gabby? Zach odstawi cię do domu. Gabby wskazała ręką na łóżko.

- Kcieś tam. I c-co się dzieje, Emmie? - wymamrotała. - Wy--glądasz, jakby przestraszyło cię Ponure Dziwadło. - Zachichotała.

- Poszukam płaszcza - powiedziała Em do Zacha, ignorując uwagę o Ponurym Dziwadle. Nazywali tak jednego chłopaka, który chodził kiedyś do ich szkoły. Chodził korytarzami, mamrocząc do siebie, i wpatrywał się w ludzi. Ale pewnego dnia zniknął. Miał na imię Colin, przez niektórych zwany był również Wroną. Em przypomniła sobie nagle, że był przyjacielem Drei Fieffer. Tak jak Sasha. I nabijali się z niego, tak samo jak z Sashy, bo był łatwym celem. Pokręciła głową, zawstydzona.

Zach zaczął holować Gabby na dół. Em dwa razy przekopała się przez stertę ciuchów na łóżku, szukając firmowego płaszcza Gabby - BCBG, z czarnej wełny, z paskiem, z olbrzymią broszką w kształcie serca. Potem szukała jeszcze pod łóżkiem i w szafie, ale poszukiwania nic nie dały. Gabby musiała zostawić go gdzie indziej, o czym zapomniała; kiedy wytrzeźwieje, na pewno sobie przypomni.

W takim razie Zach pożyczył Gabby swoją kurtkę, która niemal ją pochłonęła. Odprowadzając ich wzrokiem, Em czuła się, jakby połknęła kawał tektury.

- Będą białe święta! - krzyczeli ludzie, łapiąc na języki płatki śniegu, kiedy parę minut później Em i JD szli do jego samochodu. Em widziała obłoczki pary wydobywające się z ich ust.

- Co za wieczór. - JD westchnął, otwierając jej drzwi wozu. Em skinęła bez słowa. W głowie gotowały się jej myśli; dziwne, że z niej jeszcze nie dymiło. Zach. Gabby. Sasha Boulder. Jezu... Sasha. Za dużo jak na jeden wieczór. JD zawrócił na trzy i ruszyli w drogę powrotną. Siedzieli w ciężkim milczeniu; zupełnie jakby wydarzenia mijającego wieczoru przybrały fizyczny kształt i utkwily między nimi. Em patrzyła przez okno na iglaki i gołe gałęzie drzew, które plątały się i stapiały w jedność, im głębiej zagłębiała w las. Minęli Chase'a, który włókł się do swojego vana.

- Zapytajmy, czy potrzebuje podwózki - powiedziała Em, przerywając ciszę. - Zach mówił, że trochę się dziś sponiewierał. - Miała nadzieję, że JD nie zauważył zmiany w jej głosie, kiedy wspomniała o Zachu. Skinął głową i Em opuściła szybę.

- Hej, Chase, podwieźć cię? - Może jak pomogą Chase'o-wi, będzie mogła sobie darować to, do czego prawie doszło na górze z Żakiem.

Albo właśnie, że do niczego nie doszło. Em gardziła sobą za odczuwany z tego powodu zawód.

- Nie, wszystko gra - odparł Chase. Wyglądał okropnie; jego twarz była kredowobiała. - Serio. Jedźcie.

- Nie daj się prosić, Chase - nalegała Em. - Wskakuj na tył. A może byśmy skoczyli do McDonalda? - W jej głosie słyhać było błagalną nutkę.

- Już mówiłem, Winters, wszystko gra. Ale dzięki. - Em wiedziała już, że go nie przekona. Ale przynajmniej wydawał się trzeźwy. Pomachała, ale Chase wpatrywał się w ziemię i nie widział. Tuż za zakrętem w świetle reflektorów ukazały się trzy dziewczyny. Em krzyknęła; pojawiły się na jezdni tak nagle i tak blisko, że była pewna, że JD w nie uderzy. Ale choć niewiele brakowało, minęli je bezpiecznie. W ułamku sekundy Em nawiązała kontakt wzrokowy z jedną z nich: wysoką, ponętą rudowłosą dziewczyną o zielonych oczach. Na moment stanęło jej serce; to było dziwne, jakby kombinacja *déjà vu* z tym uczuciem, którego doświadczasz, patrząc na fotografię swojego przodka, który wygląda dokładnie tak samo jak ty.
- Co jest? - zapytał JD, zaniepokojony okrzykiem, który wyrwał się jej z piersi.
- Och, po prostu bałam się, że je potrącisz - stęknęła Em.
- Kogo? - JD zerknął w lusterko wsteczne. - Nikogo nie widziałem.
- Te dziew... - zaczęła Em, ale kiedy się odwróciła, żeby na nie spojrzeć, już ich nie było.

#### Rozdział 4

Chase zostawił auto z dala od imprezy. Jeśli tylko było to możliwe, nie chciał, by jego stary van rzucał się wszystkim w oczy. Poza tym mroźne powietrze pomogło mu wytrzeźwieć. Był wdzięczny Em za propozycję podwózki, ale nie zniósłby teraz towarzystwa innych ludzi. Zamierzał trochę posiedzieć w swoim wozie i pomyśleć, a dopiero potem wrócić do domu.

Mijały go samochody, dudniąc muzyką, której wtórowały wrzaski, a potem znikwały w ciemności. Odprowadzał wzrokiem ich czerwone tylne światła, słyszał cichnące mruczenie silników. Nadal padał śnieg. Chase czuł na swojej twarzy miękkie i wilgotne płatki.



Nagle coś mu się przypomniało i odpłynął, nie czując nawet zimnego wiatru smagającego jego ramiona przez kurtkę. Wiele zim temu, kiedy miał osiem lat, do ich drzwi zapukał oficer Wo-relly. Mama otworzyła, a potem stała na śniegu w kapciach i płakała. Chase nie rozumiał czemu, gdyż mama wepchnęła go - dość gwałtownie - z powrotem do przyczepy. Tamtego dnia jego ojciec miał wypadek. Chase poznał wtedy smak straty.

Ale tamta strata przyniosła swego rodzaju ulgę. Chase nigdy nie lubił swojego ojca. Zawsze uważał, że ojciec zasłużył sobie na to, co go spotkało - śmiertelnie oberwał w głowę poluzowaną częścią jednego z fabrycznych urządzeń. Zbyt wiele razy widział, jak bił mamę. Nie poczuł nic innego prócz odrętwienia na wieść, że ojciec już nigdy nie wróci.

Teraz, przemierzając ciemność, również czuł to odrętwienie.

Szedł już długo, a minął zaledwie dwa czy trzy domy, wszystkie pogrążone w ciemności. Nic dziwnego, że nikt nigdy nie nasyłał policji na Minstera. Nikt nie słyszał odgłosów imprezy. Nie tak jak w jego sąsiedztwie - tam nie dało się nawet spuścić wody w klozecie, by wszyscy o tym nie wiedzieli. Nim dotarł do samochodu, miał całkiem zdrętwiałe palce. Opornie szło mu z kluczykami - upuścił je raz, a gdy przeklinając, podnosił je z ulicy, usłyszał w pobliżu dźwięczne głosy. Wyteżył wzrok.

- Halo?

Ze śnieżnej mgły wyłoniła się dziewczyna, a potem jeszcze dwie. Chase mimowolnie rozdziawił usta; te laski były niesamowite. Pierwsza, rudowłosa, o jasnej cerze, uśmiechała się do niego. Pozostałe dwie - jedna jasna blondynka o kobiecych kształtach i druga, drobna miodowłosa z czerwoną wstążką na szyi - trzymały się z tyłu, a ich piękne twarze miały poważny wyraz. Wszystkie trzy spowijało dziwne światło; pewnie księżyc odbijał się od śniegu.

A może nadal był bardziej pijany, niż myślał.

- Hej, nie chciałyśmy cię przestraszyć - odezwała się ruda, podchodząc do niego. Kiedy się zbliżyła, zauważył pojedyncze białe pasemko w jej włosach, z lewej strony. - Jestem Ty. A to moje kuzynki, Ali i Meg.

Chase odchrząknął.

- Eee, cześć. Chase.

- Cześć, Chase - powiedziały wszystkie trzy, niemal jednocześnie.

- Skończyła się nam benzyna. - Ty wskazała za siebie i Cha-se'owi wydało się, że widzi zarys samochodu na ulicy. - Mógłbyś nam pomóc? - Jak na dziewczynę, która utknęła na odludziu podczas śnieżycy, wydawała się niesamowicie wyluzowana.

- Podrzucić was na stację benzynową? Albo coś?

- Byłoby super, dzięki - zgodziła się Ty. - Może ja z tobą pojedę, a Ali i Meg zaczekają w samochodzie?

Chase nie wierzył w newage'owe bzdury, choć jego mama była parę razy u medium i po powrocie zawsze mamrotała jakieś brednie o afirmacjach i czakrach. Nie wspominając już, że pierwszy raz poszła do wróżki po to, by spróbować nawiązać kontakt ze zmarłym ojcem Chase'a, dupkiem, który zniknął na cały tydzień, aby brać udział w niekończących się libacjach, a potem wracał, by doprowadzić się do porządku i opróżnić lodówkę.

Pomimo to, przemknęło mu przez myśl, że to przeznaczenie -znak od losu. Owszem, impreza była do kitu - wieści o Sashy zepsuły nastrój i niespecjalnie był w formie, by zbierać numery czy przy kimś bliżej się zakręcić - ale teraz miał zostać sam na sam z najseksowniejszą dziewczyną, jaką w życiu widział. To musiało być przeznaczenie.

Wszystko będzie dobrze.

- Była dziś jakaś impreza? - zagadnęła Ty, kiedy już wsiedli do samochodu. Ledwo powstrzymał się, by nie strzepnąć płatków śniegu z jej włosów. Chciał nachylić się i zaciągnąć jej słodkim zapachem. Odpalając samochód, czuł się jak za sterami statku kosmicznego, którym wyruszą w śnieżną noc: zbadają ciemne, wijące się drogi, obwiedzione gołymi drzewami, za którymi były puste pola.

- Tak... coś w rodzaju imprezy świątecznej - potwierdził, natychmiast dając sobie w myślach kopa za to, jak beznadziejnie to zabrzmiało. Pewnie wyobrażała sobie ludzi tańczących w przebraniach elfów.

Dodał szybko: - No wiesz, trochę znajomych i tak dalej. - Był pewien, że dziewczyna jest ze studentką.

- Brzmi nieźle. Uwielbiam imprezy. - Ty uśmiechnęła się do niego w ciemnościach. - Nie żałujesz czasem, że nie ma już takich imprez jak kiedyś? Balów z karnecikami, oficjalnymi zaproszeniami i tańcami salonowymi? Albo balów maskowych? Strasznie bym chciała pójść na bal maskowy. A ty?

- Pewnie - bąknął, wdzięczny, że nie było jej u Minstera i nie widziała, jak usiłował zorganizować beer-ponga. - Studiujesz może historię albo coś takiego?

- Coś takiego - odparła Ty ze śmiechem. Jej śmiech przypominał brzęczenie monet. Chase nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Gmerał przy radiu, próbując ustawić coś wyrafinowanego i nastrojowego. - Boże, ten śnieg jest niesamowity - sapnęła nieznajoma, patrząc przez okno. - Przypomni mi się taki jeden stary wiersz. Było tam o padającym śniegu i o rozpacz.

Chase był tak zafascynowany Ty, że ledwo rejestrował to, co działo się poza samochodem. Mijane drzewa zlewały się ze sobą, zupełnie jakby oglądał film na szybkim przewijaniu. Ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Jakby spryskała się feromonami albo coś.

A potem odwróciła się i wbiła w niego oczy.

- Słyszałeś te syreny wcześniej? Wiesz może, co się stało? Zaszło mu w ustach. Była to ostatnia rzecz, o jakiej chciałby rozmawiać. - Nie. Pewnie był jakiś wypadek... Wielu ludzi po prostu nie potrafi jeździć w taką pogodę. - Nic nigdy nie dzieje się przypadkiem - stwierdziła Ty, ponownie uśmiechając się do niego. Jej oczy błyszczały jak u kota. - Nie sądzisz? Chase nie wiedział, o co jej tak właściwie chodzi, ale mimo to przytaknął. Jednego był pewien: poznanie Ty nie było przypadkiem - było mu pisane. Na stacji benzynowej Ty zwinnie wyskoczyła z auta.

- Pójść z tobą? - zapytał Chase, wskazując głową na całodobowy sklep. Całe szczęście, nie pracowała w nim jego mama.

- Nie, dzięki, dam radę - szepnęła, posyłając mu uśmiech. Patrzył, jak weszła do środka i zapłaciła za benzynę, a potem

subtelnie odrzuciła pomoc, zaproponowaną jej przez oczarowanego kasjera. Zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na zimno, kiedy stała przy dystrybutorze, napełniając kanister. Chase wysiadł i podbiegł do niej, rytmicznie pocierając ręce.

- Może jednak ci pomogę?

- Radzę sobie - powiedziała. - Widzisz? Prawie skończyłam. - Przyglądał się jej bladym, drobnym dłoniom, kiedy odwieszała wąż dystrybutora. Pomyślał, że musiała być przemarznięta, ale ona nie drżała, tylko się uśmiechała. Jeszcze nigdy nie spotkał się u nikogo z taką lekkością, taką swobodą. W drodze powrotnej Chase ledwo mógł się skupić na prowadzeniu. Miał na swoim koncie wiele podbojów, ale Ty była starsza i bardziej wyrafinowana od jego koleżanek ze szkoły. Dokładnie tego potrzebował - dziewczyna taka jak ona mogła mu wynagrodzić wszystko, co w jego życiu nie grało. Byłaby idealną partnerką na Święto Futbolu.

Kiedy dotarli do samochodu dziewczyn, staromodnego bordowego lincolna, Ali i Meg zabrały się do nalewania benzyny, zaś Ty wzięła Chase'a za rękę i odciągnęła go na bok.

- Całe szczęście, że na ciebie trafiłyśmy - odezwała się z błyszczącymi oczami.

- Wygląda na to, że jestem twoim rycerzem w lśniącej zbroi - zażartował Chase, tłumiąc nerwowy śmiech. Zrobił niezgrabny krok naprzód. - Wiesz, mogłabyś mi się jakoś odwdzięczyć. - Nachylił się, jeszcze bardziej zmniejszając dystans między nimi, licząc na to, że Ty zignoruje jego beznadziejne zabiegi i go pocałuje.

Ale Ty tylko się roześmiała, odrzucając do tyłu swoje rude włosy.

- Proszę - powiedziała. - Weź to. - Wręczyła mu czerwony kwiat o ciekawym kształcie. Skąd go wzięła... miała go w kieszeni? Kiedy brał go od niej, ich palce się dotknęły i Chase'a przeszedł dreszcz.

- Pierwszy raz widzę coś takiego - wymamrotał, obracając kwiat w dłoni, która nagle wydała mu się zbyt niezdarna, by mógł w niej trzymać coś tak pięknego i delikatnego.

- Pewnie jeszcze wielu rzeczy nie widziałeś - skwitowała i ponownie się roześmiała, podczas gdy Ali i Meg zawołały ją do samochodu. Zaczęła oddalać się od Chase'a, cały czas utrzymując z nim kontakt wzrokowy.

- Dasz mi swój numer? - zapytał Chase w ostatniej chwili.

- Wkrótce się zobaczymy - obiecała Ty. - Jestem tego pewna. - Uśmiechnęła się. Miała idealne zęby. Ona cała była idealna.

Chase wrócił do swojego vana. Czuł się jak zahipnotyzowany. Szamocząc się z zamkiem, patrzył na mijającego go lincolna; zanim odpalił samochód, tylne światła wozu dziewczyn już zniknęły w ciemności.

Ujechał nie więcej niż trzydzieści metrów, gdy zerknął w lusterko wsteczne i natychmiast wdepnął hamulec. Mógłby przysiąc, że dziewczyny znowu tam były. I że polewały samochód benzyną. Jakby zamierzały go spalić.

Chase pokręcił głową, szybko zamknął i otworzył oczy. Kiedy ponownie spojrzął w lusterko, jezdnia za nim była pusta i ciemna. To ze zmęczenia, pomyślał. Muszę się ogarnąć.

Zacisnął dłonie na kierownicy i ruszył; płatki śniegu coraz szybciej opadały na przednią szybę i w końcu widział przed sobą jedynie wirującą białą mgłę.

**Akt II**  
Nieodwracalne  
lub  
Po imprezie

## Rozdział 5

Następnego ranka Em poderwała się gwałtownie na łóżku, w głowie mając nadal obrazy z mrocznego, pozbawionego sensu koszmaru. Parę razy zamknęła i otworzyła oczy, próbując pozbyć się uczucia niepokoju. Zmieniając bok, znalazła się twarzą w twarz z Cordym, częściowo ukrytym pod stosem poduszek, między którymi Em spędzała każdą noc.

Jej serce zaczęło mocniej bić, bo natychmiast przypomniała sobie zeszły wieczór: porozumiewawczy uśmiech Zacha, jego dłoń na swojej talii... Chciał, by zobaczyli się w ferie. A ferie zaczęły się dzisiaj. Gabby wyjeżdża już za parę godzin, a jutro Wigilia.

Będzie mnóstwo czasu, żeby zobaczyć się z Żakiem.

Tyle że nie mogła. Nie po tym, co wczoraj powiedział. Czy domyślał się, co czuła? Nie mogła się z tym zdradzić. Bolała ją głowa od myślenia na ten temat.

Nagle, pod poduszką, zadzwonił cicho telefon. Gabby. Em wiedziała, że musi odebrać, ale jakaś część niej nie chciała tego zrobić. Zaczekała jeszcze dwa dzwonki, nim powoli wyciągnęła komórkę.

- Cześć, piękna - powiedziała wesoło Gabby. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam! Niedługo jedziemy na lotnisko i chciałam się pożegnać. Myślisz, że mogę zabrać to białe bikini, które kupiłam zeszłego lata, czy to przegięcie jak na rodzinną wycieczkę?

- Czemu przegięcie? - Em usiadła, starając skupić się na rozmowie.

- Bo jest dość skąpe.

Em się roześmiała. Gabs była naprawdę słodka z tą swoją troską o innych. Zaraz też dopadło ją poczucie winy tak silne, że aż zrobiło się jej niedobrze. Gabby to jej najlepsza przyjaciółka. A ona o czym ostatnio rozmyślała?

- Myślę, że ujdzie. Zresztą, sama nie wiem. Zawsze możesz je włożyć, kiedy będziesz na plaży bez rodziców.

- Racja. Będę je wkładać, kiedy pójdą zwiedzać albo coś -zdecydowała Gabby, a potem głośno westchnęła. Em czekała. Czy teraz Gabs powie coś o Zachu? Tak bardzo chciała się jej zwierzyć, przeanalizować z przyjaciółką każdy krok, tak jakby to zrobiły, gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego chłopaka. Ta cisza strasznie ją męczyła. Czuła, że poczerwieniały jej uszy, jak zawsze, gdy kłamała. - Matko, ale jestem skacowana - powiedziała w końcu Gabby. - Normalnie jakbym miała martwicę mózgu. Dobrze się składa, że posiedzę sobie siedem godzin w samolocie.

- No... troszkę się wczoraj ubzdryngoliłaś - zauważyła Em, przypominając sobie Gabby holowaną przez Zacha. W jednej sekundzie przemienił się z flirtującego z nią Zacha w Zacha chłopaka Gabby. Jakie to dziwne. - Rzygałaś?

- Uhm - jęknęła Gabby. - Jak już wróciłam do domu. Całe szczęście, że Zach tego nie widział. Nigdy więcej ponczu. Poważnie. Obudziłam się w ubraniu. Miałam na sobie nawet kurtkę Zacha! Nie znalazłaś mojego płaszcza, co?

- Przetrzęsnałam cały pokój. Nie było go tam. Jesteś pewna, że nie zostawiłaś go gdzie indziej? Gabby westchnęła.

- Nie. Pamiętam, że rzuciłam go na łóżko. Hm. Może ktoś go zabrał przez pomyłkę?

Em wiedziała, że to mało prawdopodobne; płaszcz Gabby, z przypinką w kształcie serca i różową podszewką, był jednym z jej znaków firmowych. Ale powiedziała:

- No może. Na pewno w końcu się znajdzie.

- Rany... Obiecuj, że nie pozwolisz, żebym się jeszcze kiedyś tak spała.

- Umowa stoi. Zero ponczu dla pani.



- Okej. Muszę dokończyć pakowanie - stwierdziła Gabby. -Będę tęsknić. Jeśli poznam jakiegoś gorącego Hiszpana, zaraz ci go podeślę. A tak poważnie, to nie mogę się doczekać, kiedy się spotkamy po powrocie - dodała ni stąd, ni zowąd. - Kiedy spędzimy ze sobą trochę czasu, wiesz? Tylko my dwie. Wyprawa do Bostonu, kino, wspólne spanie.

- Baw się dobrze, Gabs - życzyła jej Em. - Też będę tęsknić. - Uświadomiła sobie, że mówi to szczerze. Nigdy nie robiła niczego bez Gabby.

- Na razie, Em. Pamiętaj, żeby mieć Zacha na oku, kiedy mnie nie będzie!  
Em przełknęła ciężko ślinę.

- Okej - wykrztusiła. - *A bientôt, escargot!* - Em zaczęła tak mówić, kiedy w wakacje po pierwszej klasie przez trzy tygodnie uczyła się francuskiego. Znaczyło to: „do zobaczenia, ślimaku”. Dość głupawa odzywka, ale weszła jej w nawyk i stała się ich stałym pożegnaniem. Gabby zachichotała.

- *A bientôt, escargot!*

Em się rozłączyła. Czowała ciężar w żołądku, jakby miała w nim kulę do kregli, i spędziła resztę dnia, oglądając stare odcinki *Seksu w wielkim mieście* na laptopie. Podrywała się na każdy dźwięk esemesa, ale to tylko Lauren pytała, czy Em nie chciałaby wpaść na wspólne pieczenie świątecznych ciasteczek z nią i Fiona, albo JD narzekał, jacy beznadziejni są jego kuzyni. Zero wieści od Zacha. Ponieważ oboje jej rodzice wzięli nocne dyżury, aby mieć wolne w święta, Em miała cały dom dla siebie. Zwykle ją to cieszyło i korzystała z wolnej chaty, ćwicząc układy taneczne w salonie albo opychając się lodami podczas niekończących się sesji telefonicznych z Gabby. Ale dzisiaj dom wydawał się jej po prostu duży i pusty. Jeszcze większy i bardziej pusty, niż kiedy byli w nim rodzice. Aż nagle, gdy już zasypiała, dostała wiadomość. Od Zacha.

„Co byś chciała dostać w tym roku na gwiazdkę?”

Poczuła przyjemne mrowienie na całym ciele. Nie mogła nic na to poradzić. Trzy razy przeczytała wiadomość. Kusiło ją, by odpisać „Ciebie”, ale nie chciała wyjść na desperatkę.

„Szczeniaczka!” - odpisała w końcu.

„Dopilnuję, żeby Mikołaj się dowiedział. Słodkich snów!”

W jednej chwili świat przestał wydawać się nieskończenie wielki i pusty. Em przyciskała telefon do mocno bijącego serca, czując nagle pragnienie, by odrzucić kołdrę i zatańczyć na łóżku.

Do zoba wkrótce, mam nadzieję, napisał jeszcze, kończąc wiadomość uśmiechem. Em czuła, że się roztopia. Miała rację - Zach był nią zainteresowany, równie mocno jak ona nim. A więc jest na tym świecie ktoś, kto uważa ją za wyjątkową. Komu naprawdę na niej zależy.

Ale to niemożliwe, żeby między nimi do czegoś doszło. Wiedziała to. Oczywiście, że wiedziała. Ale nieważne. Liczył się tylko ten moment - to, że myślał o niej.

Zasnęła, tuląc do siebie Cordy'ego.

- Sajgonki są jednym z największych wynalazków ludzkości - oznajmiła Em, odgryzając pyszny, parujący i chrupki kawałek. - Chyba lubię je bardziej od twizzlersów. Chyba nawet bardziej od telewizji.

- Racja, przyjaciółko. - JD uśmiechnął się do niej szeroko z pełnymi ustami. - Totalnie popieram. Następnego dnia po wiadomości od Zacha Em ciągle była rozpromieniona. Rodziny Em i JD tradycyjnie spotykały się w Wigilię i zamawiały górę chińszczyzny. Raczyli się ajerkonia-kiem i śpiewali kolędy, dekorując choinkę Wintersów. Fountowie ubierali swoją parę tygodni wcześniej - pani Fount była jedną z tych osób, które mają całą szafę przeznaczoną wyłącznie na ozdoby świąteczne. Owszem, sajgonki i ajerkoniak stanowiły dziwne, może nawet trochę ryzykowne połączenie, ale był to jedyny znany Em sposób na wprowadzenie się w świąteczny nastrój.

Kiedy choinka została ubrana, Em i JD ulotnili się do pokoju telewizyjnego na *Emmet Otter's fug-Band Christmas*<sup>3</sup>, młodsza siostra JD, Melissa, ewakuowała się, by pogadać z nowymi przyjaciółkami z gimnazjum, a rodzice sprząтали i gadali.

Emily usadowiła się wygodnie na kanapie, objedzona i zrelaksowana. JD, który odpalił się dziś do Wintersów w burgundową aksamitną marynarkę - według niego, elegancki strój wieczorowy, z którego Em nie mogła przestać się nabijać - żonglował pilotami, usiłując ściszyć telewizor. Ze zsuwającymi się z nosa okularami i nastroszonymi włosami wyglądał jak szalony profesor z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Ledwo zaczęły lecieć napisy początkowe, telefon Em zabrzączał.

- Hm, kto to może być? - mruknęła, usiłując przysunąć sobie telefon stopą. - Podasz mi komórkę, Panie Elegancki? - Ale w tej samej chwili, gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że to może być Zach, i poderwała się błyskawicznie.

- Łau, nie wiedziałem, że potrafisz się tak szybko ruszać po kurczaku Generała Tso - powiedział JD, zadowolony, bo udało mu się w końcu odkryć, który pilot był do nagłośnienia. Kiedy w tle rozległy się trąbki, Em otworzyła telefon. I owszem, miała jedną nową wiadomość od Zacha.

„Co porabiasz? Może pomogłabyś mi powiesić światełka?”

Em zaczerwieniła się, a jej serce zaczęło mocniej walić. Nie piszesz do dziewczyny - do przyjaciółki - w Wigilię, o ile nie jesteś nią poważnie zainteresowany.

Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na JD, który nakrywał się właśnie kocem na drugim końcu kanapy, odpisała:

„A siedzę w domu, będę niebawem”.

Spoczęły się jej dłonie i palce ślizgały się po przyciskach.

- Muszę lecieć - rzuciła krótko. Starła się wyglądać tak normalnie, jak to tylko możliwe. Miała lekkie wyrzuty sumienia, że porzuca JD. Ale jest Wigilia, a ona po prostu chce pomóc przyjacielowi, to wszystko.

---

<sup>3</sup>Świąteczny film dla dzieci o psotnych wydrach, adaptacja książki Russella Hobana (przyp. red.).

- Co?! Aż tak bardzo boisz się tych cholernych wydr? - zapytał JD, najwyraźniej myśląc, że żartowała. Wydał z siebie jęk protestu, gdy wstała i ruszyła do drzwi prowadzących do kuchni. Przystanęła w nich, zwracając się jednocześnie do swoich rodziców i JD:

- Muszę pomóc Zachowi - oznajmiła ogólnikowo. - Wiecie, jak to jest z facetami: z niczym sobie nie radzą, kiedy na chwilę zostaną bez dziewczyny.

- Ooo, Gabby wyjechała? - zdziwiła się mama, choć Em była przekonana, że wspominała jej o tym przynajmniej ze dwa razy; a nawet jeśli nie, to Gabby zrobiła to na pewno.

- Tak... i wygląda na to, że Zach nie potrafi powiesić światełek. - Em nie zaryzykowała kolejnego spojrzenia na JD, nie chciała widzieć jego rozczarowania. Wiedziała, że nie przepadał za Żakiem. Właściwie, to nie lubił nikogo z jej znajomych. I była to jedyna rzecz, w której nie mogli dojść do porozumienia. JD utrzymywał, że go ignorowali. Em zarzucała mu, że trzymał na dystans wszystkich tych, którzy regularnie byli zapraszani na imprezy i na nich bywali.

- Rodzice Zacha są w domu? - zapytała mama Em.

- Nie wiem. Tak. Może. Nie mówił. Wrócę za jakąś godzinę. - Em ruszyła schodami na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, jakby uciekała przed poczuciem winy.

W pokoju przejrzała ubrania leżące na biurku i na łóżku, by ostatecznie zdecydować, że zostanie w spodniach dresowych i bluzie z kapturem. W końcu była to niewinna wizyta, prawda? Ale nim wyłączyła światło, podeszła do toaletki i pociągnęła rzęsy tuszem, a na usta nałożyła błyszczący. Jadąc do Zacha, miała wrażenie, jakby jej brakowało tchu. W żołądku czuła szalejące sajgonki. Choć było mroźnie, uchyliła okno, licząc, że świeże powietrze pomoże jej uporządkować myśli.

Co ona wyprawia?

Och, nic takiego. Po prostu jedzie w wieczór wigilijny do domu chłopaka swojej najlepszej przyjaciółki pod śmiesznym pretekstem.

Opuściła bardziej szybko i wzięła głęboki oddech - wciągnęła powietrze nosem, a wypuściła ustami, jak uczyła ją Gabs po zaliczeniu paru zajęć jogi. Szybko odsunęła od siebie myśli o Gabby.

Zostanę tylko chwilę, powiedziała sobie, ściskając mocniej kierownicę, jakby chciała pokazać samej sobie siłę swojego przekonania. Nie ma nic złego w małym, niewinnym flircie. Wszyscy flirtują.

Gabby flirtowałyby z fotelem, gdyby tylko mogła. Ulice były puste, księżyc zasłaniały chmury. Miała włączone długie światła, a i tak mogła jedynie wlec się jak ślimak.

Natychmiast po wjechaniu na podjazd McCordów zobaczyła Zacha. Stał przed domem w spodniach roboczych Carhartt i flanelowej koszuli. Otaczały go migoczące światełka. Kiedy wysiadła z auta, odwrócił się do niej i uśmiechnął. Wyglądał zupełnie jak model.

- Hej, mała pomocniczko Świętego Mikołaja! - zawołał, rzucając jej koniec sznura z kolorowymi żarówkami. - Zawieś to na tamtej gałęzi przy płocie, okej?

Em zrobiła to, a potem podeszła do krzaka, który udekorował już wcześniej. Miała nadzieję, że wyglądała w świątecznej poświacie równie dobrze jak Zach. Czytała kiedyś w „Cosmo”, że wszyscy wyglądają korzystnie w świetle świec, a świąteczne dekoracje chyba można było pod to podciągnąć.

- Już rozumiem, czemu była ci potrzebna moja pomoc - powiedziała, poprawiając pospiesznie rozciągnięte sznurki światełek. - Dekorowanie domu na święta to wyraźnie nie twoja działka.

- Ej, moim zdaniem wyszło całkiem niezłe, zwłaszcza że robiłem wszystko sam - odparł Zach, wydymając wargi. Wiatr rozwiał mu włosy, przesłaniając nimi jedno oko.

Emily zadrżała i otuliła się szczelniej swoją kurtką.

- Gdzie rodzinka? - zagadnęła.

- Mama i ojczym są na imprezie charytatywnej w domu u jednego z jego przyjaciół prawników. Facet pomaga im z pozwoleniami czy coś... chodzi o nowe centrum handlowe. Ja tymczasem powinienem siedzieć kamieniem w domu i wkuwać algebrę.

- Jeszcze nie widziałam tego nowego centrum - powiedziała, natychmiast krzywiąc się w duchu, że wychodziła na nudziarę.

- Oj tam. Choć ojczym mówi o nim, jakby to był nowy Empire State Building albo coś takiego. - Zach kopnął śnieg przed sobą, cały czas patrząc, jak Em poprawiała światelka. - Pojechałem tam jednej nocy, żeby zobaczyć, jak pracują, i dla mnie wygląda to jak zupełnie normalne centrum handlowe.

- Pracują w nocy?

- Mają nadgodziny.

- W taki ziąb! - Zdrętwiały jej dłonie. Z trudem wieszala światelka i nie miała pojęcia, jak w tych warunkach można było pracować na budowie.

- No, cholernie zimno. - Zach spojrział w ciemne okno na piętrze. - Nic dziwnego, że mój brat postanowił spędzić święta w domu swojej dziewczyny. Laska pochodzi z Kalifornii.

Em podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Ale w Kalifornii nie ma szansy na białe święta - zauważyła.

- Ani na sztuczne, dołujące rodzinne obiady - wymamrotał Zach. Choć silił się na lekki ton, twarz miał ściągniętą, jakby mówienie przychodziło mu z trudem.

- Wiem... wiem, że ciągle musi ci być ciężko w święta - przyznała Em, modląc się, by Zach nie uznał, że posunęła za daleko. Jego ojciec zmarł nagle na polu golfowym dwa lata temu. Zach nawet z nim się nie pożegnał. Ona i Zach nigdy wcześniej nie rozmawiali o śmierci jego ojca. Gabby mówiła, że nawet z nią nie chciał o tym rozmawiać, i właściwie dopiero teraz Em uświadomiła sobie, jakie musiało być dla niego dziwne tak szybkie powtórne zamążpójście jego matki. Jak dziwnie musiało mu być zwłaszcza teraz, gdy jego starszy brat Ben wyjechał do college'u.

Myślała, co jeszcze powiedzieć, gdy tymczasem Zach podszedł do niej i wziął ją za rękę. Z początku myślała, że tylko sięgał po światelka, ale nie wypuścił jej dłoni.

- Cieszę się, że przyjechałaś, Em - szepnął, odwracając ją do siebie. Jej myśli się nagle ulotniły. Czuła się jak wirująca tancerka z pozytywki. Kręciło się jej w głowie.

- Zach, ja... - Urwała. Śniła o tej chwili, wyobrażała ją sobie setki razy. Ale teraz, gdy w końcu nadeszła, czuła, że... to nie

w porządku. Była przecież najlepszą przyjaciółką Gabby, a Zach jej chłopakiem. Najlepsza przyjaciółka i chłopak nie powinni tak się zachowywać.

Nagle Zach się uśmiechnął.

- Hej! Prawie zapomniałem o twoim prezencie świątecznym! - Sięgnął do kieszeni. - Niezapakowany. Wybacz. Proszę.

To była ozdoba na choinkę przedstawiająca pieska. Piesek był w przekrzywionej czapce Mikołaja, na szyi miał kokardę i gramolił się z częściowo rozpakowanego pudełka. Em trzymała cacko na dłoni, wpatrując się w nie zachwyconym wzrokiem.

- Widzisz? - Zach odsunął się nieco, nie spuszczać z niej oczu; Em była świadoma, że wyszczerzyła się jak idiotka. - Słuchałem. Jestem jak Święty Mikołaj.

- Ojejku. Szczeniaczek! Tak jak prosiłam. Zach, ja... - Uniosła wzrok, chcąc mu podziękować, i w tym samym momencie oberwała od niego śnieżką. - Hej! - Zaśmiała się.

- Wcale nie jestem taki miły, jak myślisz - powiedział, lepiąc kolejną śnieżkę.

Sięgnęła po śnieg, ulepiła śnieżkę i rzuciła w niego, po czym puściła się do ucieczki przez trawnik. Biegając, schowała pieska do kieszeni kurtki. Odchyliła do tyłu głowę, wystawiając twarz na wiatr i śnieg, to było takie przyjemne.

Popędził za nią, też się śmiejąc.

- Myślisz, że jesteś szybsza ode mnie? Gram na pozycji biegacza, Winters!

Obiegając sosnę, chwyciła nową porcję śniegu, ale tym razem nie zawracała sobie głowy lepieniem śnieżki, tylko od razu cisnęła śnieg przez ramię. Śmiała się tak bardzo, że bolał ją brzuch.

- Pogratulować celności! - zakpił Zach. - Zdaje się, że jeden płatek wylądował mi na bucie. - Chciał ją chwycić, ale śmignęła za dom i schowała się za szopą. Trafiła go parę razy, zanim ją zlokalizował, i ruszył w jej stronę, wymachując pięścią. Zachichotała i wycofała się zygzakiem w kierunku podjazdu. Nagle zorientowała się, że nie ma go za nią. Zwolniła, a potem się zatrzymała. Podwórko było puste. Nie zauważyła nigdzie

żadnego ruchu: ani na ścieżce, którą biegali wokół domu, ani na frontowym ganku, ani między drzewami.

- Zach? - zawołała niepewnie. Zrobiła krok w tył i rozejrzała się, ale wokół była tylko nieruchoma ciemność. Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. - Zach? Okej, to przestało być zabawne. Wyłaż. Wiesz, że boję się ciemności, prawda? Wygrałeś.

I nic. Ale zaraz - czyżby usłyszała trzask gałęzi po prawej? Obróciła się.

- Zach! Przestań! Wyłaż! - Teraz włączył się jej nerwowy chichot. Pozostawione przez nich na śniegu ślady błyszcząły w świetle księżyca i przez chwilę wydawało się jej, że usłyszała śmiech, ale nie Zacha, tylko bardziej dźwięczny, dziewczęcy. Nie. To musiał być wiatr. - Zach?!

Bach! Pojawił się nagle - musiał schować się z drugiej strony domu - i przewrócił ją na ziemię, jednocześnie ładując jej śnieg za bluzę. Wrzeszczała i rzucała się jak wściekła, gdy lodowaty śnieg palił jej nagą skórę. A potem leżeli, dysząc i patrząc w rozgwieżdżone niebo.

- Już się poddajesz? - zapytał Zach, a jego ciepły oddech omiół jej skórę. - Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, Em. - Czowała zapach jego wody kolońskiej, piżmowy, a jednocześnie świeży jak zapach sosny. Byli tak blisko siebie, że gdyby tylko się przekręciła...

- Och, jeszcze niczego nie widziałeś - odparła bez namysłu. Odchrząknęła, wstając i otrzepując się ze śniegu, byle tylko znaleźć się dalej od niego.

- Pewnie tak. - Jego oczy błyszcząły, gdy patrzył na nią z dołu. Żołądek Em fiknął salto. Czy on wiedział, jak na nią działa?

- Tylko czekaj, McCord - zagroziła mu, uderzając go lekko w ramię, kiedy już się podniósł. - Teraz jadę do domu i zbuduję taką śnieżną wyrzutnię, że się nie pozbierasz. - Ruszyła szybko przez trawnik. Miała już wsiąść do samochodu, gdy zawołał:

- Dzięki, że przyjechałaś, Em! Super było cię zobaczyć! - Odwróciła się, by odpowiedzieć, a wtedy śnieżka uderzyła ją prosto w żebra. Zach wyrzucił w górę piść. - Trafiona!



Podbiegła i wpadła na niego. A chwilę potem - wbrew pozorom chwila to dość czasu, żeby się zastanowić, powiedzieć nie, odsunąć się, zrobić wszystko to, czego ona nie zrobiła - pocałowała go. Tak bardzo byli do siebie przyciśnięci, że w brzuch wbijała się jej przez kurtkę klamra od jego paska. Delikatnie przygryzł jej dolną wargę. Chwycił go za kark. Było to takie namiętne; pierwszy raz czuła coś takiego podczas pocałunku.

Pocałunku, który skończył się zbyt szybko. Zach odsunął się, odgarnął włosy z jej oczu, a potem nachylił się i skubnął ją w ucho. Em miała wrażenie, że całe jej ciało zapłonęło.

- Łau - szepnął wprost do jej ucha, po czym zrobił krok w tył, cały czas przyglądając się jej, z rękoma na jej biodrach. Em zaśmiała się nerwowo, rozpaczliwie pragnąc odgadnąć jego myśli.

- Aha. - Przełknęła ślinę. Rozejrzała się, doświadczając nagle dziwnego wrażenia, że ktoś ich obserwował. Bez sensu. Kto miałby ich obserwować na odosobnionej posesji Zacha w Wigilię 0 dziewiątej wieczorem?

Rysował kciukami ósemki na jej plecach. Em najbardziej na świecie pragnęła znaleźć się na jego kanapie, a tam rozmawiać z nim i się całować. Chciała, żeby zanurzał palce w jej włosach. Chciała przyznać mu się, że nadal trzymała Cordy'ego w łóżku

1 że nigdy nie zapomni tego, co powiedział jej wtedy na festynie.

Ale Zach odsunął się od niej.

- Musisz zmykać do domu, świąteczny elfie. Mama i Tim wrócą lada chwila i...

Jego słowa były jak kubeł zimnej wody. Co za rozczarowanie. Ale Em starała się nic po sobie nie pokazać.

- Okej, okej. Jasne. - Umierała z pragnienia, by zapytać go, kiedy znów się zobaczą i co znaczył ten pocałunek, ale się powstrzymała.

- Oby Święty Mikołaj nie dowiedział się, że byliśmy niegrzeczni - szepnął Zach. Odsunął się, a ona, niemal bezwiednie, chwyciła go za rękę. To było coś więcej niż pocałunek. Znacznie więcej. Spojrzał na nią.

- Dobranoc... - To było wszystko, co zdołała z siebie wydusić. Uścisnął jej dłoń, a potem ją wypuścił. Przez chwilę stała nieruchomo w ciepłej poświacie świątecznych światełek. Wreszcie odwróciła się, a potem, odprowadzana przez niego wzrokiem, wróciła do auta i odjechała.

W drodze do domu Em włączyła radio i śpiewała razem z nim stare piosenki. Nadal czuła coś w żołądku; kula do kręgli zamieniła się w lekki balonik. Ona i Zach się całowali. Zach ją pocałował. Cały czas odtwarzała to w głowie.

- „Myślę, że jesteśmy teraz sami!” - wykrzyczała słowa piosenki.

Nagle w świetle reflektorów wyłoniła się jakaś postać; stała na poboczu. Przez moment Em widziała tylko jej twarz, jej rozdziawione, zastygłe w krzyku usta...

Przestraszona, szarpnęła kierownicą w lewo, a potem z powrotem. Samochodem zarzuciło. Zaczęła tracić nad nim kontrolę. Wcisnęła hamulec, zbyt nerwowo, zbyt gwałtownie. Znalazła się na poboczu, a potem w śniegu. Drzwi pasażera uderzyły w niski kamienny murek, a ona poleciała do przodu, niemal uderzając klatką piersiową w kierownicę, nim pas pociągnął ją z powrotem w tył.

Zapadła cisza, tylko radio nadal ryczało: „W pobliżu nie ma żywej duszyyy!”

Dygocząc, zdjęła ręce z kierownicy, wyłączyła radio i odpięła pas. Nie czuła, żeby miała jakieś obrażenia, ale serce waliło jej jak młotem, a spod maski wydobywała się strużka dymu. Wygrzebała telefon z torebki i wybrała numer Zacha. Była zaledwie parę kilometrów od jego domu - mógłby po nią przyjechać. Nie odbierał. Spróbowała jeszcze raz i znowu nic. Po trzeciej nieudanej próbie zadzwoniła do JD.

- Em?

Jak tylko usłyszała jego głos, zaczęła płakać.

- JD. Wypadłam z drogi. Na Rolling Hill, przy kamiennym murku? Nie wiem, co robić. - Jej zawroźnienie wypełniło samochód, zagłuszyło duszącą ciszę.

- Nie ruszaj się nigdzie. Przyjadę po ciebie - powiedział JD. - Niedługo będę, okej? Po prostu czekaj w samochodzie.

- Okej... okej - zachlipała, po czym rozłączyła się i ukryła twarz w dłoniach. Nagle przypomniała sobie o tamtej postaci na poboczu, przez którą wpadła w poślizg. Czy ktoś tam był? Em otworzyła drzwi i zawołała: - Halo?

Wysiadła ostrożnie. Znowu zaczął padać śnieg i o ile wczoraj mieli taką nadzieję, dziś można stwierdzić na pewno, że to będą białe święta. Rozglądała się, próbując sobie przypomnieć, gdzie dokładnie widziała tę postać, tę dziewczynę, czy cokolwiek to było. Nagle zobaczyła jakiś ciemny kształt na ziemi, po drugiej stronie jezdni. O nie. Do jej oczu znowu zaczęły napływać łzy i naciągnęła kaptur na głowę, jakby dzięki temu mogła przytłumić swoje myśli.

- Halo? Nic ci nie jest? - Zbliżyła się, wstrzymując oddech. Odetchnęła, gdy okazało się, że to tylko płaszcz.

- Halo? - zawołała ponownie, podchodząc, by go podnieść. Rozglądała się, by przypadkiem nie potknąć się o właścicielkę ubrania, leżącą gdzieś w śniegu. Ludzie tak po prostu nie znikali. Schyliła się po płaszcz. Podnosząc go, zobaczyła różową podszewkę. A na piersi była przypinka w kształcie serca. Zrobiło się jej gorąco.

- Co jest...?-wydusiła. To był płaszcz Gabby.

Zrobiła pełen obrót, szukając jakiegoś wytłumaczenia. Ale nie znalazła go między ciemnymi drzewami, pośród śnieżnej mgły ani na pustej drodze. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Zbieg okoliczności?

Wróciła do auta, niosąc płaszcz ostrożnie przed sobą, jakby był żywą istotą. Otworzyła drzwi i cisnęła go na siedzenie pasażera, nie przejmując się, że wylądował na podłodze przed siedzeniem. Ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę teraz patrzeć, to ulubiony płaszcz Gabby. Usiadła w fotelu, ale coś ją uwierało i podniosła się, by to sprawdzić.

Na siedzeniu leżał kwiat. Przepiękny storczyk, o płatkach w kolorze krwistej czerwieni. Jeszcze nigdy takiego nie widziała. Z pewnością nie było to coś, na co w Maine byłby teraz sezon.

Podniosła go, obracając w dłoni. Zach musiał go jej podrzucić. Może wtedy, gdy zniknął na parę minut? Ale jak to możliwe, że nie zauważyła go, gdy wsiadła do samochodu?

Pokręciła głową, próbując odpędzić wątpliwości. To musiał być prezent od Zacha. Podrzucił go jej. Nie ma innej możliwości. Ale choć wszystko sobie wytłumaczyła, patrzenie na storczyk wzbudzało jej niepokój, i ostatecznie schowała go do torby, którą starannie zamknęła, jakby kwiat mógł z niej wyskoczyć i ją pożreć.

## Rozdział 6

Chase wiedział, że musi znaleźć Ty, ale nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Nigdy wcześniej nie widział ani jej, ani jej kuzynek, do tego nie zdradziły nawet słowem, skąd pochodzą, dokąd się wybierają. Ale Ty powiedziała, że na pewno wkrótce się spotkają, więc musiała być gdzieś w okolicy. Chase nie zamierzał czekać na kolejny szczęśliwy przypadek - postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

W sobotę przeszukał stare centrum handlowe, przemykając między tymi wszystkim, którzy w ostatniej chwili robili zakupy świąteczne, i zaglądając do sklepów, których w normalnych okolicznościach unikał jak zarazy, w nadziei, że gdzieś dostrzeże rudą grzywę Ty albo usłyszy jej dźwięczny śmiech. Wieczorem spatrołował parkingi restauracji i barów, wypatrując bordowego lincolna.

Nie mógł pozwolić, by ta dziewczyna mu się wymknęła. Musiał ją zobaczyć. Pragnienie było tak silne, że nawet przez chwilę nie mógł zaznać spokoju. Był pobudzony, bolały go mięśnie, swędziała skóra. Po raz pierwszy od lat myślał o jednym z ostatnich razów, kiedy widział ojca. Było to po dwutygodniowym pijackim maratonie. Ojca przywiozła do domu policja. Był wychudzony, śmierdzący, na wpół żywy. Ledwo się obudził, zażądał alkoholu.

„Muszę się napić”, powiedział, patrząc na syna z desperacją w oczach; Chase odsunął się od niego z niechęcią.

Teraz rozumiał, co wtedy czuł jego stary.

Po przejechaniu po raz drugi obok spożywczego wstąpił do Dunkin Donuts, by napić się kawy i uporządkować myśli. Gdzie piękna, tajemnicza kobieta mogłaby spędzać przedświąteczny dzień? Pojechał na plac w centrum - tam znajdowały się salon manikiuru, fryzjer, wypożyczalnia filmów i Pete's Pizza. Wziął głęboki oddech i wszedł do salonu kosmetycznego, wyciągając szyję, by zobaczyć kobiety siedzące na poszczególnych stanowiskach. Ty tu nie było.

Recepcjonistka zmierzyła go wzrokiem i zapytała:

- Życzysz sobie manikiur, przystojniaku?

- Nie, szukam kogoś - odparł Chase, opuszczając salon. To było bez sensu. Chyba tylko cudem mógłby ją znaleźć. Ale potrzeba zobaczenia jej była nawet silniejsza niż przedtem. Nie umiał tego wyjaśnić. Jeszcze nigdy nie odbiło mu aż tak na czyimś punkcie. Była inna od pozostałych dziewczyn i nie potrafił przestać o niej myśleć. Normalnie go prześladowała.

- Hej, Singer, zrobiłeś sobie paznokcie na święta? - Chase odwrócił się i zobaczył idących w jego stronę kolegów z drużyny: Andy'ego Bartona, Seana Wagnera i Nicka Trolla. Dopiero teraz zauważył, że salon, z którego wyszedł, nazywał się Paznokcie Księżniczki. Super.

- Nie, dupki. Szukałem... mojej mamy - powiedział Chase.

- Teraz tu pracuje? Znaczą awansowała? - Andy się roześmiał. Chase nie.

- Szkoda, że ty nigdy nie awansujesz z ławki rezerwowych, Barton - warknął, bezwiednie wypinając pierś do przodu. Pozostali chłopcy parsknęli śmiechem. - Muszę lecieć. Na razie - rzucił, idąc do swojego vana.

Wsiadając do samochodu, nadal słyszał ich śmiech, ale gdy zamykał drzwi, Sean zawołał:

- Wesółych świąt, księżniczko!

Chase przewrócił oczami, a odjeżdżając, pokazał im środkowy palec.

Wstał późno następnego dnia i przeczytał liścik, który mama zostawiła mu na blacie:

„Wesołych świąt, skarbie! Wybacz, że muszę dziś pracować, ale wiesz, że ciężko oprzeć się nadgodzinom! Nie ruszaj prezentów do jutra, tak jak się umówiliśmy, okej? Jutro wszystko nadrobimy. Całusy, mama. PS. Zostawiam Ci trochę kasy na chińszczyznę”.

Chase wpatrywał się zmieszany w trzydzieści dolców. Od kiedy sięgał pamięcią, mama pracowała w najgorszych godzinach w kiepskiej robocie. Wiedział, że robiła to wszystko dla niego - żeby mógł się skoncentrować na nauce i grze w futbol i nie musiał dorabiać po szkole. Ale trzydzieści dolców to kupa kasy, nie potrzebował aż tyle na chińszczyznę - zupełnie jakby mama próbowała coś udowodnić. Przygnębiało go to.

Popołudnie płynęło powoli. Na żadnym z trzech kanałów, jakie mieli, nie leciało nic ciekawego, ale gdyby wyszedł, ryzykował, że kumple zobaczą go samego w święta. Komputera unikał.

W przyczepie było gorąco, więc miał na sobie tylko spodnie od dresu. Przez chwilę przypatrywał się swojemu torsowi w lustrze. Całą jesień ostro ćwiczył i teraz oceniał rezultaty. Potem zrobił sto pompek na podłodze ciasnego salonu. Wreszcie był tak znudzony, że sięgnął po *Makbeta*, którego mieli przeczytać przez ferie. Ułożył się z książką na łóżku.

- „Rychłóż się zejdzim znów przy blasku błyskawic i piorunów trzasku?”<sup>4</sup> - Dobre pytanie, pomyślał Chase.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Drgnął zaskoczony, bo nie spodziewał się żadnych świątecznych gości. Pomyślał, że to pewnie ich sąsiadka, pani Simpson, która prosiła Chase'a o pomoc, ilekroć miała jakiś problem z telewizorem.

- Idę! - zawołał Chase'a, rzucając *Makbeta* na podłogę.

Ale kiedy otworzył drzwi, zobaczył uśmiechniętą Ty z parującym styropianowym kubkiem w ręce. Miała na sobie śnieżnobiałą sukienkę, w zestawieniu z nią jej włosy zdawały się płonąć.

- Wesołych świąt - powiedziała. - Patrz! Przyniosłam dary. Jestem niczym trzej królowie. - Wyciągnęła rękę z kubkiem.

---

<sup>4</sup> William Shakespeare *Makbet*, akt I, przeł. Józef Paszkowski.

Chase stał jak oniemiały.

- Proszę. To dla ciebie. Gorąca czekolada. - Puściła do niego oczko. - Daję ci słowo, że nie doprawiłam jej alkoholem.

- Eee, cześć. To znaczy, dzięki - wydusił Chase. Kiedy brał od niej kubek, ich palce się zetknęły i przeszedł go dreszcz.

- Mogę wejść? - Nie czekając na odpowiedź, prześliznęła się obok niego do małego salonu. Chase skulił się w sobie, patrząc na wszystko jej oczami: skromne prezenty pod mikroskopijną, sztuczną choinką, odłóżkę linoleum, tandetny „portret rodzinny”, przedstawiający jego i mamę, wiszący nad kanapą z second handu. Ale Ty chyba nie zwracała na to wszystko uwagi. Nie rozglądała się ani nie oceniała - patrzyła na niego, czekając, żeby coś powiedział. Zdawała się promieniować światłem, które sprawiało, że ta ciasna nora wydawała się bardziej przestronna, czysta, mniej obciachowa.

- Ja, eee, nikogo się nie spodziewałem - wymamrotał Chase, wskazując na swoje dresy i gołą klatkę piersiową. Pocił się przez całe przedpołudnie, a teraz... Cóż, przynajmniej Ty zobaczyła jego muskuły. Ale w przeciwieństwie do innych dziewczyn, nie zwracała na nie uwagi.

- Och, w porządku. - Ty westchnęła. - Wiem, że to trochę dziwne, że odwiedzam cię w święta, ale... niespecjalnie je obchodzę. Widzę, że i ty raczej nie świętujesz. - Gdyby powiedział to ktoś inny, mógłby poczuć się urażony. Ale teraz Chase czuł jedynie, że Ty go rozumiała. - W każdym razie - ciągnęła - szukałam cię. Chciałam ci stosownie podziękować za okazaną nam pomoc.

Chase musiał gapić się na nią jak idiota, bo dodała:

- Chcę cię dokądś zabrać.

Nie mógł w to uwierzyć. Ty zadała sobie tyle trudu z jego powodu. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszego prezentu świątecznego. On musiał tylko się zgodzić. I zrobił to, o mało przy tym się nie przewrócił. - Eee, jasne. Raczej jestem wolny - dukał, rozglądając się po przyczepie. - To znaczy, tak... jestem wolny. Chodźmy.

Zrezygnował z grania. I całkiem mu się to podobało.

Popędził do swojego pokoju i przebrał, najszybciej jak się dało, wściekając się na wywrócone na lewą stronę dzinsy i brak wyprasowanej na parze koszuli. Próbował wymyślić jakiś temat do rozmowy, który zainteresowałby Ty; jego wzrok padł na *Makbeta* i pożałował, że nie przeczytał więcej.

Kiedy wyszli z przyczepy, Chase zaczął rozglądać się za jej samochodem.

- Przyszłam pieszo - wyjaśniła, jakby nie było to nic takiego. Jasne, nic takiego, tylko brnęła przez śnieg i mróz do osiedla przyczep na peryferiach Ascension. Zerknęła na niego.

- Mam nadzieję, że nie myślisz, że cię śledzę albo coś. Chase musiał ugryźć się w język, by nie powiedzieć, że nie miałby nic przeciwko.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał.

- Mam swoje sposoby - odparła, puszczając do niego oczko. - Znam te okolice.

- Tak? Jakim cudem?

- Kiedyś tu mieszkaliśmy...

- W Ascension? Łau. Co cię tu znowu sprowadza?

- Zrobiłam sobie rok wolnego przed college'em - wyjaśniła, odwracając się do niego z uśmiechem.

Miała idealne usta. - Chciałam wrócić na stare śmieci i zobaczyć, jak wszystko się zmieniło.

Powiedzmy, że jesteśmy na takiej dłuższej wycieczce, ja i kuzynki.

- Brzmi nieźle - rzucił Chase, pozując na wyluzowanego. A więc jest starsza od niego. - Twoje kuzynki... co dzisiaj robią?

- Jadą z nami - stwierdziła Ty takim tonem, jakby to było oczywiste. - Są teraz w pralni przy kinie samochodowym. To co, weźmiemy twój wóz i po nie pojedziemy?

Chase poczuł się lekko zawiedziony, że nie będzie miał Ty tylko dla siebie, ale potem pomyślał, że dodatkowe towarzystwo w postaci dwóch gorących lasek to nie powód do rozpacz.

Kiedy parę minut później zatrzymali się przed obskurną pralnią, jasnowłosa, drobna Meg, z tą dziwną czerwoną wstążką na szyi i Ali, która przypominała Scarlett Johansson, siedziały na



masce ich samochodu. Obie były w krótkich letnich sukienkach, jakby wybierały się na piknik. Może były z Alaski, albo skądś, i tutejsza zima była dla nich jak lato. Wsiadły do vana, witając się z Chase'em, jakby byli starymi przyjaciółmi. Miał nadzieję, że to znaczy, że Ty o nim mówiła.

Ali przesunęła na tylnym siedzeniu książki i różne szkolne szpargały Chase'a, żeby zrobić miejsce dla swojej wielkiej torebki. Coś jej spadło i schyliła się, by podnieść.

- Ooo, e.e. cummings... Zdaje się, jeden z twoich ulubionych poetów, nie, Ty?

Ty odwróciła się, jakby zelektryzowana na wzmiankę o poecie, którego Chase uważał raczej za kiepskiego. Facet nie stosował się do zasad gramatyki i interpunkcji. I było w porządku. Gdyby Chase pisał w taki sposób wypracowania, nie zaliczyłby angielskiego i tyle.

- Uwielbiam go. „Nikt, nawet deszcz, nie ma dłoni tak małych” - wyrecytowała, rozpromieniona. - Wiele bym dała, żeby ktoś napisał o mnie wiersz.

- Tamten facet z Bowdoin dał ci tomik swoich wierszy, prawda? - odezwała się kpiąco Meg. Chase się skrzywił. Jakiś koleś dawał Ty wiersze.

Ty przytaknęła, wzruszając ramionami. Przynajmniej nie wydawała się zainteresowana tamtym gościem, kimkolwiek był.

- To było bardzo romantyczne - stwierdziły, niemal jednocześnie, Ali i Meg. Ty ponownie skinęła głową, ale na tym koniec. Chase zapisał sobie w pamięci, że Ty lubi poezję.

- Okej, dokąd jedziemy? - Podziękował w myślach mamie za zatankowanie auta.

- Do Benson's Bar - odpowiedziała Ty, a z tylnego siedzenia rozległy się chichot i pohukiwania.

- Do tego baru przy Dwudziestej Trzeciej? - Chase nie mógł uwierzyć, że chciały spędzić wieczór w tej spelunie dla motocyklistów, ale wydawały się zdecydowane. Może był to jedyny bar czynny w święta.

- Benson's Bar to nasza mała tajemnica - powiedziała Ty, po czym uścisnęła jego dłoń. Chase'a przeszedł dreszcz.

Parking przed barem był pełen motocykli: same harleye i suzuki. Chase spiał się, przygotowując na zaczepki ze strony motocyklistów. Przecież sam się o to prosił, przychodząc tutaj z trzema seksownymi laskami. Ale, o dziwo, zamiast wejść do środka, dziewczyny pomaszerowały na tył baru, gdzie było ciemno i pusto. Chase rozglądał się, ale nikogo nie zauważył. Tymczasem one podeszły do zardzewiałych drzwi, które wydawały się zamknięte na amen, ale ustąpiły pod delikatnym naciskiem palców Ty. Na zewnątrz wylała się czerwona poświata.

- Wchodzimy tam? - Chase miał nadzieję, że nie słychać jego zdenerwowania.

- Spodoba ci się - powiedziała Ty, ciągnąc go za sobą w stronę bramkarza. Był tu bramkarz? Chase nie miał pojęcia o istnieniu tego klubu. Ale wykidajło nie robił im problemów i po chwili cała czwórka schodziła wyłożonymi dywanem schodami. Dywan był miękki, stopy Chase'a zapadały się w niego jak w mech. Na samym dole schody skręcały, a za zakrętem znajdował się podziemny klub, pulsujący muzyką i światłami, pełen nieźle wyglądających ludzi.

Powietrze było przesycone słodyczą i gęste od czerwonych oparów; Chase miał wrażenie, jakby znalazł się w innym świecie. Nie mógł się zdecydować, gdzie patrzeć - na parę na parkiecie, której taniec przypominał bardziej numer cyrkowy, czy na barmana z gołą klatą, pokrytą tatuażami przedstawiającymi węże, kruki i jeszcze jakieś inne ptaszyska. Skąd oni wszyscy się wzięli? I to w święta? Z całą pewnością nie z Ascension. Zupełnie nie wiedział nic o tych ludziach, choć przemknęło mu przez myśl, że znalazł się w samym środku jakiegoś rytuału. Ale nie dbał o to. Liczyło się tylko to, że był z Ty. W życiu nie czuł się tak dobrze.

- Napijesz się? - zapytała Ty wprost do jego ucha, bo było naprawdę głośno. Chase skinął głową, a ona oddaliła się i po chwili zniknęła w tłumie. Ruszył za nią. Poszedłbym za nią wszędzie, myślał, zagłębiając się w czerwony dym.

Puk-puk.

- Chase, jesteś tam?

Zamroczony, uniósł głowę z poduszki.

Zza zamkniętych drzwi ponownie dobiegł głos mamy:

- Chase? Dzień dobry, śpiochu. Wstawaj i chodź rozpakować prezenty. Upiekłam biszkopty.

Chase rozejrzał się powoli. Był w swoim pokoju. W głowie mu huczało. Spał cholernie głęboko i przebudzenie było zbyt gwałtowne.

- Chase? - Mama znowu zapukała.

- Już wstaję. Zaraz przyjdę.

- Pośpiesz się, jeśli nie chcesz, żeby śniadanie ci wystygło. Chase przekreślił się na plecy i wbił wzrok w sufit. Co się

wczoraj wydarzyło? Pamiętał, jak wchodził przez ukryte drzwi do baru; stopniowo powracały kolejne wspomnienia. Rozglądał się wkoło, kiedy Ty poszła po drinka dla niego. Widział złote węże namalowane na sklepionym suficie; kurki w łazienkach były w kształcie głów węży. Pamiętał, jak on z Ty tańczyli wtuleni w siebie i inhalował się jej słodkim zapachem; pamiętał jak ona i jej kuzynki wiły się i wyginały na parkiecie. A może to były węże pełzające po ścianach? Obrazy mieszały mu się w głowie.

Nie pamiętał powrotu do domu. Musiał być kompletnie zalany. Nagle ogarnęła go panika - czy jeszcze zobaczy Ty? Wstał i podszedł do komody z nadzieją, że znajdzie na niej skrawek papieru z zapisanym numerem telefonu.

A potem zobaczył siebie w lustrze: na twarzy miał wypisany czerwoną szminką dziesięciocyfrowy numer. Poczerwieniał. Cieszył się, że zostawiła mu numer, ale czy naprawdę musiała sprawić, że wyglądał jak głupek?

Nagle przypomniał sobie coś jeszcze. Jak próbował ją pocałować. Ty dotknęła jego twarzy z uśmiechem i wyszeptała: „Będziesz musiał zaczekać. Mam wobec ciebie swoje plany”.

## Rozdział 7

Em krążyła alejkami Victoria's Secret, dotykając koronkowych majtek i satynowych staników: liliowych, turkusowych, intensywnie różowych.

Dwa dni po świętach jej samochód nadal stał w warsztacie z wgniecionym błotnikiem, więc do centrum przywiózł ją JD. Za godzinę miała spotkać się z nim w kinie, ale teraz rozdzielili się, by zrobić zakupy, realizując swoje karty prezentowe. Trochę unikała innych przyjaciół, na przykład Fiony i Lauren. Pocałunek z Żakiem wszystko skomplikował i nie wiedziała, czy była w stanie zachowywać się normalnie.

Zatrzymała się przy fioletowej balkonietce pokrytej delikatną koronką. W komplecie z balkonietką były stringi. Nigdy nie miała czegoś takiego - do tej pory w zupełności wystarczała jej bawełniana bielizna z Target. Kiedy w drugiej klasie spotykała się z Alekssem Parsonem, a ten ściągnął jej koszulkę prosty turkusowy stanik, który miała pod spodem, wcale go nie zniechęcił. Chociaż w zeszłym roku, podczas jednej dosyć gorącej sesji ze Steve'em Sawyerem, powstrzymała go przed ściągnięciem jej spodni, nie tyle ze skromności, co zakłopotana swoimi zwykłymi białymi majtkami.

Nie żeby planowała robić coś więcej z Żakiem... Po prostu dojrzała już do prawdziwej bielizny.

- Jesteś pewna? - zapytał kobiecy głos.

Em odwróciła się i zobaczyła sprzedawczynię, która wpatrywała się w nią uważnie, jakby znała jej sekret.

- Hm, nie wiem - sapnęła Em, marszcząc brwi.

- Po prostu wydaje się trochę za duży dla ciebie - stwierdziła kobieta, wskazując na fioletowy stanik. - Chodź, zmierzmy cię.

Em zaśmiała się nerwowo. Najwyraźniej była większą paranoiczką, niż myślała. A potem kupiła fioletowy stanik, stringi i czarne koronkowe bokserki; torebkę z logo Victoria's Secret schowała do większej torby, w której miała sweter J. Crew i džinsy.

JD czekał cierpliwie z dwoma biletami na najnowszy hit apokaliptyczny, kiedy podbiegła do niego nieco spóźniona. Miał na sobie koszulę w czarno-żółtą kratę, w której wyglądał jak drwal z innego wymiaru.

- Tylko tyle? - zapytał, wskazując na jej torby.

- Tak - odparła Em, zadowolona, że włosy zasłaniały jej uszy. - Po prostu sobie oglądałam.

Podeszli do baru, za którym stała Drea Fieffer, ponura jak zwykle. Jediną różnicę w jej wyglądzie stanowiła ciemnoczerwona służbowa kamizelka, której Drea wyraźnie nie znosiła. Niezbyt pasowała do jej obcisłych džinsów, które zafarbowała na fioletowo, i conversów z wielkimi agrafkami zamiast sznurowadeł. Drea nie lubiła się podporządkowywać, a skazana na kamizelkę ozdobiła ją ogromną broszką, z którą zapewne także spała - nigdy nie widziano jej bez srebrnej przypinki w kształcie węża owiniętego wokół otwartego oka. Niezbyt twarzowa rzecz. Em uśmiechnęła się do Drei. Współczuła jej. Podobno codziennie odwiedzała Saszę w szpitalu. Sasha nie była jej jedyną przyjaciółką - Drea kumpłowała się również z gotami, którzy przesiadywali na szkolnym parkingu - ale były ze sobą bardzo blisko. Na pewno ciężko było widzieć swoją przyjaciółkę w takim stanie. Gdyby Gabby... Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Nawet nie mogła myśleć o Gabby.

- Cześć, Drea - powiedział JD, równie przyjazny wobec niej, jak wobec wszystkich innych. - Jak tam święta?

Dziewczyna omiotła ich spojrzeniem.

- Cześć. Tak sobie. Ja... - Zaczerpnęła tchu, jakby zamierzała powiedzieć coś ważnego. Em starała się nie gapić na cienie pod jej oczami. Jej przyjaciółka usiłowała się zabić, a biedaczka musiała sprzedawać przez cały dzień napoje i cukierki. Em miała przez chwilę ochotę ją uściskać. Ale Drea pewnie by pomyślała, że jej odbiło. Drea odchrząknęła i powiedziała tylko: - Ale przynajmniej nie musiałam przez kilka dni nosić tej cholernej kamizelki.

- Nie jest taka zła. Podkreśla kolor oczu węża - zażartował JD. - Widziałas ten film? - Położył bilety na ladzie.

- Tak. Obleci. Ale jeśli obejrzę jeszcze jeden film katastroficzny, w którym na koniec bohaterka ciągle wygląda supersek-sownie, zacznę bojkotować współczesne kino.

- A więc to jeden z tych filmów? - JD wskazał na Em, dodając: - Ona też tego nie znosi.

- Tak? A więc jednak mamy ze sobą coś wspólnego. - Drea sięgnęła po popcorn. - Co dla was? Średni popcorn, snow caps, twizzlersy i dwa sprite'y?

- Dokładnie - powiedział JD.

Kiedy oddalili się od Drei, odezwał się ściszym głosem:

- Szkoda mi jej, wiesz? Ona i Sasha były ze sobą naprawdę blisko.

Czekając na początek filmu, JD odgryzł oba końce twizzlera i zademonstrował - jak zawsze, kiedy oglądali razem film - że cukierka można użyć zamiast słomki. Przez chwilę sprzecali się, czy mieszać snow caps z popcornem (Em była za, JD przeciw! Em wygrała). W końcu Em opadła na oparcie fotela i zaciągnęła się zapachem kina; była to specyficzna mieszanka - czuła stare obicia, lepkie napoje, maślany popcorn. Pierwszy raz od tygodnia czuła się tak odprężona. Czasami zapominała, jak bardzo lubiła spędzać czas z JD, który niczego od niej nie oczekiwał, był całkowicie sobą. Teraz próbował wykorzystać twizzlera jako coś w rodzaju fletu. Pewnie, był dziwaczny, ale zawsze potrafił ją rozbawić.

Po filmie - w którym, tak jak ostrzegęła Drea, ofiary katastrofy były piękne i całkowicie wyluzowane - wrócili do samochodu JD. Em zerknęła w stronę kafejki, nazywanej przez niego Pijalnią Srappuccino, a która była popularnym miejscem spotkań, i zaskoczona zobaczyła wychodzącego Zacha. Przeszły ją ciarki. Już chciała go zawołać, ale zauważyła, że przytrzymał drzwi jakiejś dziewczynie, której nigdy wcześniej nie widziała - starszej, bardzo ładnej, ubranej w dzinsy i wyglądający na drogi sweter. Śmiejąc się, odeszli w przeciwnym kierunku.

- Chciałaś coś powiedzieć? - zapytał JD.

- Nie, ja... - Em urwała, a on podążył za jej wzrokiem.

- Co za dupek. Nadal jest z Gabby, prawda?

- No pewnie, że nadal jest z Gabby. - Em była zaskoczona stanowczością, z jaką to powiedziała. - Ta dziewczyna to może być ktokolwiek: przyjaciółka, kuzynka, dentystka. Czemu od razu zakładasz, że dzieje się coś podejrzanego?

JD był wyraźnie zaskoczony jej gwałtowną reakcją. Uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie zakładam, ale tak to wygląda.

- Nie wiesz, jak jest, więc może odpuść sobie te domysły -syknęła.

- Rety, Winters. Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. Wybacz.

- No. I tak trzymaj.

Roześmiali się oboje, ale przez całą drogę do domu Em stał przed oczami obraz Zacha z tamtą laską.

Wieczorem, w swoim pokoju, Em porządkowała zdjęcia, starając się nie myśleć o tamtej dziewczynie z kafejki, kiedy zabrzączał telefon, i wstrzymała oddech - może to Zach.

Nie. Dostała wiadomość od Gabby.

„Hej! Esy są drogie, ale chciałam napisać, że za tobą tęsknię! Ten bungalow jest megawypasiony i żałuję, że nie możesz posiedzieć ze mną w jacuzzi!”

Em poczuła wyrzuty sumienia, które szybko zamieniły się w irytację. Jej najlepsza przyjaciółka pisała do niej zza oceanu, a Zach nie mógł się odezwać, choć był na miejscu? Pod wpływem impulsu wybrała numer Zacha.

Cud nad cudami. Odebrał.

- Hej - powiedział niskim, seksownym głosem. Obiecała sobie, że będzie twarda. Lekko drżącym głosem

wyrzuciła z siebie dręczące ją myśli.

- Cześć. Słuchaj, jest coś. To znaczy, muszę cię o coś zapytać. Co będzie, jeśli to się wyda? Co my wyprawiamy? - Zaczerpnęła tchu i wyteżyła słuch, ale Zach milczał. Mówiła więc dalej: - Co będzie, jeśli Gabby się dowie? Aha, i jeszcze jedno, Zach. Nie chcę, żeby to dziwnie zabrzmiało, ale widziałam cię dzisiaj w Pijalni Sra... Cappuccino. Co to była za laska?

Przez chwilę myślała, że Zach się rozłączył, ale wtedy on się roześmiał.

- Czyżby ktoś tu był troszkę zazdrosny? - Nie odpowiedziała. - Em, wyluzuj - dodał Zach, teraz już poważnym tonem. - To była przyjaciółka rodziny. Allison. Nasze matki się przyjaźnią. Przyjechały w odwiedziny i zaproponowałem, że zabiorę ją na kawę.

- Och - mruknęła Em, której zrobiło się głupio.

- Organizuje imprezy charytatywne dla swojego bractwa i udzieliła mi paru wskazówek na temat Święta Futbolu. Bardzo mi pomogła. Wiesz, trochę się tym stresuję. - Z każdym kolejnym słowem Zacha Em coraz bardziej czuła się jak idiotka. Zach stresował się z powodu sportowej imprezy w miasteczku - był organizatorem i ciążyła na nim duża odpowiedzialność - a ona suszyła mu głowę z powodu jakiejś dziewczyny, bo coś jej się wydawało. Tak jakby w ogóle miała prawo suszyć mu głowę. -A co do Gabby... to zagmatwane, wiem. Ale coś wykombinujemy. A może wpadnę po ciebie? - zaproponował. - Porozmawiamy o tym w cztery oczy. Mam wolną chatę. Możemy zrelaksować się przy kominku - zachęcał. - Okej - zgodziła się Em. Miał rację - o takich rzeczach lepiej rozmawiać osobiście. Ale gdzieś w głębi duszy czuła, że nie będą tylko rozmawiać. Przebrała się w swoje nowe nabytki z Victoria's Secret, nasłuchując jego klaksonu na podjeździe.

W jego samochodzie czuła to samo iskrzenie co tamtego wieczoru. Ten sam specyficzny rodzaj napięcia. Nadal było zimno, a pod kołami chrzęściła sól, pozostawiona przez pługi. Na niebie świecił księżyc, ale nie było gwiazd - zasłaniały je chmury.

- Dostałaś coś fajnego pod choinkę? - zapytał Zach.

- Tak, parę książek - powiedziała Em, zadowolona, że rozmawiają o czymś normalnym. - I kartę prezentową Anthropologic Tak, chyba to było najlepsze. - Ale potem znowu zapadła cisza. Nie licząc rapu z radia.

W domu Zacha Em poczuła się onieśmielona. Nigdy nie przychodziła tu bez Gabby - z wyjątkiem jednej imprezy w zeszłym roku, kiedy Gabs miała zapalenie gardła i była uziemiona w domu. Ojczym Zacha, pośrednik nieruchomości, lubił nowo-



czesne meble, czarne, opływowe, które były zupełnie fajne, ale nie tworzyły ciepłej atmosfery. Zach wcisnął przycisk, by zapalić kominek. Em usiadła na podłodze i wsparta o wielką poduchę, obserwowała go, gdy chodził po pokoju. Nalał im po kieliszku wina z baru przy oknie, a potem usadowił się na pluszowym dywaniku obok niej.

Em spróbowała wina. Nie była ekspertem w tej dziedzinie, ale to było zdecydowanie słodkie.

- Co to za wino?

Zach rzucił okiem w stronę baru.

- Drogie.

Em uśmiechnęła się, nie wiedząc, co teraz powiedzieć.

- Okej, porozmawiajmy. Wybacz, jeśli zachowuję się jakoś dziwnie. Chodzi o Święto Futbolu, no i ogólnie o ferie. Ciężko jest bez taty. - Zach unikał kontaktu wzrokowego. Em rozpaczliwie chciała, żeby się uśmiechnął, tak jak wtedy.

- Rozumiem. Tylko... myślę, że powinniśmy pogadać o Gabby. Co zrobimy z tą... sytuacją?

Zach skinął głową.

- Tak, racja. - Nagle na nią spojrzał. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Ja? A ty czego chcesz? Uśmiechnął się lekko.

- Tego. - Nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Em zadrżała.

- Zach - powiedziała, starając się być jednocześnie seksowna i poważna. - Ja też tego chcę, ale Gabby jest moją przyjaciółką. I twoją dziewczyną. Nie możemy... tego robić. Nie, dopóki jesteście razem.

- Wybacz. Masz rację. Wiem, co powinienem zrobić. Zerwać z nią. Ale... - Potarł kark, jakby go bolał. Em zaczerpnęła tchu i sięgnęła po jego rękę. A potem wyraziła na głos swoją największą obawę; może miała nadzieję, że wypowiedzenie jej sprawi, że obawa się nie sprawdzi.

- Nie chcesz? Myślisz, że to błąd? Uścisnął jej dłoń.

- Nie. Ja... Ja nie wiem, co robić, Em. Czuję się pod presją. Ty, Gabby, mój ojczym... Wiesz, ile razy mi już mówił, że moja przyszłość zależy całkowicie od tego, czy przyjmą mnie do Yale?

Em uniosła brwi.

- Poważnie?

- Tak... I strasznie przeżywa tę wielką imprezę. I moje stopnie z matmy; ciągle straszy, że jeśli coś zawalę, wyśle mnie do swojej dawnej szkoły z internatem. Cały czas powtarza, że stać mnie na więcej. To wyczerpujące. Tak jakby oczekiwał, że będę perfekcyjny we wszystkim. Rozumiesz? Błędy są niedopuszczalne.

Owszem, mówił o szkole i swoim ojczymie, ale i tak zrozumiała wiadomość: „Nie naciskaj na mnie”. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. To nie tak, że nie miała nic więcej do powiedzenia, ale jednocześnie nie chciała denerwować Zacha. Spróbowała przełknąć dławiące ją obawy i wątpliwości. W końcu Zach przygryzł wargę i uśmiechnął się do niej. Poczowała ulgę. Napięcie między nimi zelżało.

- Ładnie wyglądasz - wymruczał. Po chwili całował ją, z rękami w jej włosach. Opadli na duże ozdobne poduchy, a ona dała się ponieść nagłemu pragnieniu. A on pragnął jej. Czowała to. Zapomniała o ich rozmowie. Chwyтали się nawzajem za szyje, biodra, za koszulki, w migoczącym nastrojowo świetle. To było takie romantyczne. Jego usta ześliznęły się z jej karku na obojczyk, a potem zadarł jej koszulkę i całował ją od pępka w górę. Wkrótce nie miała już na sobie koszulki.

- Jesteś piękna - wyszeptał Zach, zsuwając ramiączka fioletowego stanika z jej ramion. I Em poczuła się piękna.

Leżeli ze splecionymi nogami. Zach również był bez T-shirta, ona miała rozpuszczone włosy i miała wrażenie, jakby roztopiała się na tym dywaniku, jakby na zawsze miała w niego wsiąknąć i nigdy więcej się stąd nie ruszyć. Całował jej szyję, ramiona, ręce, a ona płynęła z prądem podniecenia.

Na chwilę zerknęła na szerokie ramiona Zacha. Za plecami miał kominiek; płomienie tańczyły niczym węże znajdujące się we władzy zaklinacza. Kiedy ich usta ponownie się zetknęły, zakręciło się jej w głowie. Jeszcze nigdy nie doświadczała aż

tylu emocji naraz: była jednocześnie oszołomiona, podniecona, przestraszona i smutna. Już rozumiała, co znaczyło, że „miłość odmienia”; dawna Em gdzieś zniknęła, a jej miejsce zajęła nowa dziewczyna, która wiedziała, czego chce i nie obchodziło jej nic więcej poza tą chwilą.

Zaczął rozpinąć jej dżinsy, a ona nieznacznie się wygięła. Ale nagle - o zgrozo - pomyślała o Gabby, o tym, jak jej przyjaciółka była podekscytowana z powodu „Akcji W” (planowała, że straci dziewictwo z Żakiem w najbliższe walentynki). I to sprawiło, że bańka mydlana, w której unosiła się nad ziemią, pękła.

- Jeszcze nie, Zach - powstrzymała go, delikatnie odsuwając jego rękę.

- Ale przecież oboje tego chcemy - szepnął, dotykając jej twarzy. W jego oczach widziała samotność. I smutek. To nie był Zach, którego znała z boiska do koszykówki, nauk o Ziemi czy Pete's Pizza. Ten Zach się przed nią odkrywał i pragnął właśnie jej.

W jej głowie kłębiły się myśli o Gabby, Zachu i tamtej dziewczynie, z którą go wcześniej widziała.

Nagle usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Chwilę potem ktoś wciągnął ze świstem powietrze.

Em poderwała się jak oparzona. O nie, o nie. Boże.

W holu stał Chase.

## Rozdział 8

Gdyby był w lepszym nastroju, gdyby nie myślał bez przerwy o Ty i tamtej nocy w klubie pod Benson's Bar, Chase może by się roześmiał. Kto by pomyślał, że Emily Winters zabierała się do cudzych chłopaków.

Ale mniejsza z tym. Miał na głowie inne rzeczy niż to, co wyczyniała Emily.

Przyjechał do Zacha, żeby spróbować się odprężyć. Pomyślał, że mogliby pogadać o futbolu albo pograć w bilard na stole jego ojczyma - cokolwiek, byleby choć przez chwilę nie myślał o randce

z Ty. Rano skorzystał z numeru, który mu zostawiła na twarzy, a ona poprosiła, żeby spotkał się z nią po dziesiątej na ławce w centrum. Tak był zdenerwowany, kiedy wybierał jej numer, że dwa razy wysłiznął mu się telefon. Nigdy nie dzwonił do dziewczyn. Pisał esemesy; spotykał się z nimi na imprezach; wpadał do nich do domu po treningu. Nie zaprosił żadnej na prawdziwą randkę od siódmej klasy. Ostatnia była Sasha Bowlder. Było to wtedy, gdy stała się dla niego zbyt dobra, a on bardzo chciał, by znowu z nim rozmawiała. Nadal kulił się na wspomnienie, co z tego wyszło. Pamiętał każdy szczegół towarzyszący ich rozmowie - oślepiające słońce, stoły piknikowe, a przy nich przyjaciółki Sashy, które obserwowały ich, chichocząc - i pamiętał każde słowo.

- Eee, słuchaj... lubię cię.

- Och.

- Wiem, że ostatnio nasze drogi trochę się rozeszły, ale chciałbym to zmienić. - Serce waliło mu jak młotem, w ustach miał pustynię. - Umówisz się ze mną?

Odwróciła się, by sprawdzić, czy jej przyjaciółki patrzyły.

- Żartujesz? W życiu. Jeszcze chciałbyś mnie pocałować, a ja nie całuję się ze śmieciami z przyczepy. Słyszałam, że to takie uczucie, jakby lizać odpadki.

Jej słowa nadal podnosiły mu ciśnienie. Nie był śmieciem z przyczepy. Ty nie uważała go za śmiecia. Tym razem będzie inaczej. Nie spaprze sprawy z Ty.

Pomyślał, że zwróci się do Zacha. Liczył, że kumpel pomoże mu się wyluzować, może nawet udzieli jakiejś wskazówki. Co jak co, ale Zach znalazł się na dziewczynach. Można nawet powiedzieć, że był specjalistą w tej dziedzinie.

McCord uchodził za wzór do naśladowania, ale Chase znał go i od tej drugiej strony. Wiedział na przykład o jego wycieczkach po kampusach, które nie miały na celu zapoznania się z ofertą college'u, a bliższe zapoznanie się ze studiującymi tam dziewczynami. Zdobył całkiem spore doświadczenie, jeśli chodzi o te sprawy. Powiedział Chase'owi, że studentki to zupełnie inna bajka.

Ale teraz zdecydowanie nie był odpowiedni moment, by prosić Zacha o rady. Emily miała tak przerażoną minę, jakby zobaczyła ducha. Zakrywając gołe piersi jedną ręką, drugą gorączkowo przetrząsała kanapę w poszukiwaniu stanika.

- To nie tak, jak myślisz - bełkotała. - Proszę, nikomu nic nie mów. Proszę. Gabby... Gabby mnie zabije. Ona by chyba umarła. Proszę nie... Gdzie to jest?... Proszę nie mów nic nikomu. Chase, ja... ja nie chcę, żeby Gabby cierpiała. Nie chciałam...

- Spokojnie, Em. Chase zachowa to dla siebie. - Chase'owi niezbyt podobało się spojrzenie, które posłał mu Zach. Było niczym ostrzeżenie.

Pożałował, że tu przyszedł. Nie tylko nie miał ochoty brać udziału w tej operze mydlanej, ale ton Zacha przypomniawszy mu

o długu, jaki miał u niego i który, zgodnie z niepisaną zasadą ich przyjaźni, był zobowiązany spłacać. Nie ma mowy, żeby teraz poprosił Zacha o radę. Em nadal nerwowo przeszukiwała kanapę.

- Tego szukasz? - Chase zauważył fioletowy stanik, który jakimś cudem spadł pod stół do kawy przy wejściu. Schylił się i podniósł go dwoma palcami.

- Boże. Chase... proszę... ja nie chciałam... Zach i ja tylko... To nie powinno się było zdarzyć. - Została na swoim miejscu, zasłonięta rękami, a płomień z kominka rzucały dziwne cienie na ich twarze. Chase przewrócił oczami.

- Może trzeba się było nad tym zastanowić, zanim to zdjęłaś - skwitował, rzucając jej stanik. Złapała go i poszła w kąt pokoju, żeby się ubrać. Czy sądziła, że Chase nigdy wcześniej nie widział półnagiej dziewczyny? Patrzył na to wszystko z mieszaniną rozbawienia i zakłopotania. Zach podniósł się i wciągnął koszulkę.

- Co jest, stary? Byliśmy umówieni? - Zach silił się na swobodny ton. Mówił nawet odrobinę głośniej niż zwykle, żeby nie było słyhać, jak Em pociąga nosem.

- Nie, ja, eee... pomyślałem, że może będziesz chciał coś porobić. Nie wiedziałem, że masz towarzystwo.

- Chase - jęknęła Emily, już ubrana. Była bardzo blada. Chase pierwszy raz widział ją tak roztrzęsioną.  
- Proszę.

Odwróciła się i nie mówiąc nic więcej do żadnego z nich, wyszła z pokoju. Chase patrzył, jak wychodziła i na Zacha, który jej na to pozwolił.

- Em, zaczekaj! - Zach ruszył za nią, ale zatrzymał się, gdy trzasnęły drzwi frontowe. Odwrócił się do Chase'a. - Słuchaj, wiem, że nawet nie muszę tego mówić, ale zachowasz to dla siebie, prawda? Nie chcę, żeby... No wiesz. Chodzi o Gabby. To nie może wypłynąć.

Choć Chase widział już niejedno i cała ta sytuacja nie była dla niego szczególnie szokująca, wyraz twarzy kumpla sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Zach był pewien, że mu się upiecze. Nigdy wcześniej Chase'owi to nie przeszkadzało. Ale teraz nie był w stanie wykrzesać nic więcej poza skinieniem głową.

- Słuchaj - odezwał się ponownie Zach. - Z chęcią bym coś porobił, ale muszę ją odwieźć. Jest bez samochodu. - Ruszył do drzwi. - Między nami wszystko gra?

Nagle największym pragnieniem Chase'a było po prostu wyjść. Miał dość bycia współnikiem Zacha, krycia jego tyłka. Wiedział, że wszystko zawdzięczał Zachowi. Gdyby nie on, nie osiągnąłby tak wysokiej pozycji w szkole. Ale ten dług zaczynał go już strasznie męczyć.

- Ja ją odwiozę - powiedział nagle, starając się ukryć odczuwane obrzydzenie. - Na pewno masz ważniejsze rzeczy na głowie.

Przez pierwszych kilka minut drogi żadne z nich się nie odzywało. Emily jeszcze trochę pociągała nosem, ale Chase nie sądził, żeby płakała - jeśli dobrze pamiętał, płaczącą Winters widział tylko raz: kiedy w dziewiątej klasie przerabiali *Na Zachodzie bez zmian* i zaczęła mówić o zrezygnowanych, pogodzonych ze smutkiem żołnierzach.

Kiedy spojrzała na niego, zobaczył, że jej policzki były mokre od łez. Włosy posklejały się jej w strąki i siedziała skulona, z jedną nogą wspartą o deskę rozdzielczą.

- Wszystko w porządku? - zapytał Chase. Em wytarła nos.

- Po prostu... po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby wymyślić, co z tym zrobić. To znaczy... z tym wszystkim.

- Na pewno coś wymyślisz. - Chase wiercił się; uwierał go pas. Nie chciał wyrzucić jej z auta i po prostu odjechać, ale przecież musiał przygotować się na randkę z Ty.

- Na pewno nikomu nie powiesz? O mnie, Zachu i... - Urwała, wpatrując się w niego zarówno z nadzieją, jak i z zakłopotaniem. Chase westchnął. - Na pewno.

Em odetchnęła głośno.

- Dzięki, Chase. To naprawdę... Dzięki. Jestem bardzo zobowiązana. - Jej głowa podskakiwała rytmicznie, potwierdzając jej słowa. - Gdybyś czegoś potrzebował, wal do mnie śmiało. Pomocy z pracą domową, czegokolwiek.

- Nie sądzę, żebyś mogła mi pomóc - mruknął Chase ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

- Czemu? O co chodzi? - zapytała Em, wycierając twarz i biorąc się w garść.

Choć wcale nie zamierzał, wyrzucił z siebie:

- Jest taka jedna dziewczyna.

- Znam ją? - Em wpatrywała się w niego uważnie. Pokręcił głową. Skoro już zaczął, równie dobrze mógł mówić

dalej. Może Winters spojrzy na to z kobiecej perspektywy albo coś.

- Nie chodzi do naszej szkoły. I jest... inna. Podoba mi się. Bardzo. Ale nie wiem, naprawdę nie wiem, czy i jej zależy na mnie. - Chase bębnił palcami w kierownicę. Nie mógł uwierzyć, że zwierzał się Emily Winters, której stanik trzymał w ręku niecałe dwadzieścia minut temu.

Ale przynajmniej przestała pociągać nosem.

- Chcesz, żebym z nią pogadała i wybadała sprawę?

- Nie - odparł stanowczo. - Absolutnie nie. Ale może mogłabyś mi coś doradzić. Chciałbym ją zrozumieć. Em się wyprostowała.

- Hm, a jaka ona jest? Co lubi robić? Jest dziewczęcą czy raczej chłopczyca? Jak się ubiera?

Chase stłumił parsknięcie. Był już niemal pewien, że Em Winters mu nie pomoże.

- Nie wiem, co lubi robić. Wszędzie wozi się ze swoimi zwariowanymi kuzynkami Ali i Meg, raz nawet wyszliśmy wszyscy razem, i spotyka się z kolegami z college'u. Takimi, co to czytają cholernego e.e. cummingsa. - To dobry poeta - stwierdziła z wyrzutem Em. - Kiedyś pojechaliśmy z JD do Bostonu, żeby odwiedzić jego grób. - Odwróciła się, rysując palcem szlaczek na szybie.

E.e. cummings jest pochowany w Bostonie, zapisał sobie w pamięci Chase. Kiedyś mógłby wspomnieć o tym Ty i jej zaimponować. Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Ty znasz się na poezji, nie, Winters? Jak się nazywał ten twój wiersz, który zdobył nagrodę? *Nieuniknione?* - *Nieemożliwe* - odparła ostrożnie Em.

Chase zatrzymał się na jej podjeździe i przysunął się do niej.

- Mogłabyś mi go dać? - zapytał.

- Co? - mruknęła Em, odgarniając włosy z oczu. - Mój wiersz? Chase skinął głową. Może jednak była w stanie mu pomóc.

- Tak. Byłoby ekstra. Spodobałby się jej. Nie jest o facecie, prawda? Mógłby być o kimkolwiek?

- Ale...

Em wyraźnie się wahała.

- Daj mi ten wiersz, a ja obiecuję, że będę milczał - zaproponował Chase. Nie chciał, by zabrzmiało to jak szantaż. Ale tak było sprawiedliwie. Przysługa za przysługę. - Umowa stoi?

Em odchrząknęła. W końcu powiedziała:

- Jasne. Okej. Prześlę ci go mejlem, jak tylko wejdę do środka. Chase był zadowolony. Może wreszcie coś pójdzie po jego myśli.

- Super. Będziemy w kontakcie - powiedział, kiedy otworzyła drzwi. - I słuchaj, Winters - dorzucił, zanim je zamknęła. - Nie przejmuj się. Wszyscy popełniają błędy.

Późnym wieczorem pognał na spotkanie z Ty. Miała czekać na ławce przed sklepem ze słodyczami, gdzie w piątkowe po



południa zbierali się gimnazjaliści. Parkując, Chase odsunął od siebie wspomnienie siebie i Sashy z czwartej klasy, kiedy byli partnerami w laboratorium - przyszli tu po żelkowe robaki oraz cukierki z piwem, które potem zanurzali po kolei w occie, napoju gazowanym i mleku i obserwowali zachodzące reakcje.

Kiedy przyjechał, Ty siedziała na ławce, uśmiechnięta, z książką na kolanach, opromieniona światłem latarni ulicznej. Oprócz niej nie było na ulicy żywego ducha. Wysiadł z samochodu i poczuł się lekko nieswojo - wszystko wokół było dziwnie ciche i nieruchome.

- Hej - przywitała go, nie podnosząc się z ławki. Wyglądała jak cygańska księżniczka; jej rude włosy były wysoko upięte, ramiona okrywała aksamitna peleryna. Jak na dawną mieszkankę Ascension, niezbyt była zorientowana w klimacie Nowej Anglii - pod peleryną, zsuwającą się jej z ramienia, miała krótką sukienkę. Jej stroju dopełniały botki do kostki. - Posiedzisz tu ze mną chwilę? - Poklepała ręką ławkę. Chase spojrzał na bezgwiazdne niebo. Noc była zimna i zapowiadali kolejne opady śniegu.

Wyobrażał ich sobie nad wspólnym kubkiem gorącej czekolady w całodobowym barze, a na uwieńczenie wieczoru - w końcu - gorący pocałunek w jego aucie w drodze do domu. Ale nie chciał zawieść Ty, która patrzyła na niego wyczekująco, jakby siedzenie na ławce o dziesiątej wieczorem przy dwudziestostopniowym mrozie było jak najbardziej normalne.

- Napij się tego - powiedziała, wyciągając z torebki ozdobną szklaną butelkę. - Wschodnioeuropejski wynalazek, prezent od przyjaciela. Będzie ci ciepło.

Siadając, chwycił butelkę i uniósł ją do ust. Smak alkoholu był jak zapach Ty: słodki, wyrazisty, egzotyczny, nieznany. Obserwowała, jak upił łyk.

- Sprawia, że wszystko jakby promienieje - rzuciła radośnie. - Od środka.

I owszem. Nie wiedział, czy to zasługa alkoholu, wpływ Ty czy pierwsze objawy hipotermii, ale wszystko, na co patrzył - nagie drzewa, przysypana śniegiem ulica, ciemne okna - zdawało się zatracać granice, zdawało się... płynne.

- Jeszcze nigdy nie siedziałem tak po prostu na ławce o tej porze - przyznał. - To wydaje się takie... dorosłe. I czuje się taki spokój. Pewnie gadam jak potłuczony?

Ty uśmiechnęła się lekko.

- Nocą budynki, ulice i wszystko inne mówi, nie sądzisz? - powiedziała. - Naprawdę możesz poczuć miasto.

- Nie jest przytłoczone ludzkimi sprawami. - Chase miał nadzieję, że nie wychodzi na durnia.

- Świetnie to ująłeś. - Ty patrzyła na niego z uśmiechem, a potem wstała.

- Przejdźmy się - zaproponowała. - Jestem tu już jakiś czas, a jeszcze nie miałam okazji pozwiedzać. - Chase przypomniał sobie, jak mówiła, że dawno temu mieszkała w Ascension. Ciekaw był, co teraz tu robiła, ale była taka beztroska, że postanowił wstrzymać się z poważnymi pytaniami.'

W zamian objął dowodzenie. Jak to miał w zwyczaju.

- Skoro chcesz zwiedzać, to pokażę ci coś fajnego, okej? - Złapał ją za rękę i pociągnął ulicą w stronę parku. Latarnie żarzyły się niemrawo, ulicą nie jechał nawet jeden samochód.

- Zupełnie jak wymarłe miasto! - wykrzyknęła Ty. Przystanął przed skąpanym w ciemności ratuszem.

- Pobieramy się? - zapytała Ty, chichocząc. - Ale chyba zamknięte.

Nie odpowiedział, tylko pchnął bramkę z boku budynku.

- Tędy. - Ceglana ścieżka zaprowadziła ich na niewielki dziedziniec za ratuszem. - Jest dostępny dla wszystkich - mówił - ale ludzie nie mają o nim pojęcia. Odkryłem go przypadkiem. Czasami przychodzę tu, żeby pomyśleć.

- Łau - wyszeptała, patrząc na przysypany śniegiem dziedziniec. Może nie było to nic wielkiego, ale musiał przyznać, że w tym świetle miejsce wyglądało magicznie.

- Założę się, że pracują w ratuszu i tacy, którzy nigdy tu nie przychodzą - powiedział, dumny, że pokazał jej coś nowego.

Obróciła się.

- Tajemny ogród! - Roześmiała się.

Też się roześmiał. Przepelniała go radość. Wszystko tak dobrze szło.

- A tędy dokąd można pójść? - Ty wskazała na furtkę po przeciwnej stronie dziedzińca.

- Do gimnazjum - odpowiedział Chase. - Ale najpierw trzeba przejść przez Rambling Brook.

- Och, chodźmy sprawdzić, czy woda zamarzała - pisnęła podekscytowana Ty.

Ruszyła w podskokach przodem, co parę kroków oglądając się na niego, aż dotarli do mostu nad niewielką rzeką, która dzieliła miasto na pół. Ty zatrzymała się i zerknęła w dół. Jej długie rude włosy uwolniły się z luźnego koczka i teraz powiewały na wietrze.

- Fajnie wieje, co? - zawołała. Chase zadrżał, nie widząc nic fajnego w zimnym wietrze podczas zimnej nocy.

- Hej, uważaj - ostrzegł, dotykając lekko jej gołej, bladej ręki. Jak zawsze, kiedy jej dotykał, przeszedł go delikatny dreszcz.

- Spokojnie - odparła, nadal wpatrując się w ciemną wstążkę rzeki. - Nie jest wysoko. - To prawda.

Rzeka płynęła zaledwie jakieś cztery, pięć metrów pod nimi. Ale Chase czuł ściskanie w żołądku.

Inny most, inna noc i inna dziewczyna, a on wyobrażał sobie upadek Sashy. Wyobrażał sobie Saszę przechodzącą nad barierką. Patrzącą w dół. Myślącą o skoku. O zakończeniu wszystkiego.

Poczuł ból w klatce piersiowej. Był zadowolony, kiedy ona była nieszczęśliwa. Czuł się usprawiedliwiony. Stwierdził, że ludzie dostają to, na co sobie zasłużyli.

Ale teraz, kiedy myślał o ostatnich chwilach Sashy, chciało mu się po prostu wymiotować.

- Chodźmy - ponagli! Ty, delikatnie szturchając ją biodrem. Zaczął sypać śnieg.

Ty nie ruszyła się, tylko mocniej zacisnęła dłonie na szerokiej barierce. Nagle, szybko i zgrabnie, wdrapała się na barierkę, a potem na niej stanęła.

- Hej! Nie wygłupiaj się! - krzyknął Chase. Nie chciał jej łapać, bo bał się, że mogłaby stracić równowagę, ale też nie mógł stać i po prostu patrzeć, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się i uniosła ręce jak balerina.

- Mam ochotę potańczyć.

- Ty, proszę cię, zejdz - nalegał Chase, coraz bardziej zdenerwowany. - To niebezpieczne. Bariierka jest śliska.

Ty zrobiła obrót - szybki, bezbłędny. Jej peleryna załopotiała. Wyglądała pięknie. Zjawiskowo.

Ustawiła drugą stopę na palcach, szykując się do kolejnego obrotu. Zamrugał, pozbywając się płatków śniegu z rzęs.

- Ty, proszę - powtórzył Chase. - Naprawdę powinnaś zejść. W zeszłym tygodniu jedna dziewczyna niemal zginęła w taki sposób. To znaczy na moście. Znaczy się spadła z niego.

Nie był pewien, czy Ty go słyszała.

- Nie martw się, wszystko jest po kontrolą - powiedziała, unosząc prawą nogę w tył. - Może się do mnie przyłączysz?

- Ty, serio, proszę... - Chase wyciągnął do niej rękę.

- Ale z ciebie cykor - zakpiła, wykonując skok godny gazeli; nadal była na barierce, tyle że dalej od niego. Na jej twarzy malował się dziki uśmiech.

- Okej, niech będzie, jestem cykorem. Cholernie się o ciebie boję. Mogłabyś już stamtąd zejść? - zapytał z błagalną nutą w głosie.

- Musisz mnie grzecznie poprosić. - Uniosła ręce nad głowę i zrobiła piruet. Jej buty zadzwoniły o metalową barierkę, a jemu na moment stanęło serce.

- Co? Przecież to robię. Błagam cię, żebyś... Przerwała mu.

- Błagam mnie naprawdę - odezwała się z szaleńczym uśmiechem.

- Proszę, Ty. - Oddychał z trudem. Pokręciła głową, odrzucając do tyłu włosy.

- Na kolanach.

Bez namysłu zrobił to, o co prosiła, składając dłonie jak do modlitwy.

- Błagam cię, żebyś zeszła.

- Tylko nie zacznij płakać.

Nie rozplacze się przed nią. Piekły go oczy. Kątem oka zarejestrował błysk światła, jakby przejechał samochód, ale jezdnia za nimi była pusta.

Zeskoczyła miękko i pomogła mu się podnieść. Miał kolana mokre od śniegu.

Odetchnął głęboko, wypuszczając ustami obłoczek pary.

- Co to miało być? - warknął.

- Nie wściekaj się! Odrobina zabawy jeszcze nikomu nie zaszkodziła - odparła z uśmiechem.

- Dla mnie to nie było zabawne, Ty. Mówiłem ci, że w zeszłym tygodniu jedna dziewczyna niemal zginęła w ten sposób, ale albo mnie nie słuchałaś, albo po prostu olałaś. - Chase nie mógł nic na to poradzić, że ciągle był wściekły. Nie miał ochoty dłużej z nią przebywać. Cała ta sytuacja była dziwna.

- Chase, Chase - zaczęła łagodniejszym głosem. - Nie wiesz, że wszyscy kiedyś umrzemy?

- Co? - Wpatrywał się w nią z poczuciem, że nic już nie mogło uratować tego wieczoru.

- Nieważne - mruknęła, a potem chwyciła jego twarz w dłonie i przyciągnęła do siebie. - Tak mi przykro, że cię wystraszyłam - szepnęła. W jej błyszczących oczach było coś takiego, że jej uwierzył. A kiedy ujęła jego dłoń, poczuł ulgę. Właściwie, więcej niż ulgę; było zupełnie jakby upił kolejny łyk tego europejskiego alkoholu - poczuł przyjemne ciepło i odrętwienie. Pomyślał, że wszystko będzie dobrze.

Kontynuując spacer, dotarli na teren gimnazjum i zobaczyli boiska przykryte puszystą kołderką świeżego śniegu. Zapuścili się w tę krystaliczną biel, burząc jej idealną powierzchnię swoimi śladami.

- Zróbmy aniołki na śniegu - zaproponował Chase. Nie robił tego od dzieciństwa.

- Co takiego?

- Aniołki. No wiesz. Ty pokręciła głową.

- Nigdy nie robiłaś aniołków na śniegu? - Chase się roześmiał. - To może jednak mogę cię czegoś nauczyć! - Opadł na

biały puch i wymachiwał rękami i nogami, nie przejmując się tym, jak wygląda. Nie przejmując się nawet - w każdym razie nie aż tak bardzo - tym, że jego nowa granatowa kurtka, którą dostał od mamy na gwiazdkę, zamoczy się w śniegu. A potem ostrożnie wstał i odsunął się od swojego dzieła. - Widzisz? Głowa, skrzydła... - Wziął Ty za rękę i wskazał na swojego anioła. Uśmiechnęła się szeroko, ukazując te idealne białe zęby, a potem padła na śnieg i zrobiła własnego aniołka. Podniosła się, chichocząc.

- Zrobiłam! - Pokazała palcem. A potem upstrzyli całe boisko aniołkami, aż oboje zupełnie przemokli. Kiedy Chase patrzył na Ty, biegającą po boisku, chwytającą płatki śniegu i tarzającą się w białym puchu, przypomniał sobie, jak: to fajnie być dzieckiem, zanim zaczną liczyć się takie rzeczy, jak forsa, popularność, osiągnięcia sportowe i dziewczyny. Potem rozłożył ramiona i padł w śnieg. Leżał na plecach, patrząc na migoczące gwiazdy.

Kiedy w jego polu widzenia pojawiła się Ty, która stanęła u jego stóp, wyciągnął ręce, żeby pomogła mu się podnieść. Wstał, trzęsąc się tak bardzo, że z trudem powstrzymywał zęby przed szczękaniami. Pomyślał, że i ona musi być przemarznięta. Jej peleryna była cała w śniegu.

- Chcesz moją kurtkę? - Zaczął ją ściągać.

- Nie zda się na wiele - powiedziała, wskazując na ociekający kołnierz kurtki.

- Wracajmy do samochodu. - Chase sięgnął po jej rękę; dziwne, ale była ciepła.

Wracali biegiem, zdyszani i roześmiani. Minęły całe wieki, zanim auto się nagrzało, więc siedzieli blisko siebie na przedniej kanapie, rozcierając sobie nawzajem dłonie. Serce Chase'a waliło jak oszalałe i był pewien, że je słyszała.

- Dokąd jedziemy? - Modlił się, by nie poprosiła, żeby odwiózł ją do domu. Chciał zostać z nią na zawsze.

- Chcę się dowiedzieć, jak to jest być Chase'em Singerem. Jedźmy do ciebie. - Uśmiechnęła się, nawijając na palec wilgotny kosmyk włosów.

- Już się robi, piękna.

Tak samo jak poprzednio, jej obecność sprawiła, że przyczepa nie wydawała się tak ciasna i ponura jak zwykle.

- Napijesz się gorącej czekolady? Przygotuję według przepisu mojej mamy - powiedział, jednocześnie gromadząc potrzebne składniki na blacie. Uśmiechnęła się, a potem stała za nim, gdy podgrzewał mleko w małym rondelku, dodając kakao, odrobinę cynamonu, odrobinę pieprzu kajeńskiego i trochę miodu.

- Słodkie i zarazem pikantne? - Nachyliła się nad swoim kubkiem, wdychając zapach.

- W tym cały urok - stwierdził Chase, opierając się o blat. Ty stała przed nim, trzymając oburącz swój kubek (z tandetnym różowym napisem: „Na drugą stronę wzgórza i jeszcze dalej”, prezent od jego mamy na czternaste urodziny). Miała zaróżowione policzki i patrzyła na niego. To było to. Chciała, żeby ją pocałował.

Chase odstawił swój kubek i odchrząknął. A potem, z dłońmi zaciśniętymi na krawędzi blatu, nachylił do niej głowę. Ich usta się zetknęły.

Ale wtedy Ty gwałtownie się odsunęła. Patrzyła na niego, mocno poruszona, odstawiając kubek.

- Muszę... muszę już iść - szepnęła. Chwilę później stała już w drzwiach, ubrana, nerwowo przeczesując palcami swoje rude włosy. - Wybacz. Dobranoc. - A potem wyszła.

- Ty, zaczekaj! - zawołał za nią Chase. - Przepraszam - powiedział, wsuwając gołe stopy w przemoczone buty. - Nie chciałem wszystkiego zepsuć.

Ale kiedy wyszedł przed przyczepę, jej już nie było. Nie miał pojęcia, jak mogła ulotnić się tak szybko - może z kimś się zabrała, a może czekały na nią kuzynki?

Rozglądał się. Widział światło w przyczepie Hendersonów po drugiej stronie osiedla i zarysy drzew w oddali. Cała reszta była rozmazana, nijaka i szara. Otoczenie wyglądało jak opuszczone, ograbione z czegoś wspaniałego.

Kiedy tak stał, powrócił niepokój, paląca potrzeba, by być z nią. Znowu przypomniała mu się tamta noc, gdy umarł jego ojciec - przytłaczająca cisza, która czasem powracała, kiedy był

sam. Ale to, co teraz czuł - ta pustka - było inne. Gorsze. Jeśli nie zobaczy więcej Ty... to sam nie wiedział, co będzie. Nie miał pojęcia, co wtedy zrobi. Nie mógł jej stracić.

Stał, wpatrując się w ciemność. Myślał o tym, że nie zdążył nawet zapytać ją, czy poszłaby z nim na Święto Futbolu - tak bardzo tego chciał, ale nie znalazł odpowiedniej chwili, odpowiednich słów, by to powiedzieć. Stał, myśląc o tym, jak pięknie wyglądała w świetle latarni ulicznych, o jej promiennej skórze, nawet w tanim oświetleniu jego badziewnej kuchni. Stał, wspominając, jak blisko była, gdy podgrzewał mleko. Oszałamiała go.

Stał, zapatrzony w ciemność, gdy nagle zobaczył błysk odblaskowej kamizelki mamy. Znaczyło to, że musi być koło północy. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy z upływu czasu. Ani z tego, że miał fioletowe palce. Mama zachmurzyła się na jego widok.

- Chase? Co ty tu robisz? Wszystko w porządku? - Jej twarz okalała aureola włosów, posiwiałych na skroniach.

Spuścił wzrok.

- Nie wiem - wymamrotał ledwie słyszalnie.

- Och, skarbie. Gdzie masz kurtkę?

- W środku. - Pokręcił głową, próbując poukładać myśli. Zatrokana, poklepała go po ramieniu.

- Chodźmy do środka. Zrobię ci coś ciepłego do jedzenia, okej?

Odrętwiały, poszedł za nią do przyczepy. Nie był głodny, ale nie protestował, gdy zaczęła przygotowywać makaron z serem. Nie mógł nie zauważyć, że kuchnia znów była taka jak zawsze.

Śmierdziało z kosza na śmieci, światło migotało. Zastanawiał się, czy to dlatego Ty tak szybko uciekła. Czy budził jej obrzydzenie?

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, złapał hantle spod sofy i zaczął ćwiczyć. Był to jego zwykły sposób na rozładowanie napięcia. Pomyślał, że zrobi sto machnięć i będzie miał z głowy. Ale zrobił setkę i nic. Machał dalej, czując potworny ból w mięśniach, ale nie mógł przestać.



Mama przyszła z makaronem, usiadła na sofie i zaczęła rozglądać się za pilotem. Chase ćwiczył dalej, ociekając potem.

- Chase, co się z tobą dzieje? - zapytała, wkładając do ust porcję makaronu.

- Nic mi nie jest, mamo.

Nagle zgasło światło. Chase zerknął w okno; wydawało mu się, że coś się tam poruszyło.

Prawie stanęło mu serce na widok wpatrującej się w niego Sashy Boulder.

Przyciskała twarz do szyby, jak w dzieciństwie, gdy zakradała się i robiła do niego śmieszne miny zza okna - ale teraz jej twarz była zniekształcona, groteskowa, straszna.

Łup. Hantle wysliznęły mu się z rąk i bezwiednie wrzasnął.

Wróciło światło.

Okno było ciemne i puste.

## Rozdział 9

Em gmerała w swoich rozmiękłych płatkach, w końcu upuściła łyżkę na marmurowy blat. Źle spała, wyobrażając sobie reakcję Gabby na wieść o tym, co wydarzyło się między nią a Żakiem. Ciągle widziała wyraz twarzy Chase'a, kiedy zobaczył ich razem.

Dostała parę wiadomości od Fiony i Lauren, które planowały babski dzień (zakupy na poświęconych wyprzedazach, pedikiur, obiad w Pete's Pizza) i namawiały, by Em się przyłączyła. Ale ona nie potrafiła wyobrazić sobie nic bardziej nieznośnego od spędzenia całego dnia z przyjaciółkami - z przyjaciółkami Gabby. Pozmyślałyby o Zachu i nie mogła z nimi tego obgadać.

Em była pewna, że Zach zamierzał zerwać z Gabby. Zrobi to delikatnie, taktownie. Będzie ciężko i przez jakiś czas nadal będą musieli ukrywać się ze swoim uczuciem. Ale w końcu -może w przyszłym roku - kiedy Gabby zobaczy, jak świetnie Em i Zach się rozumieją i jak bardzo zależy im na sobie nawzajem,

wybaczy jej. Zrobi to. W końcu, Gabby była jej najlepszą przyjaciółką. Zawsze ją rozumiała. A może tylko się łudziła? Em spróbowała zjeść trochę rozmięklej papki, ale z trudem przełknęła łyżkę. Drażniło ją poczucie, że jej los zależy teraz od innych. Wiedziała, że musi cierpliwie czekać, aż Zach będzie wolny. Wiedziała, że musi ufać, że Chase zachowa wszystko dla siebie. Westchnęła, odsuwając od siebie płatki i przyciągając laptop. Musiała wysłać Chase'owi swój wiersz, *Nieemożliwe*. Taka była umowa.

Otworzyła wiersz i przeczytała dwa pierwsze wersy:

„Wpadasz do mojego serca jak nagły podmuch wiatru,  
Nie wiem, czy to właściwe, ale wiem, że jest prawdziwe”.

Oczywiście, nikt nie wiedział, o kim był ten wiersz. Ani Fiona, ani Lauren, które były z nią w zeszłym roku na rozdaniu nagród, ani nawet Gabby. Gabby myślała, że Em wszystko wymyśliła - że była aż tak dobra w te klocki. Nie miała pojęcia, do kogo jej przyjaciółka tak naprawdę wzdychała. Do kogo uczucie było „nieemożliwe”.

Nagle rozległo się bipnięcie - dostała nowy mejl.

Weszła szybko w skrzynkę. Była to wiadomość od anonimowego nadawcy, bardzo dziwnie zatytułowana:

„Ma pan jakieś drobne, sir?”

Otworzyła wiadomość i zobaczyła niezbyt wyraźne zdjęcie Chase'a - zapewne zrobione komórką - klęczącego na moście nad Rambling Brook. Fotka została zrobiona z boku; Chase był z profilu, miał na sobie džinsy i kurtkę bosmankę. Było to prawie jak katalogowe zdjęcie, na którym facet oświadcza się kobiecie, wręczając reklamowany pierścienek. Tyle że było w tym coś rozpaczliwego. Chase klęczał na obu kolanach, w śniegu, z rękoma złożonymi w taki sposób, jakby o coś błagał. Był sam na zdjęciu.

Emily zjechała w dół. Podpis pod zdjęciem był rozwinięciem tematu:

„Ma pan jakieś drobne, sir? Nadeszły naprawdę ciężkie czasy dla amerykańskich śmieci z przyczep”.

Fotka została wysłana do wszystkich z klasy. To będzie dla chłopaka prawdziwy cios.

Poczuła się nieswojo. Nie żeby miała ochotę stawać w obronie Chase'a, ale to zdjęcie i fakt, że zostało rozpowszechnione... to było naprawdę niepokojące. Czy już nie można było mieć żadnych tajemnic? Życia osobistego?

- Ludzie potrafią być naprawdę podli - powiedział nagle głos zza jej pleców.

Em krzyknęła, zeskakując ze stołka i odwracając się tak gwałtownie, że go przewróciła.

- Hej, spokojnie. To tylko ja. - JD podniósł stołek. - Jezu, Winters. Coś ty taka nerwowa?

- Prawie dostałam ataku serca przez ciebie! - Pacnęła go, a potem wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić walące serce.

- Sorry. Myślałem, że słyszałaś, jak wchodziłem. - Był jakiś pomięty, rozmemłany, jakby dopiero wstał. Nawet nie miał na sobie jednego ze swoich zwykłych, dziwacznych strojów, tylko stare džinsy i T-shirt. - Też to dostałaś? - JD wskazał na zdjęcie na ekranie jej laptopa. Przytaknęła, nadal z mocno bijącym sercem. - To takie... niesmaczne - podsumował JD, siadając na stołku obok Em. - I słabe. Kto mógłby zrobić coś takiego?

Emily widziała, że JD był tym mocno poruszony. Bezustannie przeczesywał włosy prawą ręką; często to robił, gdy był zdenerwowany. Przypominał wtedy trochę szalonego profesora.

- To znaczy, nawet nie lubię Chase'a Singera - ciągnął JD. - Ale coś takiego jest po prostu nie w porządku.

- Nie dziwię się, że go nie lubisz - stwierdziła Em, przekręcając się na stołku, by na niego spojrzeć. - Zamienił ci drugą klasę w piekło. Pamiętasz fizykę? Za każdym razem, gdy odpowiadałeś na pytanie, chrząkał, śmiał się i nazywał cię kujonem. JD zaczerwienił się lekko.

- Po pierwsze, Em, to trochę jestem kujonem. A po drugie, to nawet gdyby nazywał mnie śmierdzącym, zdziwaczałym, zjadającym kozy z własnego nosa kujonem, który już na zawsze pozostanie prawiczkiem, i tak bym uważał, że takie zagrania jak to są nie w porządku. Rozumiesz? Emily nie po raz pierwszy pomyślała, że JD to naprawdę porządny facet.

- Masz rację. Tak się nie robi. - Emily zamknęła zdjęcie i zmieniła temat. - Po co wpadłeś? Nie robisz dziś za niańkę?

- Chętnie bym porobił za twoją niańkę - powiedział, nachylając się, by odgarnąć przyklejony do jej policzka kosmyk włosów. - Co robisz? Może obejrzymy film? - Bębnił palcami w blat; jego oczy błyszczały. - Co tam piszesz?

Na ekranie nadal był otwarty jej wiersz.

- Dziewczyny mają swoje tajemnice - mruknęła, szybko zamykając laptop. - A ty co? Przyszedłeś, żeby mnie dręczyć? - Dała JD kuksańca. - Zajęta jestem.

- Och, wybacz, że śmiałem ci przeszkodzić. - Uniósł ręce w obronnym geście. - Właściwie to przyszedłem po mąkę razową. - Em uniosła brwi, a on kontynuował: - Twoja mama powiedziała mojej, że zostawi mąkę na blacie. Mama znowu eksperymentuje z chlebem. Wiesz, jak uwielbiam te zakalcowate, pozbawione chrupkiej skórki chleby jej wypieku.

- Prawie tak jak jedzenie tektury?

- Dokładnie. Równie dobre jak ta paciają, która jak się domyślam, wcześniej była płatkami - skwitował, łapiąc miskę Em i zanosząc ją do zlewu. - Następnym razem daj mi znać, jak będziesz miała kryzys śniadaniowy. Przyniósłbym dwa muffiny, gdybym wiedział, że tak się sprawy mają. Em roześmiała się i chwyciła puszkę z mąką. Kiedy brał ją od niej, ich dłonie na chwilę się zetknęły. Znieruchomiał.

- Em...

- Tak? - Bezwiednie odsunęła się nieco od niego. JD jakoś dziwnie na nią patrzył.

- Ja... - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, a Em serce podeszło do gardła. Widziała to spojrzenie w filmach. Czytała jego opisy w książkach. Tak patrzy! ktoś, kto zamierzał wyznać swoje uczucia. Ale nagle było po wszystkim. JD znów był taki jak zwykle i wskazując brodą na jej torbę, którą zostawiła na stole, zapytał: - Co to? - Chodziło mu o wystający z torby czerwony storczyk, jej prezent od Zacha.

- To? - Em wzruszyła ramionami, bawiąc się rąbkiem starej bluzy swojego ojca, z logo Harvard Medical School; sypiała w niej od dwunastego roku życia. Przez chwilę Em chciała o wszystkim opowiedzieć. O kolczykach, znaku, bitwie na śnieżki, pocałunku. Może JD mógłby udzielić jej jakiejś mądrej rady. Zwykle dobrze radził. Ale kiedy spojrzała w jego piwne oczy, wiedziała, że nie mogła tego zrobić. Nie, kiedy tak na nią patrzył, jakby nie mogła zrobić nic złego. Nie zrozumiałby.

- A takie tam, od mamy - wymamrotała. JD zmrużył oczy.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła Em. Czowała ból w klatce piersiowej. - Mam dużo pracy domowej na ferie.

- Po prostu... wydajesz się jakaś podenerwowana.

- Nic mi nie jest. - Em naciągnęła na dłonie przydługie rękawy bluzy. - Jestem trochę zestresowana, to wszystko.

- Okej, rozumiem, jesteś dziś zbyt zajęta, żeby spędzić trochę czasu z sąsiadem - mruknął JD, odwracając się do drzwi. -Zjadającym kozy z własnego nosa kujonem, który już na zawsze pozostanie prawiczkiem.

- Daj spokój, JD, nie mów tak o sobie - powiedziała rozbawiona Em, odprowadzając go do wyjścia. - Wiem, że nie zjadasz...

Obejrzał się na nią, stojąc w otwartych drzwiach, przez które wpadł zimny podmuch wiatru.

- A co z tym, że na zawsze pozostanę prawiczkiem? To też nieprawda?

Em roześmiała się, zbierając swoje długie ciemne włosy w koczek.

- Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Po wyjściu JD Em wróciła do kuchni. Zaparzyła sobie uspokajający rumianek i nałapała do kubka, który w zeszłym roku Gabby przywiozła jej z Meksyku. *Caliente!*<sup>5</sup> - głosił jaskrawo-różowy napis na kubku. Do prezentu Gabby dołączyła kartkę, na której napisała: „Dla najgorętszej segnority, jaką znam”. Em

---

<sup>5</sup> *Caliente!* (hiszp.) - gorące!

ciągle miała tę kartkę; była jedną z wielu pamiątek zatkniętych za ramę jej lustra.

Gabby zrozumie. Musi zrozumieć.

Zamyślona, dmuchała na rumianek, a potem sięgnęła do szafki po miód.

Nagle otworzyło się okno nad zlewem i do kuchni wpadł gwałtowny podmuch wiatru. Kubek poleciał na podłogę i się rozbił. Na bluzie widniała parująca żółta plama. Em zassała powietrze i drżącymi rękoma zamknęła okno. Przez chwilę wydawało się jej, że słyszała czyjeś zawrozczenie. Wyrzała na zewnątrz. W kącie podwórka kołysały się dwie sosny. Kolejny silny podmuch wiatru sprawił, że z ich gałęzi spadł śnieg. Ale poza tym na podwórku nic się nie działo.

Em stała przez chwilę nieruchomo, nie mogąc pozbyć się niepokoju, który ją ogarnął. Wyszpeptała pierwszy wers swojego wiersza:

- „Wpadasz do mojego serca jak nagły podmuch wiatru”. Kiedy pisała *Nieemożliwe*, nie zdawała sobie sprawy, że te słowa mogły brzmieć tak groźnie.

Rozdział 10

Chase był jak w amoku. Nie mógł zasnąć. Całą noc niespokojnie przewracał się z boku na bok, obsesyjnie sprawdzając, czy Ty dzwoniła albo odpowiedziała na jego esemesy.

Napisał: „W porządku? Zobaczymy się w tym tygodniu?”

Zero odpowiedzi. Tylko telefon od Zacha, którego nie odebrał.

A teraz jechał na spotkanie drużyny - tradycyjne posezonowe spotkanie w domu trenera Baldwina - na którym powinien być. W przyszłym roku miał zostać kapitanem drużyny, oficjalnym liderem. A to poważna sprawa.

Zrobił kilka skrętów głową, rozciągając szyję. Ponownie sprawdził telefon. Nic. Okej. Obiecał sobie, że zostawi telefon

w aucie i sprawdzi dopiero po spotkaniu. Miał nadzieję, że nie będzie trwało dłużej niż godzinę. Ledwo przestąpił próg domu Baldwina - trener miał rozległe ranczo nieopodal chaty Emily - poczuł jakieś dziwne wibracje; coś było nie tak.

- A oto i nasz bohater! - zawołał Carl Feder, grający na pozycji biegacza. Chase rozejrzał się, aby się upewnić, że Feder mówił do niego. Paru chłopaków się zaśmiało, inni odwrócili wzrok.

- Hej, Singer - powiedział Andy Barton. - Zbierasz na kolejny manikiur?

- Modlisz się o wygraną w kolejnym sezonie? - zapytał ktoś z głębi pokoju.

- Wygrana jest oczywista - odparł z uśmiechem wyższości.

- Selekcyjnerom nie podoba się proszenie, zwłaszcza na kolanach, Singer - ponownie odezwał się Barton, który siedział w kącie pokoju z talerzem lazanie.

Te uwagi trochę się różniły od zwykłych drużynowych żartów i docinków.

- O czym wy mówicie? - burknął Chase, nie kierując swojego pytania do nikogo konkretnego.

Podszedł do niego Sean Wagner i podsunął mu pod nos swój telefon. Było tam zdjęcie Chase'a z poprzedniego wieczoru. Chase zobaczył siebie klęczącego na śniegu, ze złożonymi rękami, z błagalnym wyrazem twarzy. Ty musiała być tuż poza kadrem. Ty... To, że został przyłapany w takim momencie, ledwo do niego dotarło - do niego, który tak bardzo się starał, by nie zostać upokorzony. Mógł myśleć jedynie o niej. Ty. Ty. Ty. Powtarzał w myślach jej imię jak zaklęcie, jak mantrę. Wzruszył ramionami, zbierając myśli. A potem się uśmiechnął.

- Nie macie nic lepszego do roboty, tylko mnie śledzić, kiedy jestem na randce z gorącą laską?

- Zgadza się, jest naprawdę niezła. Dobra robota, Chase - powiedział Zach, wyłaniając się zza rogu z talerzem wyładowanym po brzegi sałatką i makaronem.

Chase skinął głową, wiedząc, że kumpel nie miał pojęcia, z kim spędził wieczór. Dobrze było wiedzieć, że nadal mógł liczyć na jego wsparcie.

- Słuchajcie, chłopcy, pani Baldwin prosiła, żebym wam przekazał, że w kuchni są jeszcze te paluszki chlebowe! - zawołał Zach. Nabrał na widelec trochę makaronu, a przechodząc obok Chase'a, rzucił: - Próbowałem cię ostrzec. Na drugi raz odbieraj telefony ode mnie.

Wiedział, że wsparcie Zacha, było podziękowaniem za to, że Chase obiecał zatrzymać dla siebie, co widział tamtego pamiętnego dnia. Gdyby któryś z chłopaków z drużyny dowiedział się o Zachu i Em, wieści szybko dotarłyby do Gabby, co pokrzyżowałyby mu szyki. Zach chyba zdawał sobie sprawę, że koledzy coś podejrzewali, ale wołał, by nie było to oficjalnie potwierdzone, przynajmniej na razie. Przynajmniej dopóki nie będzie mógł tego ujawnić na swoich warunkach. Przysługa za przysługę. Taki był Zach.

Chase pokręcił głową, wdzięczny, że trener Baldwin zarządził rozpoczęcie właściwej części spotkania.

Kiedy ruszył w stronę kanapy, by usiąść obok trenera, Barton walnął go w ramię.

- To jak, Singer, przyprowadzisz tę tajemniczą laskę na Święto Futbolu?

Chase złożył dłonie, a potem podsunął je Bartonowi przed twarz.

- Błagam cię, zamknij się już - jęknął, ku uciesze pozostałych.

Ale zaraz sięgnął do prawej kieszeni, żeby sprawdzić telefon; zacisnął dłoń w pięść, kiedy przypomniał sobie, że zostawił komórkę w samochodzie. A jeśli Ty właśnie do niego dzwoniła? Wziął głęboki oddech, tak samo jak wtedy, gdy jego koszulki nie rozprostowały się dobrze na parze albo gdy zostawił swój playbook na noc w szkolnej szafce. Musiał coś z tym zrobić.

Ale trener Baldwin zapytał go o taktykę obrony South Portland Red Riotsów i Chase zmusił się, by się skupić. Koledzy z drużyny mogli uważać go za świra, ale i tak potrzebowali go



jako lidera. Kolejnych czterdzieści pięć minut minęło w następujący sposób - Chase się wyłączał, trener pytał go o coś, Chase się włączał i odpowiadał, najlepiej jak umiał, wyobrażając sobie siebie na boisku, biegnącego ile sił w nogach, prześcigającego innych. Docinki ustały; chłopcy zasadniczo nie zwracali na mego uwagi. Gadali o Super Bowl, ataku Patriotsów, a kiedy trener wyszedł do kuchni po napoje, o tym, jak Sara Cushman zdjęła bluzkę w jacuzzi Minstera pod koniec imprezy. Wszystko to nie było dla niego niczym więcej jak brzęczeniem w tle. A kiedy już myślał, że dłużej nie wytrzyma, spotkanie dobiegło końca. Chase wyskoczył jak oparzony, z nikim nawet się nie żegnając, jedynie mijając Zacha, skinął mu głową. I miał gdzieś, że żaden z nich też jakoś się nie kwapił, aby się z nim pożegnać.

Pobiegł do samochodu i szybko otworzył drzwi. Usiadł w fotelu i drżącymi rękoma podniósł klapkę telefonu. Na wyświetlaczu migiała jedynie godzina. Wściekły, cisnął komórkę na podłogę.

Zostawiając ją tam, gdzie spadła - przy fotelu pasażera -przekręcił kluczyk w stacyjce. Miał to gdzieś. Musi wziąć się w garść. Wycofywał właśnie z podjazdu trenera, wyobrażając sobie linię ataku York Lionsów, żeby oderwać myśli od Ty, gdy usłyszał: bip-bip-bip.

Niemal staranował skrzynkę pocztową na końcu podjazdu, kiedy ciągle wycofując, schylił się po telefon. Zatrzymał się, otworzył klapkę i na jego usta wypłynął uśmiech. Napisała.

Minęła dłuższa chwila, nim odczytał esemes; niesamowitą przyjemność sprawiało mu już samo wpatrywanie się w jej imię. „Wpadłbyś dzisiaj do mnie? Jesteś mi potrzebny!” Jego serce zaczęło szybciej bić. Nie tylko zobaczy Ty, ale zobaczy również jej dom - wiedział, że to dobry znak. Ale na razie jeszcze za wcześnie, by popadać w euforię. „Jasne, byłoby super”. Odpisała niemal natychmiast: „Fajnie. 128 Silver Way”.

Chase zatrzymał się na zwirowym parkingu przed nowym centrum handlowym, przyglądając się odręcznej mapce, którą

skopiował ze swojego laptopa, i żałując, że nie miał w telefonie GPS-a ani Internetu. Zaraz? Tutaj ma być Silver Way? Tak jak w wielu starych miastach, i w Ascension było mnóstwo małych uliczek, ale mimo wszystko to dziwne.

Centrum, ukończone dopiero w połowie, wyrastało przed nim wielkie i zwaliste, z ziejącą dziurą na końcu, gdzie zaplanowano atrium. Nic dziwnego, że ludzie - głównie dzieciaki i dziennikarze miejscowych gazet - nazywali je Behemotem albo Potworem. Z oddali dobiegały odgłosy pracujących dźwigów i wiertel. Konstrukcja była przykryta brezentowymi płachtami, by robotnicy mogli pracować podczas mrozu.

Musiał przegapić jakiś skręt. To nie mogło być tutaj.

Ale w następnej chwili zobaczył Ty; ominęła betonową barierę i szła przez śnieg, w szpilkach i krótkiej dżinsowej spódniczce. Włosy związała z tyłu, a jej pojedyncze białe pasemko skrzyło się w zimowym świetle. Chase wysiadł z samochodu.

- To tutaj mieszkasz? - Przełknął ciężko ślinę. Kompletnie nic nie wiedział o tej dziewczynie. Co ona robiła na placu budowy?

- Tak, w tamtej rurze - odparła poważnie, po czym wybuchnęła śmiechem. - Oczywiście, że tu nie mieszkam, głuptasie. Chodź.

Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą. Jak zwykle jej dotyk sprawił, że przeszedł go dreszcz. Jednodniowy śnieg chrzęścił pod ich stopami, kiedy prowadziła go za budowę, w stronę lasu sosnowego, który ją otaczał. Chase dostrzegł ścieżkę między drzewami i wkrótce znaleźli się między pokrytymi śniegiem sosnami. Zaczynało zmierzchać i ścieżkę ledwo było widać, ale Ty pewnie szła naprzód. Potykając się i zapadając w głęboki śnieg, usiłował za nią nadążyć. Miał wrażenie, jakby nie szła, a płynęła nad śniegiem. - Czyli nie mieszkasz w tamtej rurze, tylko w Nawiedzonym Lesie?

- Nawiedzonym Lesie? - Ty zwolniła na chwilę, oglądając się na niego przez ramię.

- Tak... wszyscy mówią, że ten las jest nawiedzony przez duchy - wyjaśnił Chase, wzruszając lekceważąco ramionami. - Ale to tylko takie tam głupie gadanie.

- Nigdy o tym nie słyszałam! Opowiedz mi; uwielbiam historie o duchach. - Jej oczy błyszczały i przygryzła dolną wargę, przez co jej kości policzkowe zrobiły się jeszcze wyraźniejsze.

- Taka tam bajka, żeby Ascension wydawało się ciekawsze. A jeśli tu są duchy, to pewnie są zamroczone od resztek piwa i oparów trawki. Na zachód stąd jest polana, gdzie urządzone są imprezy. Wiesz, żadnych sąsiadów, którzy by wezwali gliny. Niektóre imprezy są naprawdę ostre.

Ty odwróciła się, mrużąc oczy, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

- Słyszałam kiedyś historię o siostrach dziwaczkach, które mieszkały tu jakieś sto lat temu. Myślisz, że to one tu teraz straszą?

- Nie widziałem tu nigdy żadnych duchów - powiedział Chase. - Ale jeśli tu jakieś są, ja cię obronię. Ty uśmiechnęła się i ruszyła dalej.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmiła, ściskając jego dłoń. W świetle księżyca zobaczył dom wynurzający się zza zakrętu. - To tutaj.

Przed domem z dużymi, brudnymi oknami, dachem kalenicowym i kamiennym kominem była niewielka połać zwęglonej trawy. Nie było podjazdu ani innych budynków.

W głowie Chase'a kłębiły się myśli. To jest dom Ty? Ali i Meg też tu mieszkają? Jej rodzina musiała zbankrutować albo coś. Nagle do niego dotarło. Nic dziwnego, że on i Ty tak dobrze się rozumieli.

Oboje byli inni niż bogate dupki z Ascension. - Nic specjalnego, ale...

Chase nie pozwolił jej dokończyć:

- Test okej Wejdźmy do środka. - Nadal intensywnie myślał rozważał różne scenariusze, szukał odpowiedzi; przeszłość Ty nie dawała mu spokoju. Może wyjeżdżali z Ascension w pośpiechu? Może jej rodzina wpadła w jakieś tarapaty? Może je, rodzice siedzieli w więzieniu i Ty nie mogła pójść do college u, bo musiała spłacać jakieś długi? Może jej ojciec był mahosem i musieli się ukrywać?

Może może, może... Słowo to było jak świder, nieustannie wwiercający się w jego mózg. Chciał zadać jej te pytania - chciał

o niej wszystko wiedzieć. Ale nie chciał jej wystraszyć. Wiedział, że to, że zaprosiła go do domu, było dużym krokiem. Nie mógł naciskać, żądać od niej więcej, niż sama oferowała. Czuł, że tak samo jak on, nie przepadała za roztrząsaniem przeszłości.

Ty weszła do domu pierwsza i zapaliła światło. Duży pokój z drewnianą podłogą był prawie pusty. Przy wygasłym kominku w salonie stało kilka krzesel; w kuchni był chybotały stół. W oknach brakowało zasłon, nie było też żadnych urządzeń elektronicznych, oprócz starego radia. Na podłodze pomieszczenia, które kiedyś mogło być jadalnią, stała puszka farby.

Chase przyglądał się wszystkiemu w milczeniu. Kątem oka zauważył jakiś ruch, jakby coś się prześliznęło. Odwrócił się, ale jedyne co zobaczył, to cień w kącie. A więc musieli sprzedać wszystkie meble. Okej. Było trochę dziwnie, ale starał się pamiętać, jak się denerwował za każdym razem, kiedy ktoś odwiedzał jego żalosną przyczepę. Jak bardzo bolało, kiedy oceniali cię na podstawie tego, co posiadasz, a nie tego, jaki naprawdę jesteś.

- Niezbyt tu przytulnie - powiedziała Ty, jakby czytając mu w myślach. - Chodźmy na górę.

Na górze, a dokładnie w jej sypialni, wytapetowanej na biało, ze skośnym sufitem, rzeczywiście było przyjemniej. W pokoju wały się ciuchy, buty i wyrwane kartki z czasopism, tak samo jak w pokojach wielu innych dziewczyn, które widział. Rozluźnił się nieco. Zobaczył na toalecie flakoniki z perfumami i zastanawiał się, których by musiał użyć, aby pokój wypełnił się zapachem Ty.

Ty patrzyła na niego ze swojego łóżka. Wydawała się taka spokojna - jakby zupełnie nie dbała o to, co mógł o niej myśleć. Jej długie nogi były wyciągnięte, tułów wsparty na łokciach. Dopiero teraz zauważył, jak wyraźnie miała zaznaczone mięśnie ramion.

Chase sięgnął do tylnej kieszeni.

- Napisałem coś dla ciebie - powiedział, czując oblewające jego twarz gorąco. - Proszę.

Ty wyciągnęła rękę po kartkę z wierszem Emily. Kiedy go czytała, Chase podszedł do okna, próbując uspokoić walące serce. Czuł pulsowanie w żyłach. Było cicho. Wysoko na niebie świecił

jasny księżyc. Zastanawiał się, jak często Ty stawała przy tym oknie i po prostu patrzyła na drzewa, na śnieg.

- Ty to napisałeś? - Wstała i podeszła do niego. Na karku i rękach stanęły mu włoski, reagując na jej bliskość, na jej zapach. - Dla mnie?

- Tak. To nic takiego... - mruknął, nagle czując się dość podle z powodu tego, że nie on to napisał. Ale przynajmniej wiersz oddawał jego uczucia. - Ale myślałem o tobie.

- Jest piękny - pochwaliła Ty. Odwrócił do niej twarz, by mieć pewność, że nie mówiła tego tylko po to, aby nie psuć mu nastroju, a wtedy jej usta musnęły jego policzek, dosłownie ze dwa centymetry od ust. - Dziękuję - szepnęła.

Jeszcze nigdy nie byli tak blisko. Chase czuł pulsowanie całego ciała. Jej zapach, jej bliskość, jej włosy dotykające jego ręki - wszystko to sprawiało, że kręciło mu się w głowie. Odwrócił się do niej zupełnie, licząc na prawdziwy pocałunek, ale ona już cofnęła lekko uchylone czerwone usta.

- Tak się zastanawiałam - zaczęła. - Mógłbyś mi pomóc? Chase uniósł brwi.

- Pewnie. A z czym?

- Cóż - zawahała się i przez chwilę sprawiała wrażenie skrepowanej. - Ten dom... - Parsknęła nerwowo, wzruszając ramionami. - Powiedzmy to wprost. Teraz wygląda po prostu jak nora.

Zastanawiałam się, czy nie pomógłbyś mi pomalować jednego z pokoiów na dole. Usiłuję to jakoś ogarnąć.

Zrozumiał od razu. Wstydziła się tego domu.

- Nie ma sprawy - obiecał z uśmiechem. Uśmiechnęła się również i chwyciła go za rękę. Kiedy zeszli na dół, do jednego z tych ciemnych, pustych pokoiów, znów poczuł się nieco dziwnie. Ty zniknęła na chwilę; wróciła z gazetami, które rozłożyła na podłodze.

Otworzyła stojącą na podłodze farbę - jaskrawoczerwoną. Chase nie był dekoratorem wewnątrz, ale pomyślał, że to bardzo odważny pomysł.

- Mam rolkę i pędzel - oznajmiła, wskazując na przygotowane akcesoria. - Co wybierasz?

- Rolkę. - Czuł się świetnie. Czuł się przydatny. Potrzebowała go. To dobry znak. Kiedy podwijał rękawy, bo zdecydowanie nie chciał się cały uwalnąć farbą, Ty włączyła radio i ustawiła stację ze starymi przebojami. Nuciała pod nosem, przygotowując swój pędzel do akcji.

Czerwona farba rozprzestrzeniała się szybko po ścianie, niczym krew wypływająca ze świeżej rany. Super. Podobało mu się, jak wyrazisty kolor zastępował przybrudzoną biel. Machając rolką w tę i z powrotem, w górę i w dół, wiedział, że jego ramiona dobrze się prezentują, silne i muskularne.

- Te ściany zawsze były białe? - zapytał, niby ot tak, ale w rzeczywistości dałby wiele za każdą, choćby najmniejszą informację związaną z nią.

- O ile wiem, to tak - odparła Ty. - Ale czerwony to mój ulubiony kolor. Lubię otaczać się czerwienią. A twój?

- Mój ulubiony kolor? Ty skinęła głową.

- Bordowy i złoty - powiedział Chase. - Barwy drużyny.

- Czyli też lubisz intensywne kolory - stwierdziła Ty z uśmiechem. - A twoje ulubione jedzenie? - Wyglądało na to, że i ona chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Chyba chińszczyzna - zastanawiał się Chase, przeklinając w myślach, gdy na jego dzinsy prysnęła farba. - Uwielbiam pierożki krabowe.

- Mniem - zamruczała Ty, a on tak się zagapił na jej usta, które oblizywała, że ledwo zauważył, że pochłapała sobie całą bluzkę farbą. Zauważyła, jak się jej przyglądał, i spojrzała w dół. -Ups. Fleja ze mnie. - Roześmiała się i machnęła pędzlem w jego stronę. - Teraz jesteśmy sobie warci - zażartowała, kiedy na jego koszuli pojawiły się czerwone kleksy.

Zmusił się do śmiechu, który zabrzmiał głucho w pustym pokoju.

- Dobrze - mruknął.

- Przepraszam - sapnęła Ty z niepewną miną. - Jesteś zły? To jakaś lepsza koszula?

- Co? - Zerknął w dół, jakby dopiero teraz zauważył te plamy. - Och, to nic. Naprawdę. - Wzruszył ramionami, a kiedy to zrobił, na jego spodniach i bucie wylądowała farba. Spojrzał w dół, a potem na nią. Uśmiechnął się. - Widzisz? Żaden problem.

Nagły wybuch śmiechu Ty prawie wynagrodził mu świadomość, że zniszczył sobie spodnie. Stracił nadzieję, że pozostanie tego wieczoru czysty. Ty zanurzyła pędzel w farbie, tak by obficie ociekał, po czym przeciągnęła nim po ręce, szyi i wreszcie włosach. Czerwień farby gryzła się z rudym kolorem jej włosów.

Też się roześmiał, tym razem naprawdę.

- Dokończmy tę ścianę - powiedział i tak zrobili, co rusz przyskajac na siebie nawzajem farbą. Chase usiłował nie myśleć o tym, że jutro będzie musiał wyrzucić ciuchy, skupiając się bardziej na tym, jak dobrze być razem z nią.

Po jakimś czasie Ty cofnęła się, żeby ocenić efekty ich pracy. Na zewnątrz było ciemno i jedynym źródłem światła była naga żarówka przykręcona do sufitu, ale nawet w tak marnym oświetleniu ściana praktycznie pulsowała żywą czerwienią. Spojrzała na niego, by poznać jego opinię i zmarszczyła nos.

- Słodki jesteś. Cały w farbie! - zawołała, zbliżając się do niego.

- Nie szkodzi - rzucił z nadzieją, że zabrzmiało to niedbale.

- Mam naprawdę świetny odplamiacz. - Wskazała ręką na kuchnię. - Usuwa wszystko. Mogłabym...

Moglibyśmy pozbyć się tej farby?

- Okej. - Bardzo chciał zachowywać się nonszalancko, ale mu to utrudniała, coraz bardziej przybliżając się do niego. W końcu chwyciła kołnierzyk jego koszuli; jej chłodne palce musnęły jego szyję.

- Słuchaj... a może byś to zdjął? - zapytała, jednocześnie rozpuszczając włosy, do tej pory zebrane w koński ogon. Pociągnęła za rękawy jego koszuli. Potem spróbowała innej taktyki: zadarła mu koszulę w górę. Kiedy odsłonił się jego brzuch, Chase machinalnie napiął mięśnie.

Jej dłonie były teraz na jego skórze.

Nie zastanawiając się długo, schylił się i pocałował ją mocno w usta. To było... niesamowite. Jakby nad jego głową rozbiła się fala. Jakby pływał w zimnej wodzie, przyprawiającej go o ciarki. Czuł jej uśmiech, kiedy się całowali.

- To co, mogę zająć się twoimi ciuchami? - Odsunęła się. -Daj spokój. Nie wstydz się - zachęcała go, żeby się rozebrał.

Chase zaczerpnął tchu. Ciągnęła go do niej jakaś tajemnicza siła. Znow to czuł. Tak jak tamtej nocy po imprezie u Minstera, a potem w klubie pod Benson's Bar.

- Rozbiorę się, jeśli i ty to zrobisz - postawił warunek.

A ona, ot tak, zaczęła się rozbierać. Ściągnęła spódnicę, zgrabnie zdjęła bluzkę przez głowę. Pozbyła się prawego buta, potem lewego, potem stanika, wreszcie majtek. Chase nie pierwszy raz widział naga dziewczynę, ale to było coś nowego. Przyzwyczał się do obmacywanek w przyciemnionym świetle, do szamotania się z ramiączkami stanika i guzikami przy rozporkach. Tym razem nie było żadnego skrępowania. Żadnych strategicznych póz, by zakryć to, co zwykle dziewczyny starały się zakryć. Żadnego przesadnego starania się. Była tylko Ty. Przed chwilą jeszcze ubrana, a teraz naga, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Ale choć jej ciało wyglądało bardzo seksownie, cała ta akcja nie miała wymiaru seksualnego. Rozebranie się było dla tej dziewczyny jak dla innych włożenie ubrania. Kiedy Chase się ubierał, wkładał kostium chroniący go przed światem zewnętrznym - robił się na pewnego siebie, inteligentnego, zdolnego faceta, jakim chciał być.

Huczało mu w głowie, jakby rozbijały się w niej fale, potężne i zimne.

Zdjął buty i skarpetki. Potem ściągnął koszulę i stał tak przez chwilę z gołą klatką, niezdecydowany, czy zrobić kolejny krok. Ty podeszła do niego i cmoknęła go w usta.

- Teraz dzinsy... - Przejechała palcami wzdłuż jego paska od spodni. Przeszedł go dreszcz.

- Ty... - Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć. Rozpiął dzinsy i zdjął.



Ty omiotła go całego spojrzeniem. Przynajmniej wiedział, że dobrze wyglądał.

- Na bokserkach też masz farbę - zauważyła. - Widziałeś? Nie widział.

- Eee, to nic - wydukał.

- Zrobiłam to celowo - przyznała się Ty z frywolnym uśmiechem. Stała tak blisko, że czuł jej oddech na ramieniu. A co mi szkodzi, pomyślał. Zabrnął już tak daleko. Zdjął bokserki i stał, wyprężony i kompletnie nagi, w czerwonym pokoju Ty.

- Ciacho z ciebie - szepnęła mu prosto do ucha. A potem wyszła z jego ciuchami, krzycząc, już z innego pokoju: - Zaraz wracam! - Czekając, Chase przestępował z jednej zziębniętej stopy na drugą. Serce mocno mu waliło. Tak bardzo jej pragnął.

Ty wróciła, trzymając coś w rękach, ale to nie były jego ciuchy.

- Muszą pomoczyć się parę minut - powiedziała - a potem wrzucimy je do suszarki w piwnicy.

Tymczasem... - Pomachała ręką. Trzymała w niej aparat cyfrowy. - Chcę zapamiętać to na zawsze.

Chase wpatrywał się w nią. Chciała mu pstrykać fotki? Nagie?

- Masz... masz farbę na ręce - mruknął. Nic więcej nie zdołał wymyślić.

- No i? Będzie fajnie wyglądać - odparła.

- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem robione zdjęcia - stwierdził Chase. - Pomijam te do szkolnej kroniki czy przypadkowe fotki z imprezy.

- Tylko kilka, okej? - Delikatnie wysunęła dolną wargę. Było to najseksowniejsze wydęcie ust, jakie w życiu widział. Pomyślał, że oszaleje, jeśli jej wkrótce znów nie pocałuje.

Jakby czytając w jego myślach, Ty ponownie się przybliżyła, otarła twarzą o jego szyję i ją pocałowała. - Okej, niech będzie - powiedział z przekonaniem.

To, co robili, było bardziej podniecające, bardziej intymne od jego dotychczasowych doświadczeń.

Zaczęła pstrykać zdjęcia, a on stał, z początku przestępując z nogi na nogę.

Pstrykała dalej, a on wpatrywał się w błyskający flesz. Było zupełnie, jakby go hipnotyzowała. Nagle z jego ust popłynął potok słów:

- Serio. Prawie nie mam zdjęć. Z ojcem to mam chyba jedno, z dzieciństwa.

Ty słuchała, patrząc przez obiektyw, a jej mleczone ciało skrzyło się w świetle księżyca, wpadającym przez okno do czerwonego pokoju.

- Dużo czasu spędzał poza domem. A kiedy się pojawiał, to i tak był obecny jedynie fizycznie. Mam parę zdjęć z mamą. -Chase czuł się, jakby pływał; czas był wodą, a on w nim nurkował. Usiadł na podłodze i wyciągnął nogi przed siebie, prawie zapominając, że jest nagi. - Ale czasami mam wrażenie, że te zdjęcia mają być dowodem. Dowodem, że przy mnie była. Że nie zostały zrobione dla upamiętnienia szczęśliwych chwil, tylko dla udokumentowania, że w ogóle miałem dzieciństwo. - Ścisnęło go w gardle, więc zamilkł, w zamian biorąc aparat od Ty, by pstryknąć jej kilka fotek. Jej białym piersiom; jej płaskiemu, gładkiemu brzuchowi. To było takie nierzeczywiste, jakby robił zdjęcia idealnemu posagowi w muzeum. Po trzech fotkach nachyliła się do niego i delikatnie odebrała mu aparat.

- Rozumiem, o czym mówisz - szepnęła, wznawiając pstrykanie. -Ale właśnie tworzymy nowe wspomnienia. Upamiętniamy szczęśliwe chwile. Bo chyba jest miło, prawda?

- Tak. - Chase odchrząknął i położył się na podłodze, wbijając wzrok w nakrapiany sufit. Zimne drewno chłodziło jego rozpaloną skórę. - To wszystko jest takie trudne, wiesz? Mama ma tylko mnie, ale czasami obwiniam ją o to, że jest, jak jest. Nie mogę nic na to poradzić. Myślę o swoim gównianym życiu i boję się, że nie uda mi się... go zmienić. Boję się, że nie będę nikim lepszym od mojego ojca, że się stoczę... - Było zupełnie, jakby pękła jakaś tama; słowa płynęły z jego ust wartkim strumieniem Nie mógł uwierzyć, że mówił to wszystko nagiej, niesamowicie seksownej dziewczynie. - Przepęlnia cię strach, Chase - wymruczała Ty, kucając obok mego, żeby mieć lepsze ujęcie. Już się nie uśmiechała. - Strach jest niebezpieczny.

Nagle wstała i podeszła do puszki z farbą. Kiedy się nad nią nachyliła, rozejrzał się wokół. U jego stóp leżała biała apaszka,

którą wcześniej miała związane włosy. Postanowił, że ją zabierze; później, gdy Ty zwróci mu ciuchy, upchnie apaszkę do kieszeni džinsów. On też chciał pamiętać ten dzień.

Kiedy Ty się wyprostowała, jej dłonie ociekały czerwoną farbą; po prostu zanurzyła je w puszcze. Patrzył na nią, czekając na wyjaśnienie, ale się nie doczekał. Nie mówiąc ani słowa, Ty podeszła do niego, i narysowała mu czerwoną linię w poprzek obojczyka, od jednego ramienia do drugiego.

Roześmiała się i przejechała dłonią w dół jego lewej ręki.

- Teraz pasujemy do siebie - powiedziała.

Odbijało jej, nie było co do tego wątpliwości. Ale podobało mu się to - nawet bardzo. Zupełnie spontanicznie Chase podszedł do puszek i zanurzył dłonie w zimnej, gęstej farbie. Potem obrócił Ty i rysował równoległe linie na jej plecach, z góry na dół, od karku do krzyża. Dotykanie jej było jeszcze lepsze od robienia jej zdjęć. Rozprowadzanie śliskiej farby po jej gładkiej skórze było czymś magicznym. Chase nie mógł przestać. Nie chciał przestać.

Ponownie zanurzył rękę w farbie i małym palcem narysował serduszko na jej mostku. Potem ujął jej dłoń, ciągle ociekającą tą samą czerwoną farbą, i przyciągnął ją do swojej klatki piersiowej.

Prowadząc jej kciuk, narysował serce również sobie. Patrzył w jej błyszczące zielone oczy, a ona wpatrywała się w jego. Cokolwiek Ty mu robiła, to już było pewne: należał do niej.

## Rozdział 11

Mamy Michigan! - Em klepnęła JD w ramię.

- Kto w środku zimy przyjeżdża z Michigan do Maine? Nie mają u siebie dość śniegu, czy jak?

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Nie mieliśmy dotąd Michigan. - Em wyciągnęła ze schowka notes i zanotowała. - Zostało nam już tylko 31 stanów... Matko, nie mogę się już doczekać lata, turystów i tych wszystkich obcych rejestracji.

Jechali autem JD do Dunkin Donuts. Samochód Em miał być zrobiony dopiero za parę dni i JD został jej nieoficjalnym kierowcą. Nie potrzebowali wiele czasu, by wpaść w miłą rutynę: JD czekał, aż Em się obudzi, potem esemesowali ze sobą, spotykali się na podjeździe JD i jechali prosto na kawę i kanapki. Potem załatwiali sprawy albo chodzili po centrum handlowym. Dzisiaj Em miała spotkać się około trzeciej z Chase'em - chciał, żeby napisała dla niego kolejny wiersz. Raczej nie miała innego wyboru, niż się zgodzić. Ale najpierw postanowiła zajrzeć do Staples albo jakiegoś innego sklepu, by kupić nowy notatnik. Nie mogła opowiedzieć Gabby o tym, przez co przechodziła, więc potrzebowała jakiejś namiastki najlepszej przyjaciółki; dziennika, któremu mogła się zwierzyć.

- Jakiego notatnika potrzebujesz? Małego, który zmieści się do torebki? Czy dużego, jak do szkoły?

- Jeszcze nie wiem. - Em cały czas się nad tym zastanawiała. - Mam już pamiętnik, w którym piszę przed snem. W tym dzienniku chcę zapisywać nie tylko swoje przemyślenia, ale również pomysły i wiersze. Rozumiesz? Wiem tylko, że nie może być za słodki i za ładny... nie użyłabym go.

- Jak mój kapelusz? - Dzisiaj JD miał na głowie rdzawopomarańczowy kapelusz, obwieszony niebieską wstążką. - Jest aż za ładny, co? - Wyszczrzył się w uśmiechu.

- Tak... Jak twój kapelusz. Wyglądasz w nim jak zwariowany alfons albo bohater kiepskiego filmu kryminalnego. - Śmiała się, kiedy wjechali na parking. - Jak dobrze, że już tu jesteśmy. Muszę napić się kawy, jeśli mam wytrzymać cały dzień z tobą i twoim kapeluszem.

Wzmocnieni kawą (z dużą ilością mleka i cukrem dla JD, odrobiną śmietanki i bez cukru dla Em) i croissantami z jajkiem i serem, pojechali do Staples, znajdującego się w centrum handlowym w sąsiednim miasteczku. Na autostradzie Em patrzyła za okno, udając, że nadal wypatruje tablic rejestracyjnych, ale głównie myślała o Zachu. Celowo wyciszyła telefon, żeby nie nasłuchiwać cały czas, czy Zach nie dzwoni.

Nie mogła przestać myśleć o wczorajszym popołudniu. Poprosiła JD, żeby podrzucił ją do Zacha, twierdząc, że pomaga mu w matmie - pod koniec stycznia miał być ważny test. Było to całkiem wiarygodne. Ona i Zach chodzili razem na matkę, poza tym ona była lepsza od niego. Tak naprawdę Zach zaprosił ją do siebie na film, ale kiedy się zjawiała, jeździł pługiem śnieżnym po podwórku za domem, robiąc ósemki i krzycząc, żeby wskakiwała. No i wskoczyła, obejmując go w pasie, jak na motocyklu, chichocząc i chowając nos w jego szaliku, bo było okropnie zimno. - Jesteś świetnym drugim pilotem! - zawołał, przekrzykując warkot silnika. Ścisnęła go mocniej. W domu rozebrali się do koszulek, skarpetek i bielizny, przepoceni w jednych miejscach, przemarznięci w innych, a potem padli na łóżko i włączyli film z wypożyczalni internetowej. Zapowiedzi nie oglądali. Całowali się, śmiali i tarzali na jego dużym łóżku, w jego czystej pościeli. Całe jego otoczenie było takie... męskie. Jednokolorowa pościel; proste, nieliczne meble. Na półce stały podręczniki do SAT i książki z kursu politologicznego, który zaliczył w ubiegłe lato na lokalnym uniwerku. Nie próbował już dobierać się do jej majtek - czekali z tym, aż będą mogli powiedzieć Gabby, a na razie Em całkowicie wystarczało całowanie Zacha (całowali się na różne sposoby, długo i namiętnie, delikatnie i czule), dotykanie jego wspaniałego brzucha i ramion, bycie pod nim, a potem na nim, kiedy jej włosy tworzyły jaskinię wokół ich twarzy. To było takie prawdziwe. I tak inne od jej wcześniejszych doświadczeń - obmacywanek po pijaku na imprezie albo w samochodzie, gdy w biodro wbijał się drążek zmiany biegów. Prawda była taka, że Em nigdy wcześniej nie była zakochana. I oprócz tego, że darzyła Zacha uczuciem, zawsze zazdrościła Gabby i Zachowi ich związku - tego bycia razem, tego, że budzisz się rano i wiesz, że kiedy pójdziesz do szkoły, będziecie trzymać się za ręce między lekcjami. To właśnie o tym mówili jej rodzice - o tej pewności. Pierwszy raz w życiu pomyślała, że jest pewna, kiedy wczoraj Zach zasnął. Tak po prostu, z głową na jej ramieniu, po tym

jak się godzinami całowali. Głaskała go po włosach, wpatrując się w sufit, gdy na laptopie w nogach łóżka leciały napisy końcowe filmu. To właśnie było prawdziwe bycie z kimś. Tak by to wyglądało, gdyby ona i Zach dzielili ze sobą łóżko, pokój, życie. Uświadomienie sobie tego ją oszołomiło. A gdyby tak się pobrali? Mogła to sobie wyobrazić. To była miłość.

- Em, słyszysz mnie? Przysięgam, przed chwilą minęła nas Georgia.

- Eee, sorry, nie widziałam. - Em zmieniła pozycję, przykręcając nieco ogrzewanie. Spojrzała na JD, studiując jego twarz. Baczki, które zaczął nosić w pierwszej klasie. Nos, złamany w wyniku upadku z najwyższego drzewa na jej podwórku lata temu.

- No to ci mówię, Bujająca w Obłokach.

Nie mogąc się powstrzymać, Em sięgnęła po telefon. I całe szczęście, że to zrobiła. Jej żołądek zrobił fikołka z radości, kiedy zobaczyła wiadomość od Zacha:

„Obejrzymy znów film?”

Żałowała, że nie mogła natychmiast teleportować się do jego domu.

- Wiesz co? Jeśli nie znajdę tu notatnika, wracamy do domu -powiedziała głośno. - Chyba znów będę musiała wpaść do Zacha. - Znowu korki z matmy?

- Owszem. Ten test to nie żarty - odparła obronnie.

- Ostatnio Zach wydaje się strasznie zaabsorbowany tą matmą - stwierdził JD, zatrzymując się na parkingu. Spojrzał na nią. - I ty też. Co jest grane? Marzyłaś o tym, by spędzić połowę ferii na powtarzaniu równań kwadratowych? Z Żakiem McCordem?

- To trzecia klasa. Wszystkie stopnie się liczą. Nie wszyscy możemy być geniuszami - rzuciła, siląc się na lekki ton. Już miała wysiąść, gdy JD zatrzymał ją, dotykając jej ramienia.

- Em... Lepiej uważaj. To zaczyna dziwnie wyglądać.

- Dziwnie? - Em zmusiła się do śmiechu. - Daj spokój, JD. Wyluzuj. On ledwo rozumie kolejność wykonywania działań.

- Jestem wyluzowany, jestem bardzo wyluzowany, tylko... -Ściągnął brwi. - Mam wrażenie, że... coś się z tobą dzieje. - Nic się ze mną nie dzieje. Idziemy. - Em chwyciła swoją torbę z podłogi, czując na sobie palące spojrzenie JD. Sięgnęła dłonią do klamki, a on nawet nie drgnął.

- Mogę powiedzieć coś jeszcze? - wyrzucił z siebie, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Uważam, że to dziwne, że spędzasz połowę ferii, zajmując się chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki, podczas gdy ona jest za oceanem.

Oblało ją gorąco. Wpatrywała się w JD szeroko otwartymi oczami. Było to wyraźne oskarżenie.

- O czym ty mówisz? - Starła się zachować spokój, mimo narastającej paniki.

- Pamiętasz, jak ulotniłaś się w Wigilię? To było dziwne. W ogóle do ciebie niepodobne, Em.

- Przestań, JD. Jesteś śmieszny... - Ale ledwo to powiedziała, obraz zrobił się zamazany, a chwilę później z jej oczu popłynęły gorące łzy. Opadła ciężko na siedzenie, przytłoczona tym wszystkim, co czuła przez ostatnie dni. Torbę postawiła między nogami.

JD odchrząknął i uchylił nieco zaparowaną szybę.

- Em?

Przez chwilę nie była w stanie nic wydusić. A potem postanowiła mu powiedzieć.

- Masz rację - wyrzuciła z siebie. - Masz rację, okej? Sytuacja jest dziwna. Spędzam tyle czasu z Żakiem, bo... coś jest między nami. My... zakochaliśmy się w sobie. Wtedy, w Wigilię, gdy pojechałam do niego, stało się coś... Mniejsza z tym, nie sędzę, byś chciał tego słuchać. Ale tak. Coś się między nami dzieje. - Em nie wiedziała, czy się bronić, czy przeproszać, czy jeszcze coś innego.

Zaczekała chwilę, ale JD milczał. Potarła dłońmi uda. - To nie stało się nagle. Narastało od dawna - ciągnęła. -1 jest prawdziwe. Teraz czekamy na powrót Gabby, by jej o tym powiedzieć. Ciężka sprawa, wiem, że tak się nie robi, ale nie możemy zaprzeczać temu, co nas łączy. To po prostu niemożliwe. Nadal milczał. Był w szoku? Em jeszcze nigdy go takiego nie widziała; jego twarz poszarzała z gniewu.

- Mówisz poważnie - odezwał się w końcu; było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak.

JD wpatrywał się przed siebie. Dłonie trzymał na kolanach.

- Wiedziałaś? Czy kiedy jechałaś wtedy do niego, wiedziałaś, co się stanie?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Em ciągle to sobie powtarzała. - On wiedział,

- Co masz na myśli? - Roztrzęsiona, pomyślała przez chwilę, że Zach mógł o tym rozmawiać z JD. - Skąd wiesz?

- Bo on taki jest, Em. Naprawdę myślisz, że zaprosiłby cię do siebie w Wigilię, gdyby nie sądził, że będzie coś z tego miał? - JD mrugał oczami jak szalony. Czy tak będzie, kiedy powiedzą Gabby?

- To nie tak, JD. Wiem, że to wszystko jest strasznie poplątane, ale myślę, że jesteśmy sobie pisani. Tak czuję. Wyjaśnimy to Gabby. - Ja nie - burknął JD. Em się wzdrygnęła.

- Co ty nie? - Starła się zachować spokój.

- Nie uważam, żebyście byli sobie pisani. - JD zrobił w powietrzu znak cudzysłowu, wyraźnie ją przedrzeźniając. Poczowała gniew.

- Okej. Wiesz co? Nie obchodzi mnie, co myślisz. Nic nie rozumiesz. Ale nie spodziewałam się, że będzie inaczej. - Masz rację. Nie rozumiem. Zach wykorzystuje ludzi, Em. Nie widzisz tego? I serio? Wyjaśnicie to Gabby? Sama mówiłaś, że Zach jest jej całym światem. Naprawdę myślisz, że ona zrozumie? Jej gniew zamienił się w niepokój. Potężny niepokój. A jeśli JD miał rację? Co ona najlepszego zrobiła? Już otwierała usta, żeby zacząć się bronić, ale JD uniósł rękę, uciszając ją.

- Dość. Nie chcę nic więcej słyszeć. - Odpalił samochód i zaczął cofać. Najwyraźniej zdecydował, że misja zakupy została zakończona.

- Och, czyli masz dość rozmowy? - Em opuściła rękę na deskę rozdzielczą z większą siłą, niż zamierzała. - Zawsze to robisz.

- Co zawsze robię, Em? - JD gwałtownie wcisnął hamulec i spojrzał na nią gniewnie.

- Zachowujesz się jak arogant. Podejmujesz jakąś decyzję i już. Postanawiasz, że wracamy, co znaczy, że skończyliśmy



rozmowę. Możesz sobie wrócić do domu i boczyć się na mnie, nawet nie próbując zrozumieć sytuacji.

- Okej - powiedział JD, gwałtownym zrywem wracając z powrotem na miejsce parkingowe. - Chcesz iść kupić dziennik, idź i kup. Może twój dziennik nie będzie mieć własnego zdania. - Wskazał ręką na drzwi. - Idź.

- Co to znaczy? O czym ty mówisz? - Była tak wściekła, że ledwo widziała. Mało tego. Czuła się, jakby JD przyłożył jej pięścią w brzuch.

- Mam prawo do własnego zdania, Em. Krzywdzisz ludzi. - Niespodziewanie nieco załamał mu się głos. - Zachowujesz się jak rozpuszczone dziecko. I to z powodu kogoś, kto nawet nie jest tego wart. W najmniejszym stopniu.

- Zamknij się. Po prostu się zamknij. - Em wbiła się w swoje siedzenie, postanawiając, że nie pokaże po sobie, jak bardzo zraniły ją jego słowa. - Zawieź mnie do domu.

- A może wolisz, żebym zawiózł cię do Zacha? I tak się tam wybierasz.

- Okej. Czemu nie?

W aucie zapadła przytłaczająca cisza. JD ściągnął pomarańczowy kapelusz i cisnął go na tylne siedzenie. Em obserwowała kątem oka, jak nerwowo przeczesywał dłońmi włosy.

Przed domem Zacha - wierzyć się nie chciało, że JD naprawdę ją tu przywiózł - wzięła głęboki oddech i jeszcze raz na niego spojrzała. Wpatrywał się przed siebie jak manekin. Bez słowa wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Przez chwilę mogła jedynie stać nieruchomo, ciężko oddychając.

Dopiero kiedy samochód JD zniknął, otrząsnęła się i ruszyła do frontowych drzwi.

- Hej - powiedział Zach, przygarniając ją do siebie, ledwie weszła. Jego koszula ślicznie pachniała i Em szybko ukryła się w jego ramionach. Przytulał ją mocno, a ona czuła znajome ciepło w dole brzucha. Chciała unieść głowę i go pocałować, ale w uszach dzwoniły jej słowa JD: „Zach jest dupkiem. Jesteś samolubna. Gabby, Gabby, Gabby”. To nie było fair.

- Zach, denerwuję się - wymamrotała z ustami przyciśniętymi do jego miękkiej koszuli.  
- Denerwujesz się? - Odsunął ją na długość ramion. Drzwi ciągle były otwarte. - Czym? Zaczepnęła tchu.  
- Tym - sapnęła, machając dłonią między nimi. - Nami. Tym, że jeszcze nic nie powiedziałaś Gabby. Ani ja.  
- Em, po prostu nie było okazji. Zadzwoiła do mnie dzień po świętach. Ledwo zdążyłem się przywitać, ona musiała już lecieć. Co mam zrobić, wypalić coś takiego i zaraz się pożegnać? Właściwie to my nawet nie rozmawialiśmy; po prostu zdawała mi relację z pokoju hotelowego.  
- No tak, ale musimy coś powiedzieć. Może... może ja powinnam coś powiedzieć. Jego oczy pociemniały.  
- Myślałem, że już ustaliliśmy, że ja to załatwię - przypomniał jej ostro.  
- Ale muszę mieć pewność, że to zrobisz. Muszę mieć pewność, że rozegramy to właściwie.  
- Em, oczywiście, że to zrobię. Obiecuję. - Jego głos znów był łagodny. - Ale uważam, że trzeba z tym poczekać do jej powrotu. Żebyśmy mogli porozmawiać osobiście. - Dotknął jej brody, a Em zadrżała. Zamknął drzwi. - Będzie dobrze.  
- Okej.  
Nachylił się i ją pocałował, przytrzymując ręką jej kark, a potem się odsunął.  
- Wiesz, podoba mi się w tobie, że widzisz szerszą perspektywę. - Zmrużył oczy. - Wejdiesz? Em się uśmiechnęła.  
- Tak, ale na trzecią muszę być w domu, bo się umówiłam z Ch... bo się z kimś umówiłam. - Nie chciała mu mówić o swojej umowie z Chase'em. Dziwnie się z tym czuła.  
Zach obdarzył ją uśmiechem: rozchmurz się, mała, po czym cmoknął ją w czoło i pociągnął za rękę do pokoju telewizyjnego.  
Miał rację - powinni poczekać na powrót Gabby. O takich rzeczach lepiej rozmawiać osobiście. Zwłaszcza że chodzi tu o Gabby,

na której im obojgu bardzo zależało. Czyli jednak o tym myślał. Chrzanić JD i jego protekcyjnalne gadki. Wiedziała, co robić.

- Sorry za bałagan - powiedział Zach, opadając na kanapę, przed którą stało kilka kartonów. Na podłodze leżały także stosy książek, ciuchów i ramek ze zdjęciami.

- Co to za rzeczy? - Em przyklękła przy stercie obitych materiałem książek. Uwielbiała stare książki: ich zakurzony zapach, grube kartki, zapiski na marginesach, dedykacje.

- A takie tam starocie, które przeglądam - wyjaśnił Zach.

- Masz tu prawdziwe skarby, Zach. - Em znalazła stos magazynów „Life”, o kruchych, delikatnych stronach, z dużymi, czarno-białymi zdjęciami.

- Niezłe, co? Należały do... mojego taty - dokończył cicho.

- Łau. - Em nie wiedziała, co powiedzieć. Przypomniały jej się słowa Claire Lewin, które usłyszała przypadkiem w szatni. Claire była osobą towarzyszącą Zacha, kiedy jego mama powtórnie wychodziła za mąż - bardzo szybko, niecały rok po śmierci pana McCorda. Claire mówiła, że na weselu była dziwna i jakaś taka niezręczna atmosfera.

- Pasjonowała go fotografia prasowa. Na dole jest jeszcze mnóstwo jego książek i magazynów. I ciuchów... Ojczym chce to wszystko uprzątnąć, żeby wyremontować piwnicę i wstawić tam stół bilardowy. No więc przeglądam, co zatrzymać, a co wyrzucić.

Em skinęła głową, w dalszym ciągu nic nie mówiąc.

- Trochę mi ciężko. - Natychmiast odchrząknął i dodał: - Ale będzie fajnie mieć tam stół bilardowy.

Uwielbiam bilard. - No to fajnie - podsumowała Em.

- Muszę cię kiedyś nauczyć grać. - Uśmiechnął się, a potem, nie patrząc na nią, sięgnął po granatowy dziergany sweter. Uniósł go przed sobą.

- Mam nadzieję, że go zatrzymasz - powiedziała. - Byłoby ci w nim do twarzy.

Zamrugał i spojrzął w dół, składając sweter na swoich kolanach. Em czuła, że wyobrażał sobie siebie w starym swetrze swojego ojca. Cholera.

- Nieważne - powiedziała. - Wiesz, co powinniśmy zrobić? Pojechać na zakupy swetrowe. Kupimy ci coś nowego! Jutro. Możemy pojechać do starego centrum albo wybrać się na mini-wycieczkę do Portland. Będzie super!

- Okej - mruknął Zach, odkładając sweter na bok i uśmiechając się do niej. Usiadła obok niego na kanapie, a on zanurzył dłoń w jej włosach. - Uwielbiam twoje włosy. Są takie miękkie i jedwabiste. Mógłbym dotykać ich przez cały dzień.

Em zaczerwieniła się, porównując w myślach swoje proste jak druty włosy ze sprężystymi lokami Gabby. Zawsze jej ich zazdrościła. Raz, jeszcze w gimnazjum, Gabby zaproponowała, że zakręci jej włosy na imprezę. Efekt był przerażający: ciemny baran na głowie, z którym Em wyglądała jak jakaś postać z kreskówki. „No trudno - powiedziała Gabby, odkręcając wodę. - Nawet nie wiesz, jak marzą mi się proste włosy”. A, potem czekała, tańcząc i poprawiając makijaż, aż Em zmyje sprężynki i lakier. Ale Zachowi wyraźnie podobały się jej proste włosy z przedziałkiem pośrodku. Jego komplement cudownie jej wszystko wynagrodził. Praktycznie wskoczyła na niego, przygważdżając do kanapy, i mocno pocałowała. Oddał jej pocałunek z równą żarliwością.

Dlatego poczuła się okropnie, kiedy pięć minut później usłyszała przypisany do Gabby dzwonek telefonu. Wesoła melodia była nieco przytłumiona - jej telefon zawieruszył się gdzieś pod poduszkami.

- Cholera, muszę odebrać - stęknęła, wyswobadzając się z objęć Zacha.

- No nie, co może być ważniejsze od tego? - Złapał ją za rękę, ciągle ciężko oddychając.

- Zach, to Gabby. Puść mnie. - Znalazła telefon i odebrała, dosłownie w ostatniej chwili. Dała Zachowi znak ręką, żeby był cicho. Gabby by ją zabiła, gdyby nie odebrała. Pewnie już samo wybranie numeru kosztowało fortunę.

- Będę cicho jak myszka - szepnął Zach, zbyt głośno. Em pacnęła go w ramię.

- Cześć, Gabs - powiedziała pogodnie.

- Jak tam? Co porabiasz? - Głos Gabby był taki odległy.
  - Nic takiego, siedzę w domu i oglądam telewizję. Straszny ziąb na dworze.
  - Co oglądasz? Ja nie kumam kompletnie nic z tego, co leci tutaj w telewizji. Żałuję, że nie uczyłam się hiszpańskiego zamiast francuskiego.
  - Tak tylko skaczę po kanałach. - W pokoju było cholernie gorąco, a do tego Zach stale ją szturchał i łaskotał, tylko pogarszając sprawę. Paliły ją uszy. Wstała i odeszła kawałek, by znaleźć się poza jego zasięgiem. - Za niecały tydzień będę w domu! Dokładnie za sześć dni!
  - Super, Gabs.
  - Wszystko gra? Masz jakiś dziwny głos.
  - Czuję się trochę dziwnie. Chyba coś mi zaszkodziło - rzuciła Em.
  - Biedna Emmy. Zadzwoń do JD, niech ci przyniesie piwo imbirowe albo coś - poradziła, po czym krzyknęła do kogoś w tle: - Okej, okej, już idę! - Westchnęła głośno i wyjaśniła: -Musimy iść do muzeum. Nie mogę się już doczekać, kiedy cię zobaczę! Pozdrów Zacha ode mnie... Nie rozmawiałam z nim już całe dwa dni!
  - Mamy jakieś zakłócenia. Ledwo cię słyszę, Gabs. Baw się dobrze w muzeum.
  - Okej, milion buziaczków!
  - Dla ciebie też. - Em się rozłączyła. Telefon ciążył jej niczym kamień i nie wiadomo czemu, zrobiło się jej potwornie zimno. Zach podszedł do niej, by ją objąć, ale się odsunęła.
  - Zach, to była Gabby. Musimy uważać. Przecież mogła cię usłyszeć! Zdajesz sobie sprawę, jaki to byłby dla niej wstrząs, gdyby się skapowała, co robiliśmy?
- Przeczesał dłonią jasnobrązowe włosy, które natychmiast wróciły na swoje miejsce.
- Tak, tak. Rozmawialiśmy już o tym. Nie ma potrzeby, by Gabby o nas wiedziała.
  - Tak, ale... - Em przygryzła wargę, próbując się uspokoić. -Na razie, chciałeś powiedzieć. Na razie nie ma potrzeby, żeby

Ona nas wiedziała, ale porozmawiasz z nią, kiedy wróci, tak? Nie chcę cię tym zadreć, ale to dla mnie bardzo ważne. Ona nie zasługuje na to, żeby ją oszukiwać.

Zach zabrał się do ładowania swetrów do dużego worka na śmieci.

- Zrozumiałem - burknął.

O, nie. Nie było dobrze. Nie chciała, żeby był zły.

- Okej. - Em westchnęła. - Dobrze. Ale muszę wiedzieć... powinniśmy ustalić, kiedy to zrobisz.

Słuchaj, zdawało mi się, że mówiłeś, że ostatni raz rozmawiałeś z Gabby dzień po świętach? - ciągnęła, siląc się na swobodny ton, żeby nie miał wrażenia, że to przesłuchanie.

- Albo dwa dni po - odparł Zach. - Nie pamiętam. Zresztą ta rozmowa trwała może z minutę. -

Rozejrzył się po pokoju. - Zawiozę część tych rzeczy do sklepu Goodwill. Podrzucić cię do domu?

Em westchnęła i chwyciła worek. W holu wziął go od niej

1 postawił oba worki na podłodze, po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował. Przywarła do niego, rozkoszując się jego ciepłem i zapachem.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie martw się tyle - szepnął. A potem wziął oba worki i ruszył do wyjścia. Em poszła za nim.

Kiedy zajechali pod jej dom, Chase już na nią czekał. Siedział przygarbiony na schodach i wyglądał, jakby śnił na jawie. Regularnie zaciskał i otwierał gołe dłonie. Była ciekawa, od jak dawna tu siedział.

- Co Singer tutaj robi? - zapytał Zach.

- Pomagam mu z referatem - wytłumaczyła Em. Nie była to odpowiednia chwila, by wprowadzać go w historię Chase'a i tajemniczej dziewczyny.

- Okej, leczę. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Dzięki za miłe popołudnie.

- To do jutra? - zagadnęła, otwierając drzwi.

- Jasne - rzucił Zach z uśmiechem.

Czasami Zach sprawiał wrażenie, jakby wszystko równo olewał. Jakby nie zdawał sobie sprawy z powagi ich sytuacji. Oboje z Chase'em patrzyli za odjeżdżającym Żakiem.

- Chodź - powiedziała Em. - Nie dokończyłam jeszcze wiersza. Zaraz to zrobię.

Bez słowa Chase wszedł za nią do domu. Powiesił swoją kurtkę obok jej, rozsznurował buty i postawił je obok ławki w holu.

- Pełno soli na ulicach - bąknął. - Nie chciałem ci nanosić. Em jeszcze nigdy nie widziała Chase'a tak bladego. Ani tak grzecznego. Usiadł niepewnie na stołku w kuchni, sprawiając wrażenie, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. Miał na sobie pogniecioną bluzę, wystrzępioną pod szyją i poplamioną na rękawach, i džinsy z dziurą na kolanie. Czyżby gogusiowaty Chase Singer postanowił zmienić styl? Niebawem. Ale nie tylko jego ciuchy zwróciły jej uwagę. Miał podkrążone oczy i wyglądał na wyczerpanego, jakby nie spał od wielu dni. Był zupełnie inny niż zwykle; zero zuchwałości, zero cwaniackich tekstów.

- Napijesz się gorącej czekolady? Mogę zrobić - zaproponował Chase.

- Gorącej czekolady? Pewnie. Z przyjemnością. - Chase Singer, sam z siebie, postanowił zrobić coś miłego? Ten dzień chyba nie mógłby już być dziwniejszy. - Dzięki.

Kiedy otworzyła laptop, nagromadzone w niej emocje uwolniły się, płynąc wartkim strumieniem prosto na ekran komputera. Pisała o swoich uczuciach wobec Zacha, o swoich rozterkach, o niepewności i całym tym chaosie. Pisała szybko, bębniąc w klawiaturę, podczas gdy Chase stał przy kuchence.

Pisała jak natchniona, pamiętając jedynie, by nie używać imion ani niczego podobnego, żeby wiersz nadawał się do wykorzystania przez Chase'a. Ale ten wiersz był o niej. I jej uczuciach. Był prawdziwy. I mocny. I czuła, że to dobry wiersz, może nawet lepszy od poprzedniego. Postanowiła zatytułować go *Nie do zatrzymania*.

- Czasami boję się, że Ty może w każdej chwili zniknąć. - Chase czytał jej przez ramię, trzymając w ręce kubek, z którego unosił się przepyszny zapach.

- Kto to... och. Ty? - Em nie chciała go wypytywać. Jak będzie chciał, to jej powie. Wiedziała, jak to jest mieć sercowe tajemnice i niespecjalnie chcieć się nimi dzielić, żeby wszystko jeszcze bardziej się nie zagmatwało.

- Tak... Ty. Bardzo podobał się jej tamten wiersz. Dzięki. -Chase mechanicznie mieszał kakao, kiedy Em wydrukowała swój nowy wiersz i przyniosła go z gabinetu ojca. Patrzyła, jak Chase wyciągnął z plecaka książki i włożył wydruk między kartki jednej z nich. - Nie chcę zgubić - wyjaśnił zmieszany. - Naprawdę ci na niej zależy, co? - wyrzuciła z siebie Em. Chase spał się na chwilę i spodziewała się, że zaraz padnie

typowa dla niego buńczuczna odpowiedź, ale tylko wzruszył ramionami.

- Dzięki, Winters. Mam umyć kubki? Machnęła ręką.

- Jestem mistrzynią w ładowaniu zmywarki - powiedziała. Chase uśmiechnął się i zasalutował.

Odprowadziła go do

wyjścia i zamknęła za nim drzwi.

Potem wróciła do kuchni, usiadła i wzięła głęboki oddech. Zrobiła parę skrętów głową, rozciągając szyję. I właśnie wtedy zobaczyła na blacie playbook Chase'a. Ze wszystkich niespodzianek, jakie zafundował jej dzisiaj Chase, ta była największa. Nie mogła uwierzyć, że zapomniał swojej biblii futbolisty. Popędziła do drzwi i otworzyła je na oścież. Ale jego już nie było; podwórko było puste i ciemne. Już miała zamknąć drzwi, kiedy usłyszała dźwięczny kobiecy śmiech. Był cichy, ale dobiegał z niedaleka. Wyciągnęła szyję, próbując zlokalizować jego źródło. Ale śmiech ustał. Jedyne, co zobaczyła, to krążące w górze wrony, czarne i złowieszcze. Szybko zamknęła drzwi.

Na kolację był kurczak z pieczonymi pomidorami, w towarzystwie jej rodziców, którzy praktycznie cały czas dyskutowali - nie biorąc zbytnio pod uwagę zdania Em - o tym, czemu w przyszłym roku powinna chodzić na biologię, a nie zoologię. Po kolacji Em postanowiła pójść na spacer.



- Muszę się przewietrzyć - powiedziała mamie, która ładowała zmywarę, nucąc pod nosem. Miała o czym myśleć. Zach i Gabby. Jej kłótnia z JD. Dziwne zachowanie Chase'a. Szła ulicą, obejmując się ramionami, z czapką naciągniętą na uszy. Wieczór był cichy i jej kroki odbijały się echem. Myślała o pługu śnieżnym Zacha, lokówce Gabby i playbooku Chase'a... Zanim się zorientowała, dotarła do małego placu zabaw na końcu ulicy. Były tam zjeżdżalnia, huśtawki i drewniana równoważnia. Otworzyła skrzypiącą furtkę i weszła na plac, wspominając, jak dawno temu bawili się tu z JD. Wierzyć się nie chciało, że kiedyś uważała to miejsce za ogromne i ekscytujące.

Usiadła na huśtawce; jej łańcuchy nadal skrzypiały przy każdym ruchu. Przynajmniej pewne rzeczy były niezmiennie. Odpychała się nogami, licząc, że mroźne powietrze, które ją omiatało, pomoże jej ostudzić głowę, a samo bujanie wytrzęsie z niej dręczące myśli.

Czy tym właśnie była miłość? Jednym wielkim zagmatwaniem i niepokojem? Czemu nie mogło być tak jak dawniej, kiedy największym problemem było, kto będzie zjeżdżał pierwszy. Westchnęła i spojrzała w niebo, chowając zmarznięte dłonie do kieszeni.

Jej dłoń trafiła na złożoną kartkę. Wyjęła ją i zobaczyła na niej swoje imię, wypisane ręcznie, pismem, którego nie kojarzyła. Rozłożyła kartkę. Odczytała wiadomość i aż wstrzymała oddech.

„Czasem przepraszam to za mało”.

Natychmiast zeskoczyła z huśtawki i zaczęła rozglądać się po ciemnym placu zabaw. Miała wrażenie, że coś mignęło jej za równoważnią.

Nie czekając ani sekundy dłużej, rzuciła się do furtki; była totalnie roztrzęsiona. Od jak dawna nosiła tę kartkę w kieszeni? Kto ją tam podrzucił? „Czasami przepraszam to za mało”. Słowa te rozbrzmiewały w jej głowie.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją obserwował, cały czas podążał za nią. Serce waliło jej jak szalone, kiedy pędziła co

sił w nogach do domu, wiedząc, że nawet tam nie będzie czuła się bezpieczna.

„Czasami przepraszam to za mało”. Co znaczył ten liścik? Nie wiedziała. Ale wiedziała, czy może bardziej czuła, że mówił prawdę.

## Rozdział 12

Piłka była już w grze, kiedy w piątkowe popołudnie Chase dotarł nad Staw Galvina. Co roku, podczas ferii zimowych, chłopcy zbierali się nad stawem i ustawiali należący do Zacha przenośny zestaw do kosza. Zakładając, że lód był wystarczająco gruby, częściowo ślizgając się, częściowo biegając, rozgrywali pokraczne, szalone mecze. Wychodzili z tych meczów posiniaczeni, ale było warto. Dzięki nim zima w Ascension nie była aż taka nudna.

Staw znajdował się z dala od drogi, za zasłoną drzew, na terenie rezerwatu przyrody. W pobliżu, również na terenie rezerwatu, był najstarszy cmentarz w Ascension; jeden z tych historycznych reliktyw, składających się z garstki kruszących się kamieni. W każde Halloween można było przejechać się tędy wozem konnym, podczas gdy z wody wynurzały się potwory bagienne, a zza drzew wyskakiwały żywe trupy. Chase lubił te przejażdżki - dziewczyny chętnie się wtedy przytulały, pozornie przerażone. W ostatnie święto duchów Kelly Van Doran szepnęła mu do ucha „Jesteś taki odważny”, kiedy podskakiwali razem na kamienistej drodze. Latem staw zamieniał się w kąpielisko, zatłoczone przez nastolatków, zbyt leniwych, by pojechać na plażę i tam korzystać z ciepłej, słonecznej pogody, która była w Maine rarytasem.

Ale nie wszystkie wspomnienia Chase'a związane z tym miejscem były takie beztrioskie. Razem z Żakiem przyszli tu po pogrzebie jego ojca, kiedy reszta żałobników jeszcze uczestniczyła w stypie. Zach, w domu spokojny i opanowany, płakał i z gnie-

wem ciskał kamienie w wodę. Chase siedział w milczeniu, myśląc o tym, jak bardzo różnili się od siebie ich ojcowie. Prawie zazdrościł koledze jego bólu, tego, że mógł opłakiwać prawdziwego ojca i mentora. W końcu wyciągnął zza pazuchy flaszkę burbona. Podał ją Zachowi, który napił się z wdzięcznością. „Dzięki - powiedział. - Ty wiesz, jak to jest”. Potem poszli do samochodu Zacha po piłkę i kij do wiffle bali<sup>6</sup>. Chase rzucał łatwe podania, by Zach miał satysfakcję, widząc po każdym swoim odbiciu, jak piłka tnie powietrze, lecąc prawie do drzew.

Dzisiaj nad stawem były pustki. Kiedy Chase wjechał na parking, stały na nim tylko trzy auta, wszystkie z naklejką „Ascension”.

W tym roku zima zaczęła się wcześniej i była ostra, więc nikt nie miał wątpliwości, że staw skula gruba warstwa lodu. Brnąc przez śnieg w stronę „boiska”, Chase słyszał pokrzykiwania i śmiech chłopaków, widział ich wygłupy na lodzie i w śniegu. Roztarł dłonie i mocniej naciągnął czapkę na głowę. Nie zapowiadali na dzisiaj opadów śniegu, ale było wyjątkowo wietrznie. Co chwila musiał wycierać nos, z którego ciekło jak z zepsutego kranu.

Niespecjalnie chciało mu się tu dzisiaj przyjść. Od czasu tamtej sesji malarsko-zdjęciowej stale myślał o Ty: jedyne, czego pragnął, to znów się z nią zobaczyć. Ale zadzwonił Zach, by przypomnieć mu o meczu, i Chase poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Ostatnio w ogóle nie poświęcał czasu znajomym.

- Singer. Co za niespodzianka! - zawołał z lodu Barton. - Myślałem, że będziesz zbyt zajęty zebraniem. Super. Znowu do tego wracali. Chase prawie już zapomniał o tamtej akcji sprzed paru dni.

- Stajesz się nudny. Myślałem, że miałeś dość czasu, by wymyślić jakąś nową zniewagę - rzucił przez ramię, przybijając piątkę z Żakiem w ramach powitania.

Przebiegł w tę i z powrotem, rozgrzewając się przed grą.

---

<sup>6</sup>wiffle bali - gra sportowa, wariacja klasycznego bejsbolu; wykorzystuje się w niej lekką plastikową piłkę i długi kij, z tego samego tworzywa; ogólne zasady różnią się tylko nieznacznie.

Zach wyrwał Bartonowi piłkę i posłał ją do kosza.

- Bingo. - Zach odtańczył krótki taniec zwycięstwa. - Ma się tego cela. - Chase musiał przyznać, że rzeczywiście był to ładny strzał.

- Ej, myśliwy! - krzyknął Carl Feder, puszczając oczko. - A którą z nich zabierzesz na imprezę? Będziesz w ogóle w stanie między nimi wybrać?

- Nie twoje zmartwienie, Feder. Okej, gramy. Ja, Wagner, ty i Nick - mówił Zach, wskazując graczy palcem - kontra Chase, Brian, Barton i Will. Może być?

Barton prychnął pod nosem, ale nic nie powiedział. Reszta pokiwała głowami i ustawiła się na pozycjach.

Ale nim się rozdzielili, Chase usłyszał, jak Sean powiedział do Zacha:

- Wiesz, że nawet nie pozwoliła, żebym ściągnął jej spodnie nie?

Czyli rozmawiali o Em. Chase pamiętał, jak któregoś razu, na treningu, Sean przechwalał się, że zaliczył macanko z Winters. Po kolejnym spotkaniu nie był już taki skory do przechwałek. Zaprosił ją do siebie do piwnicy na oglądanie starych odcinków *Saturday Night Live*, licząc, że zrobi mu laskę, ale udało mu się dotrzeć zaledwie do drugiej bazy.

- Może brak ci moich zdolności - odparł Zach, szczerząc się w uśmiechu. - Te same zasady co w zeszłym roku?

Chase przypomniał sobie, jak nakrył Em i Zacha razem. Em była taka skrepowana, gdy zasłaniając się poduszką, nerwowo szukała swojego stanika. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby wiedziała, że rozmawiali o niej w taki sposób.

- Zach chce przelecieć Emily Winters - rzucił szeptem Barton, przekonany, że zdradza Chase'owi wielką tajemnicę. Chase skinął głową i odwrócił wzrok. Nie chciał rozmawiać o Em i Zachu. Czuł, że to nie w porządku. Chamskie wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Zach ani niczego nie potwierdzał, ani niczemu nie zaprzeczał. Ale gdy się zaśmiał, tym pewnym siebie śmiechem, Chase'owi zrobiło się jeszcze zimniej niż dotąd.

Wrócił myślami do dnia, kiedy Zach powiedział mu, że zaproponuje Gabby chodzenie. Było to na początku zeszłego lata. Przez całą pierwszą i drugą klasę McCord zmieniał dziewczyny jak rękawiczki; spotykał się nawet z superseksowną studentką Uniwersytetu Maine, którą poznał na żaglach. Ale nie chciał, by przyłgnęła do niego etykieta podrywacza. Tak więc w zeszłe wakacje, nazajutrz po tym jak pojechali całą paczką na plażę i Zach i Gabby flirtowali ze sobą przez całe popołudnie, Zach wyjawiał Chase'owi swój zamiar. Postanowił poprosić Gabby o chodzenie. Uważał to za znakomity pomysł. Seksowna dziewczyna. Z tego, co słyszał, nie była świętoszką - twierdził tak Ryan Chandler, który zabrał ją na bal maturalny, a więc chyba wiedział, co mówi. Dużo się uśmiechała. Rodzice będą zachwyceni. Poza tym dobrze się razem bawili. Urocza i inteligentna. Dużo się śmiała. Ona i Em zawsze były pierwsze do tego, by zakraść się na teren pola golfowego i tam raczyć rumem z colą. Tak, wybór był całkiem prosty. Owszem, zdradził ją parę razy. Chase nawet gratulował Zachowi. Wszystko uszło mu płazem i nikt nie ucierpiał.

Ale teraz... Chase sam nie wiedział, czy to dlatego, że Em mu pomagała, czy może dlatego, że wyglądała na udręczoną, gdy wysiadła wczoraj z samochodu Zacha - ale kiedy słyszał, co mówi kumpel, nie mógł wykrzesać z siebie nawet cienia uśmiechu.

Podskakiwał, pokazując, że jest gotowy do gry.

- Okej, my zaczynamy - oznajmił Zach. Chase gwałtownie uniósł głowę.

- Czemu?

- Moja drużyna wygrała w zeszłym roku. Zwycięzca zaczyna.

- Bez przesady. To było rok temu. To nie kontynuacja turnieju, tylko zupełnie nowy mecz.

Zach uniósł ręce w żartobliwym geście poddania.

- Okej, niech ci będzie. Pojedynek rzutów, żeby ustalić, kto zaczyna. Ja kontra Singer. - Zach rzucił mu piłkę.

Chase pobiegł na środek stawu i wycelował do kosza. Nie trafił. Zach poszedł w jego ślady, z wyjątkiem tego, że celował do drugiego kosza. Kolejne pudło. Rzucali na przemian jeszcze

parę razy, a wiatr niezmiennie znosił piłkę, w coraz to nowym kierunku. Chase skoncentrował się maksymalnie. I wreszcie trafił.

- Nasza piłka - oznajmił z triumfalnym uśmiechem.

- Tylko, jeśli nie trafię. - Zach ustawił się na prowizorycznej linii rzutów wyciętej w lodzie. Ale wypuszczając piłkę z rąk, zrobił gigantyczny krok naprzód, co nie umknęło uwagi Chase'a. Piłka uderzyła w tablicę, zatańczyła na obręczy kosza i przeleciała przez siatkę.

- Spalony! Nie liczy się. Jeszcze raz! - zawołał Chase.

- O czym ty mówisz? - Zach patrzył na niego z miną niewiniątka.

- Wyszedłeś za linię. Powtórz rzut.

- Nie wyszedłem. - Zach spojrzał na chłopaków. - Wyszedłem?

- Przecież widziałem, stary - upierał się Chase. Nie wiedzieć czemu, zaparł się, że tym razem mu nie odpuści. - Nie możesz ustalać własnych zasad. Powtórz rzut.

Zach się nie ruszył. - Matko, co ty ostatnio taki spięty, stary? Nie dość, że parę dni temu przeszkodziłeś mi w akcji, to teraz jeszcze to. - Zaśmiał się, ale jego wzrok był twardy.

- Zamknij się, dupku - warknął Chase, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Jego serce przyspieszyło, pole widzenia zrobiło się węższe. - Mówię tylko, że nie zawsze możesz naginać zasady dla własnej wygody. Ciągłe to robisz. Dobra. Nieważne. Możecie zacząć. Mam to gdzieś.

- Okej, chłopaki. Drużyna Zacha zaczyna. Gramy. - Barton dołączył do Chase'a. Reszta się rozproszyła, gotowa do gry. Ale Zach nie odpuścił.

- Masz jakiś problem, Singer? Chcesz mi coś powiedzieć?

- Już powiedziałem. Przekroczyłeś linię. - Ich głosy niesły się echem po otwartej przestrzeni. - Zawsze oszukujesz, kiedy próbujesz coś ugrać? - dorzucił szyderczo, odwracając się plecami do Zacha. Nie zamierzał tego mówić, ale nie żałował, że tak się stało.

Patrzył wyzywająco na pozostałych, by coś powiedzieli, ale oni w większości pospuszczali głowy i przestępowali z nogi na nogę.

- Aha, czyli jesteś zazdrosny - odezwał się Zach przesadnie słodkim głosem. - O mój talent do koszykówki czy o to, że Em leci na mnie? Nie wiedziałem, że jesteś nią zainteresowany. Ale spokojnie, jak tylko Gabby wróci, ustąpię ci pola. Śmiało, możesz po mnie dojeść. Jesteś przyzwyczajony do spadów po kimś, prawda?

Miarka się przebrała. Gniew, który wzbierał w nim od dni -nie, od lat - musiał w końcu znaleźć ujście.

- Jesteś fiutem, wiesz? - wycedził Chase.

Twarz McCorda przybrała złowrogi wyraz; Chase zmrużył groźnie oczy.

- A od kiedy ty się tak bardzo przejmujesz innymi, co? - wyrzucił z siebie Zach. - Wyluzuj. Po prostu dobrze się bawię. -Zrobił krok w jego stronę.

- Wiesz, co myślę? Ze jesteś dupkiem - odparł Chase, nie cofając się nawet o milimetr. - Dupkiem, który myśli tylko o sobie.

- Tak? A wiesz, co ja myślę? Że jesteś ciotą - wypalił Zach.

- Coś ty powiedział?

- Słyszałeś. Ciotą!

Jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie. Sean odchrząknął i się wtrącił:

- Dajcie spokój, chłopaki. Grajmy. - Ale Chase ledwo go słyszał. Nie spuszczał wzroku z Zacha.

Gniew był niczym wąż unoszący łeb, by ukąsić.

Nagle padł cios - prawa pięść Zacha wylądowała na lewym policzku Chase'a.

- Jezu! - Chase nie wiedział, czy on to powiedział, czy któryś z chłopaków. Piekł go policzek, oczy zaszyły mu łzami. Poczł przyptyw adrenaliny.

Zwinął dłoń w pięść i oddał cios - trafił Zacha tuż przy ustach. Wydawało mu się, czy pękła mu skóra na kostkach?

Ze spuszczoną głową Zach natarł na Chase'a. Przewrócili się, burcząc i przeklinając. Chase upadł boleśnie na lód, który aż zatrzeszczał; szybko przekreślił się i wepchnął głowę przeciwnika w śnieg. Interweniowali pozostali. Sean i Nick odciągnęli Zacha, Barton zajął się Chase'em.

McCord splunął i śnieg zabarwił się na czerwono. Chase nie wiedział, czy to krew z jego nosa, czy z ust. Obaj z Żakiem ciężko oddychali.

Zach spojrzął na niego zmrużonymi oczami. Pokręcił lekko głową.

- Nie pierwszy raz posuwasz się za daleko, stary.

Chase usiłował oswobodzić się z uścisku przytrzymującego go Bartona.

- O co ci chodzi? - wysyczał, choć doskonale wiedział, o czym mówił Zach. O mrocznym sekrecie, który prześladował go od imprezy u Minstera. O czymś tak okropnym, że...

Zach patrzył na niego twardym wzrokiem.

- Wiesz o co.

Ciałem Chase'a targnął spazm. Znowu spróbował wyrwać się Bartonowi, który nadal przytrzymywał go jak wściekłe zwierzę.

- Wszystko gra - powiedział koledze. - Puść mnie. Wreszcie Barton go uwolnił. Chase nie spojrzął ponownie na Zacha. Odwrócił się i odszedł. Idąc, delikatnie obmacał skórę wokół oka. Była obolała i szczypiąca. Zza pleców dobiegły go gniewne słowa Zacha:

- Cholerny świr. Co się z nim dzieje?

W samochodzie zerknął w lusterko wsteczne. Jego twarz była prawie bordowa z wysiłku, wokół oka zaczynał już wykwiatać żółto-czarny siniak. Ściągnął z osłony przeciwsłonecznej ciemne okulary i wsunął je na nos, choć powoli zaczynało zmierzchać. Uświadomił sobie, że drżał. Uruchomił auto i szybko odjechał.

Przed ich przyczepą stało srebrne bmw. Chase zmrużył oczy. Wygrali na loterii czy jak? Niemożliwe, skoro jakiś rok temu kazał mamie obiecać, że nie będzie więcej grała, bo tylko niepotrzebnie robiła sobie nadzieję. Ale nie przychodził mu do głowy żaden inny powód, dla którego pod ich domem miałyby stać taka bryka.

Zaparkował i wysiadł z auta, a wtedy za kierownicą beemki zobaczył Em. Musiał to być wóz któregoś z jej rodziców - normalnie jeździła malutką hondą. Co Winters tu robiła?



- Hej, Chase - zaczęła niepewnie. Po chwili niezręcznego milczenia dodała: - Zostawiłeś to u mnie. - W wystającej z mitenki dłoni trzymała jego playbook. Chase nie wiedział, co powiedzieć.

- Przyjechałaś tylko po to, żeby mi to oddać?

- Cóż, jesteście ze sobą bardzo zżyci - zażartowała. - Ale zaraz muszę się zwijać. Pożyczyłam samochód od taty - wyjaśniła, wskazując zmieszana na srebrzące się cudo.

Ten dzień chyba nie mógłby być już gorszy. Najpierw bójka z Żakiem, a teraz jeszcze nawiedziła go Emily Winters. Wychodząc rano, zostawił nieporządek w przyczepie. W kuchni, na blacie, ciągle leżała spalona grzanka. Nie było mowy, żeby zaprosił ją do środka. Miał nadzieję, że niczego od niego nie oczekiwała. Nie miał nic do zaoferowania. Zwłaszcza jej.

Zapominając o swoim podbitym oku, ściągnął okulary przeciwsłoneczne; skrzywił się, gdy palce musnęły grzbiet nosa, który również ucierpiał. Em zassała powietrze.

- Chase?! Co ci się stało?

Jego dłoń odruchowo powędrowała do oka.

- Biłem się - odpowiedział ponuro. Nie był w stanie na nią patrzeć. - Nic mi nie jest.

- Z kim? Matko. Na pewno wszystko w porządku? Powinieneś przyłożyć sobie lód. - Już kiedyś widział, jak Em zamienia się w pielęgniarkę: w zeszłe lato, na imprezie z okazji Dnia Niepodległości, kiedy Matt Harrison wpadł na szklane drzwi (były tak czyste, że myślał, że ma przed sobą powietrze). Miło, że się tak przejmowała. Ale chciał zostać sam.

- Nic mi nie jest - powtórzył. - To tylko zwykły siniak. Dzięki za playbook. - Chwycił segregator i ruszył do drzwi. Może będzie miał szczęście i nie będzie się upierała.

- Czekaj - zatrzymała go Em. - Musimy przyłożyć ci lód. I posmarować to potem taką jedną maścią. Jest u taty w wozie. Tak to już jest z córkami lekarzy: jestem jak chodząca apteczka pierwszej pomocy. Zanim Chase zdążył cokolwiek powiedzieć, zanurkowała do schowka, zarzucając go pytaniami: „Z kim się biłeś? Skąd wracasz? Boli? Nie czujesz się, jakbyś miał wstrząśnienie mózgu?”

Najwyraźniej znalazła to, czego szukała, bo popchnęła go lekko w stronę przyczepy. Nie odpowiadał na pytania, ale też się nie opierał. Był zbyt wyczerpany.

W środku ściągnęła kaptur i potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami. Następnie posadziła go na stołku przy kuchennym blacie, znalazła ściereczkę i delikatnie obmyła jego obrażenia.

- Byłeś z Zakiem? - Głos jej zadrżał, zauważył od razu Chase. Co za gnojek z tego Zacha. Tej dziewczynie naprawdę na nim zależy. Jej spojrzenie stało się na moment nieobecne, a on natychmiast pomyślał o Ty. Wiedział, że i on często się tak wyłączał ostatnimi czasy. Skinął głową, a ona nawijała dalej: - Aha. Tak tylko się zastanawiałam. Bo... bo właściwie to umawialiśmy się dzisiaj na zakupy, a on się nawet nie odezwał. Tak myślałam, że był z tobą albo... Zaraz! Czy Zach też uczestniczył w tej bójce? Patrzyła na niego z niepokojem. A on wiedział, że musi jej powiedzieć. Czy chciała to wiedzieć? Pewnie nie. Czy wyświadczał jej przysługę? Może. A może po prostu chciał zranić ją, chciał zranić Zacha, chciał, by życie innych też było dziwne i poplątane, skoro jego takie było.

- Tak... To on zadał pierwszy cios.

- Matko. - Em zrobiła duże oczy, wyraźnie zafascynowana. Chase podejrzewał, że nawet gdyby powiedział, że Zach dłubał w nosie, chciałyby poznać szczegóły, by się nimi delectować. -Z kim się biliście? - zapytała przejęta.

- Ze sobą. Zrobiła krok w tył.

- Nie rozumiem.

- Graliśmy w kosza na lodzie. Z chłopakami. Poprzytkaliśmy się. Zach mi przywalił. Ja mu oddałem. - Poruszył się na stołku, czując bolesne rwanie w oku. Zamierzała się tym zająć czy nie?

- Czyli poszło o grę? Chase parsknął.

- Niezupełnie. Nazwałem go dupkiem.

- Czemu? - zapytała cienkim głosem Em.

- Bo on jest dupkiem, Winters. Jest moim kumplem. Czy raczej był. Sam nie wiem. Ale traktuje dziewczyny jak zabawki.

- O czym ty mówisz? - Twarz Em zrobiła się biała jak śnieg za oknem.

- On nie zerwie z Gabby. Powiedział to wprost. Nie chodzi o to, że ją kocha. Po prostu jest mu z nią wygodnie. Nie musi się wysilać. Może robić, co chce. I robi. - Chase nie mógł się teraz zatrzymać. Musiał wyrzucić z siebie wszystko. - Chce się zabawiać z wami obiema, więc to robi. Chce się spotykać z dziewczynami z innych szkół, więc to robi. W tym rzecz: on zawsze robi, co chce. Emily wyglądała po prostu strasznie. Dosłownie pozieleniała; Chase jeszcze nigdy nie widział u nikogo tak niezdrowego koloru twarzy, nawet podczas wyjątkowo morderczych treningów przed rozpoczęciem sezonu, kiedy trener zmuszał ich do biegania w pełnym słońcu i niektórzy wymiotowali. - Kłamiesz - odezwała się cichym, gniewnym głosem. - Nie wiesz, o czym mówisz. Chase westchnął. Żałował teraz, że to wszystko powiedział. Było do przewidzenia, że mu nie uwierzy. Ale zabrnął już za daleko, żeby się wycofać.

- Niestety wiem. Przykro mi, Emily. - Uświadomił sobie, że pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. - Czemu to mówisz? - Jej głos przybrał na sile, był niemal histeryczny. Chase'owi było przykro, ale uważał, że powinna to wiedzieć. - To nieprawda!

- Spójrz - powiedział, wyciągając komórkę. Znalazł wiadomości, których szukał, i podsunął jej telefon.

Od: Zach McCord - widać wyraźnie. Esemesy były sprzed trzech dni, kiedy to nakrył ich razem. Zach napisał:

„Wielkie dzięki, że mi przeszkodziłeś, stary. Zostało mi już tylko kilka dni, głąbie. Lol”.

A potem jeszcze:

„Umówiłem się z tamtą laską z uniwerku. Dam znać, jeśli ma jakieś fajne koleżanki”.

Em wyrwała telefon z jego ręki. Patrzył, jak przebiegła wzrokiem wiadomości. Kiedy na niego spojrzała, zobaczył płynącą po jej policzku łzę. Pospiesznie odwrócił wzrok. Nie powinien był nic mówić. Nie chciał na to patrzeć.

- Nie rozumiesz - wyjąkała Em. - To nie tak, jak myślisz.

- Przykro mi, Winters - powtórzył cicho. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Patrzył, jak chwyciła torbę i w milczeniu wkładała kurtkę. Wyszła, trzaskając drzwiami tak mocno, że aż zadrżały ściany. Przez chwilę stał jak skamieniały. Słyszał, jak Em uruchomiła samochód i odjechała. W przyczepie było cholernie gorąco, a wypełniający ją zapach przyprawiał go o mdłości; czuł wilgotne skarpety i stary sos pomidorowy. Musiał wyjść. Nie. Musiał zobaczyć się z Ty. Wziął do ręki telefon, który Em cisnęła na blat, jakby był skażony. Wybrał numer Ty. Od razu włączyła się poczta głosowa. Powlókł się do łazienki i spojrzął w lustro. Oko nie wyglądało dobrze. A jeśli opuchlizna nie zejdzie do Święta Futbolu? Czy to w ogóle miało jeszcze znaczenie?

Ponownie wybrał numer Ty. I znowu włączyła się poczta głosowa. Jezu. Tak bardzo jej potrzebował. Nagle przypomniał sobie apaszkę, którą jej zakosił. Może, jeśli ją powącha, potrzyma w rękach, poczuje się lepiej. Poczłapał do grzejnika, na którym wisały jego dzinsy. Wsunął rękę do kieszeni i zdumiony zmarszczył czoło. Zamiast apaszki wyciągnął garść popiołu. Pospiesznie otrzepał dłonie.

Dziwne. Dzinsy się nie przypiekły - nie były nawet bardzo gorące. Tracił rozum czy co? Spojrzał na swoje dłonie.

Były na nich ciemne smugi.

### Rozdział 13

Po prostu jest zazdrosny... To nieprawda. Nieprawda. - Em powtarzała to sobie pod nosem, wracając od Chase'a. Prowadziła jedną ręką, drugą, opartą o szybę, podpierała głowę. Nie włączyła radia. Jej oczy były mokre od łez. W głowie kołatały się jej słowa wiadomości Zacha.

Wzdrygnęła się. Nie wymyśliła sobie tego, co było pomiędzy nią a Żakiem. Tego żaru, chemii - on naprawdę się przed nią otwierał. Nie mogła słuchać Chase'a. Musiała porozmawiać z Żakiem. On jej wszystko wyjaśni.

„Zostało mi już tylko kilka dni, głąbie”. Nie. To nie w stylu Zacha. To musiało być nieporozumienie. Mimo to nadal dręczyły ją wątpliwości. Mieli dziś jechać na zakupy swetrowe, a Zach nawet nie zadzwonił. Oczywiście, ona zerwała się z łóżka już o dziewiątej, skomponowała pozornie niedbały strój, składający się z jej najbardziej obcisłych dżinsów i czarnego kaszmirowego sweterka, wysuszyła włosy i zebrała je w „luzacki” koński ogon, starannie wybierając, które kosmyki puścić luźno. Potem wróciła do łóżka i wpatrywała się w sufit, umierając z pragnienia, by do niego zadzwonić, i zaklinając go w myślach, żeby zadzwonił pierwszy. Ale nie zrobił tego.

No i w porządku - był bardzo zajęty, wiedziała. Ale musiała przyznać, że po części pojechała do Chase'a po to, aby spróbować dowiedzieć się, co porabiał Zach (może nawet był to główny powód). Dowiedziała się: Zach był z kumplami, grali w kosza. Spoko. Chciał grać, to grał. Ale że wdał się w bójkę z Chase'em? I zapomniał zadzwonić? Może wcale nie знаła Zacha tak dobrze, jak myślała. Była już blisko swojej ulicy, gdy nagle, praktycznie wcale się nad tym nie zastanawiając, dała po hamulcach. Następnie zawróciła i pojechała do Zacha.

Jego samochód stał na podjeździe, a więc zdecydowanie był w domu. Światło w jego pokoju było jedynym, jakie paliło się w całym domu. Z determinacją równą tej, jaką czuła przed egzaminami lub pierwszym w sezonie zanurzeniem się w lodowatej wodzie oceanu, wpadła bez pukania do jego domu. Zawołała go.

- Zach?

Usłyszała jego głos i w pierwszej chwili pomyślała, że mówił do niej.

- Zach? - powtórzyła, ciszej, zmierzając w stronę schodów. Im bliżej nich była, tym większego nabierała przekonania, że

rozmawiał przez telefon. Słyszała, jak się śmiał, potem chwila ciszy, znowu się zaśmiał i powiedział coś jeszcze. W jego pogodnym głosie przebrzmiewała flirciarska nuta - tak samo, jak wtedy gdy rozmawiał z nią. Albo z Gabby. Z kim on nadawał? Bo na pewno nie z żadnym kumplem.

Na paluszkach wspinała się na górę. Kiedy dotarła na pół-piętro, wyraźnie słyszała już to, co mówił.

- Tak, ja też - mruzczał. A potem: - Też za tobą tęsknię, Gabsy. Pierwszy raz słyszała, żeby użył tego zdrobnienia, choć Gabby

opowiadała jej o tym parę razy. Nagle zrobiło się jej niedobrze. Złapała się barierki, podczas gdy on kontynuował rozmowę

- Jak wrócisz, pojedziemy do Portland na miłą kolację - obiecywał. - Nie mogę się już doczekać, kiedy cię zobaczę. I pocałuję. - Chwila przerwy. - Pa, skarbie.

Nie zdążył opuścić ręki z komórką, gdy do jego sypialni wpadła Em. Miała gdzieś, że wygląda jak wariatka, że skradała się po jego domu, że najwyraźniej doznał szoku na jej widok. Słyszała wystarczająco dużo. Chase miał rację. Zach wcale nie zamierzał zerwać z Gabby. To wszystko była dla niego zabawa i tyle

- Em? - wydusił z siebie Zach. Miał spuchniętą wargę i potargane włosy. Po pokoju walały się zakrwawione chusteczki. Nawet w takim stanie był seksowny - jak wojownik po bitwie. Em wzięła głęboki oddech, przypominając sobie, czemu tu była. Czemu była wściekła.

- A więc wybierasz się z Gabby na miłą kolacyjkę po jej po-wrode, tak? To wtedy z nią zerwiesz? Czy będziesz ją całował? Jezu. To wszystko prawda, co o tobie mówią. - Jej spocone palce przywierały do włosów, które raz po raz zakładała za uszy. ... ~. <sup>Em</sup> "Nlema] widziała obracające się w jego głowie trybiki, formujące się kłamstwa. Ale nagle wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił. Sprawiał wrażenie spokojnego, pogodzonego ze wszystkim. - Masz rację. Nie wiem, co powiedzieć. Poza

- Czy ja dla ciebie w ogóle się liczyłam? - Nie chciała pytać, ale musiała to wiedzieć. Musiała się upewnić, że nie wymyśliła sobie tego wszystkiego. - Czy choć przez chwilę zamierzałeś z nią zerwać?

Potał czoło.

- Słuchaj, Em, lubię się z tobą spotykać. Jesteś świetna. Ale... Lubię też spotykać się z Gabby. To trochę podobnie jak ze sportem. Lubię grać i w kosza, i w futbol, i w nogę. Lubię wszystkie te dyscypliny. Rozumiesz?

- Ludzie to nie dyscypliny sportowe, Zach. Możesz mieć tylko jedną dziewczynę. Policz sam. Och, czekaj, zapomniałam. Matma przecież nie jest twoją najmocniejszą stroną. - Słowa popłynęły z jej ust wartkim strumieniem.

Zach pokręcił głową.

- Pewnie sobie na to zasłużyłem.

Em stłumiła impuls, żeby go przeprosić. Nie będzie przepraszać. Nie jego - nie teraz.

Zach podniósł się z łóżka i zaczął krążyć po pokoju, podczas gdy ona przytrzymała się zimnej ściany, aby nie upaść. Zniemacka zapytał:

- Wiesz, jak moja mama poznała mojego ojczyma?

- Co? - Em przepełniały frustracja, wściekłość i żal; miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa. O czym on znowu mówił? Starła się oddychać, starała się skupić na jego słowach. Jakaś część niej ciągle miała nadzieję, że istniało jakieś wyjście z tego bałaganu - że była szansa na powrót i odzyskanie wszystkiego, co było między nimi wczoraj, gdy leżeli wtuleni w siebie. Chciała wierzyć, że te esemesy, które pokazał jej Chase, to było jedno wielkie nieporozumienie.

- W kwaciarni. Poznali się w kwaciarni - powiedział Zach ze ściągniętą twarzą. - Wybierał kwiaty dla kobiety, z którą się wtedy spotykał. Mama się rozglądała. Powiedział jej, że jakiś tam kwiat idealnie pasował do jej ust. A ona się na to złapała! Na coś takiego. - Wyglądał, jakby go mdliło. - No więc cholerny pośrednik nieruchomości uderza do mojej matki w jakiejś cholernej kwaciarni i bum! Nagle mam ojczyma. Chcesz wiedzieć, co ona tam robiła, co robiła w tej kwaciarni?

Em nie wiedziała, czy chciała ani czemu jej o tym opowiadał. Zach mówił dalej:

- Wybierała kwiaty na pogrzeb mojego ojca.

Wpatrywał się w nią, jakby chciał usłyszeć oklaski, zobaczyć zapalającą się nad jej głową żarówkę albo coś takiego. Nie doczekawszy się żadnej reakcji z jej strony, westchnął.

- Zdaje się, że wtedy przestałem wierzyć w to wszystko: miłość, oddanie i inne takie.

Przed oczami Em stanęła twarz Gabby. Widziała jej duże niebieskie oczy i dołki w policzkach. Gabby była taka ufna. Próbując zapanować nad drżeniem w głosie, powiedziała:

- Zach, przykro mi, że twoja mama tak szybko znalazła sobie kogoś nowego. Ale... Ale... - Jej oczy znowu wezbrały łzami.

Zach westchnął. Nie wyglądał już na udęczonego. Tylko po prostu zmęczonego.

- Em... nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. Nie chcę być zmuszony wybierać.

- Nie chcesz wybierać? Może trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim mnie pocałowałeś? Tym samym dokonałeś pewnego wyboru. - Wściekła, uderzyła ręką w ścianę. - Nie rozumiesz, Zach?

Ranisz mnie. Pogrywałeś sobie ze mną. I pogrywasz z Gabby. Nawet bardziej niż ze mną. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ją zranisz, kiedy się dowie?

Odruchowo cofnął się o krok i zamrugał parę razy. A potem zmrużył oczy.

- Ja ją zranię? Tylko ja? Też brałaś w tym udział. - Zaśmiał się. - Nie zauważyłem, żebyś się jakoś specjalnie wzbraniała.

- Wiesz, co? Odczep się, Zach - powiedziała roztrzęsiona, przetykając łzy i wstyd. Miał rację, uświadomiła sobie, odwracając się nagle. Mógł być kłamliwym dupkiem, ale ta paskudna sytuacja to tak samo jej wina, jak jego. Zatrzasnęła za sobą drzwi jego sypialni. Na zawsze.

Była obrzydliwa. Była fatalną przyjaciółką. Absolutnie nie zasługiwała na prawdziwy związek. Idąc do samochodu ojca, wzięła kilka głębokich oddechów, próbując powstrzymać napływające łzy.

Działało, dopóki nie wsiadła do auta. Jej płacz jeszcze przybrał na sile, gdy jechała, ale nie do domu, bo tego by nie zniosła, tylko ulicami i uliczkami, na które rzadko kiedy się



zapuszczała. W końcu uznała, że musi zjechać na pobocze, bo ledwo już widziała przez łyzy. Musiała się pozbierać. Na poboczu położyła głowę na kierownicy i szlochała dalej.

Kiedy wróciła do domu, nawet nie próbowała ukryć swojego nieszczęścia, ignorując zatroskane miny rodziców i ich zaniepokojone szepty.

- Jesteś głodna? - zapytała mama.

- Nie - odparła Em. Poszła ciężkim krokiem na górę, zamknęła na klucz drzwi pokoju i rzuciła się na łóżko. Myślała o tym, co jeszcze mogłaby powiedzieć Zachowi, i żałowała, że tak naskoczyła na Chase'a. Myślała też o Gabby. Powinna jej powiedzieć? Może Zach jej powie? Nie mogła uwierzyć, że była taka naiwna: dała się nabrać, że mu na niej zależy. Najgorsze, że gdyby poprosił ją, by przyjechała, gdyby błagał ją o przebaczenie, to sama nie wiedziała, co by zrobiła.

Nie. Najgorsze było to, że on nie poprosi jej o przebaczenie.

Bip-bip-bip. Esemes. Em nie paliła się, by go odczytać. Pewnie napisał go ktoś, z kim nie chciała teraz rozmawiać. Może Gabby? Uch, nie teraz. Zach? Jeszcze gorzej. Chase? Na niego też nie miała teraz siły. Ukryła twarz w poduszce.

W końcu zerknęła na wyświetlacz. Esemes był od JD.

„Znowu robię za niańkę. Mogłabyś mi podrzucić dr. peppera?”

To były takie proste i zwyczajne słowa, że znów się rozplakała. Wiedziała, że JD chciał w ten sposób przełamać lody po wczorajszej kłótni, i żałowała, że bałaganu w jej życiu nie dało się uporządkować tak łatwo. Z ciężkim westchnieniem, przekreśliła się na bok i wstała z łóżka. Może trochę czasu z JD dobrze jej zrobi.

Schodząc na dół, trzymała się kurczowo poręczy, bo miała wrażenie, że gdyby ją puściła, po prostu stoczyłaby się ze schodów. Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki cztery puszki napoju. Nawet nie włożyła butów, tylko wsunęła stopy w wełniane kapcie, a wychodząc, zawołała w stronę schodów:

- Idę do JD! - Przecinając szybkim krokiem pokryty śniegiem trawnik, zerknęła na bezchmurne, rozgwieżdżone niebo. Mimo przygnębienia potrafiła docenić jego piękno.

- Nie dam rady obejrzeć po raz milionowy *Stowarzyszenia Wędrujących Dzinsów*, jeśli nie golnę sobie dr. peppera - rzucił wesoło JD, otwierając drzwi i przewracając oczami. Melissa widziała ten film ze trzydzieści razy, a JD uczestniczył w co najmniej piętnastu projekcjach.

Ale kiedy zobaczył czerwone, podpuchnięte oczy Em, jej potargane włosy, z jego twarzy zniknął uśmiech.

- W porządku? - zapytał łagodnie.

Em przytaknęła - na razie nie była w stanie o tym mówić. Podała mu puszkę.

- Jesteś prawdziwą wybawicielką - stwierdził, biorąc od niej napoje i wpuszczając ją do domu. - Wybawicielką, której stopy są pewnie zimne jak lody.

Em weszła, a znajomy zapach, którym przesycony był dom Fountów - cytrynowe detergenty plus herbata imbirowa - podziałał na nią kojąco, ułatwiając oddychanie.

- Cześć, Mel - powiedziała, wchodząc do pokoju telewizyjnego, gdzie na małym stoliku stał karmelowy popcorn i leżały kanapeczki z krakersów, specjalność pani Fount. Nagły przypływ apetytu sprawił, że Em zaburczało w brzuchu.

- Hej, Em! - Mel poderwała się, by ją uściskać. Melissa była piegowata, nosiła aparat ortodontyczny, a jej włosy pachniały jagodami. Była dla Em jak młodsza siostra, której nigdy nie miała. Em, z twarzą we włosach Melissy, uświadomiła sobie, że się uśmiecha. - Szkoda, że nie przyszłaś wcześniej, ale siadaj, została jeszcze połowa. - Melissa opadła z powrotem na kanapę! Miała zaschnięty keczup przy ustach. - O, super. Zapomniałam, jak się kończy - powiedziała Em szczerząc się do JD i sięgając po popcorn. Czowała, że mogłaby pochłonąć całą miskę. Niesamowite, że ledwo przyszła do Fountów, poczuła się o niebo lepiej. To było jak zakopanie się w czystej pościeli na wygodnym łóżku po długim, męczącym dniu. Ale nagle Melissa zerwała się z wyrazem paniki na twarzy.

- O rany, która godzina?

JD zerknął na swój zegarek - zegarek kieszonkowy na łańcuszku, który zawsze nosił w kieszeni spodni.

- Dwudziesta trzydzieści sześć - powiedział.
- Matko, muszę napisać esemesa do Jake'a! - Melissa była już prawie za drzwiami, kiedy Em zapytała:
- Kto to?
- Mój chłopak! - krzyknęła Melissa ze schodów.
- Jej chłopak? - Em spojrzała na JD, ładując garść popcornu do ust.
- No tak. Moja jedenastoletnia siostra ma chłopaka. Prowadzi bujniejsze życie damsko-męskie ode mnie, nawet jeśli chodzi tylko o trzymanie się za rękę - skwitował ironicznie JD.
- Em zaśmiała się, poklepując go po ramieniu. JD odchrząknął.
- Przepraszam cię za tamto, Em.
- W porządku. - Miała zbyt ściśnięte gardło, by móc powiedzieć coś więcej.
- Naprawdę, zachowałem się jak palant - ciągnął. - I bardzo cię przepraszam.
- Ja... - Urwała. Kłótnia z Żakiem nie tylko przyprawiła ją o ból głowy, ale też sprawiła, że zupełnie nie myślała o kłótni z JD. A teraz wszystko się jej zlewało i byto jak jeden wielki łzawy chaos.
- Widzisz, nie znam za dobrze Zacha... Pomyślałem tylko, że zasługujesz na kogoś lepszego. - JD krzyżował, a potem roz-krzyżowywał ramiona, łapał się raz za jeden łokieć, raz za drugi. - Wiem, że to wszystko słabo brzmi.
- Em zdała sobie sprawę, że JD był zdenerwowany. I ona była zdenerwowana. Jej duma została boleśnie zraniona. Musiała to odchorować.
- W porządku, JD, naprawdę... Chodzi o to, że... Okej, mogę ci coś powiedzieć? - Westchnęła głośno.
- Możesz mi wszystko powiedzieć. Serio. Nie będę... Nie muszę zawsze obstawać przy swoim. Możesz mi powiedzieć, cokolwiek to jest. - W jego oczach widziała prośbę.
- Em skubała odstającą skórkę na małym palcu u prawej ręki.
- Chodzi o to, że miałeś rację. Miałeś całkowitą rację.

- O czym mówisz? - Siedzieli teraz przodem do siebie, oboje z jedną nogą podwiniętą pod siebie, a drugą spuszczoną na podłogę.

- Miałaś rację co do Zacha. Jest dupkiem. - Zassała powietrze; przyznanie tego dużo ją kosztowało.

- Jak to? - Wyraźnie starał się za bardzo na nią nie naciskać. Doceniała to, zwłaszcza że miała problem, by powiedzieć to głośno. Powiedzenie tego na głos było takie ostateczne.

- A tak to, że... wszystko między nami skończone - wypaliła jednym tchem. - Cokolwiek to było, jest już skończone. - Znow zapiekły ją oczy. - Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam to Gabby. I sobie. - Zaczerwieniła się.

Złapał jej rękę i uścisnął.

- Em... tak mi przykro. Właściwie sam nie wiem, co powiedzieć. - Ciągłe ścisnął jej dłoń. - Em. Wiesz, że ja cię wtedy nie oceniałem, prawda? Po prostu... martwiłem się. Uważam, że jesteś wspaniała, wiesz? Em patrzyła na niego. Jego włosy sterczały we wszystkich kierunkach, jak zawsze. Był taki... prawdziwy.

- Nie myślisz, że jestem okropną dziewczuchą?

- Jasne, że nie. - Dotknął jej ręki i jego dłoń już tam pozostała; kciukiem głaskał jej łokieć.

- Czuję się, jakbym na nic nie zasługiwała - mamrotała, próbując powstrzymać łzy. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. To było takie głupie. - Opadła na oparcie kanapy, z całych sił starając się nie płakać.

- Już dobrze, dobrze. - JD nachylił się, by otrzeć łzę, która mimo jej wysiłków pociekła po policzku. Em pomyślała, że jeszcze nigdy nie byli aż tak blisko, choć przez te wszystkie lata nieraz spali w jednym namiocie albo uprawiali zapasy. Czuła jego puls przez dłoń, która nadal spoczywała na jej policzku. Otworzył usta, jakby zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie tylko zaczerpnął tchu.

Em czuła, że chciał ją pocałować. Przełknęła ślinę. On ją zaraz pocałuje. Była przerażona. A mimo to nie odsunęła się, nawet nie drgnęła.

Ale nagle było po wszystkim. Chwila minęła. Sięgnął za jej plecy po pilota.

- Nigdy więcej wędrujących džinsów - mruknął, chwytając pilot i przypadkowo przełączając na jakiś hiszpańskojęzyczny kanał. Szukał dalej. - W końcu to ja tu noszę spodnie i powinienem mieć coś do powiedzenia na temat tego, co oglądamy. Ooo, powtórki *The Real World!* Może być?

- Który sezon? - Em czuła się trochę skołowana.

- Hawaje.

- To ten z tą szaloną dziewczyną?

- W każdym jest jakaś szalona dziewczyna - powiedział JD. - Hej, mam pomysł. - Wstał i zniknął w kuchni, a kiedy wrócił parę sekund później, miał ze sobą dwie wysokie szklanki i butelkę rumu rodziców. - Tylko kropelkę. Zresztą i tak wrócą dopiero jutro.

Pyszny, słodki i mocny drink wydawał się dokładnie tym, czego potrzebowała. Zmieszali rum z dr. pepperem.

- Proponuję grę! - Em zachichotała. Ciągle czuła się nieco zdezorientowana. JD prawie ją pocałował. Wydawało się to niemożliwe. - Za każdym razem, kiedy będą się obmacywać, pijemy łyk.

- Okej. I za każdym razem, kiedy ktoś będzie robić pijackie wyznania.

- Skujemy się. - Em się zaśmiała; był to oczyszczający śmiech, przychodzący zwykle po porządnym płaczu. Pomimo wszystko czuła się milion razy lepiej niż jeszcze dwie godziny temu.

Obejrzelili cztery odcinki, rezygnując z gry, kiedy uświadomili sobie, że ich wątroby tego nie wytrzymają. Em dokończyła kana-peczki z krakersów. „Morzyli cię głodem, czy co?” - zapytał JD, kiedy wciągnęła ostatnią. W którymś momencie Melissa zawołała z góry, że idzie spać. Przed jedenastą oboje byli już w pozycji horyzontalnej; leżeli tak, że ich głowy prawie się dotykały.

- Zamknę na chwilę oczy - sapnęła Em między ziewnięciami. Sięgnęła za kanapę po koce; jeden rzuciła JD, drugim nakryła siebie. - Tylko na chwilę. A potem pójdę do domu.

- Cokolwiek chcesz, śpiąca królewno. - Wyciągnął rękę nad głowę i zmierzwił już i tak potargane włosy Em. Zasnęli, JD z ręką przy jej głowie, ona zwinięta w kłębek, z twarzą przytuloną

do oparcia kanapy. Po raz pierwszy od wielu dni zasnęła bez problemu i nie dręczyły jej żadne sny. Przebudziła się gwałtownie parę godzin później. Nie miała pojęcia, która to godzina; na zegarze na DVD migła dwunasta - najwyraźniej nie został ustawiony po resecie. Zadrżała, po czym usiadła i zebrała włosy w węzeł. Usta kleiły jej się od rumu i dr. peppera. Przez przesuwane drzwi sączyło się światło księżyca; spojrzała na JD. Spał, z lekko uchylonymi ustami, z ręką nadal nad głową. W tym świetle miał takie wyraziste kości policzkowe. Zupełnie jakby był kimś innym - nie chłopakiem, z którym dorastała, tylko jakimś gościem o silnej szczęce i dziwnych włosach. Gościem, którego dopiero poznała i chciała poznać lepiej.

Nagle poczuła się dziwnie nieswojo - jakby ktoś ją obserwował. Ale w domu panowała absolutna cisza. Rozglądała się po pokoju. Telewizor, lampa, pusta miska po popcornie, bordowy gobelin na ścianie. Zassała powietrze. Twarz. Za szybą. To była ta dziewczyna. Ta, którą widziała tamtej nocy po imprezie u Minstera. Uśmiechała się złowrogo.

Em wstrzymała oddech. Zamrugła, kręcąc gwałtownie głową. Kiedy ponownie spojrzała, dziewczyny już nie było. Ani niczego innego.

Położyła się, ciężko oddychając. Wariowała? Najpierw ten liścik w kieszeni, a teraz to.

Przysunęła się nieco do JD, starając się go nie obudzić. Słyszała tykanie zegara w holu, wiatr targający gałęzie za oknem, buczenie lodówki w kuchni. Nie zasnęła już. Nie mogła. Leżała i nasłuchiwała, wzdrygając się na każdy podejrzanym dźwięk.

## Rozdział 14

To będzie udany wieczór. Czuł to. Od kiedy rano zadzwoniła do niego Ty, a on zapytał, czy nie poszłaby z nim na kolację, jego serce pracowało na przyspieszonych obrotach. Zapropozowała

francuską restaurację w nadmorskim kurorcie, dwadzieścia minut jazdy od Ascension. Na chwilę spanikował - Lumiere de la Mer cieszyła się opinią jednej z najlepszych i zarazem najdroższych restauracji w południowym Maine - ale nie dał po sobie niczego poznać. Coś wymyśli. Musi. Znowu będą się całować, więcej niż poprzednio, a potem zaprosi ją na Święto Futbolu. Zostało już tylko kilka dni do tej ważnej imprezy, a teraz, kiedy jego stosunki z Żakiem i innymi chłopakami tak się popsęły, potrzebował Ty bardziej niż kiedykolwiek.

Dla zabicia czasu, przez większość dnia czytał stare numery „National Geographic”, rozkładał na podłodze wkładki z mapami i marzył o tym, że razem z Ty zwiedzą świat. Potem wziął wyjątkowo długi, gorący prysznic, po części dlatego, że była to specjalna okazja, a po części, by jego niebieska koszula w białe paski pobyła dłużej w kłębach pary. Ogolił się, wklepał w policzki i szyję płyn po goleniu - ten sam, który dawno temu jego ojciec trzymał w czarnej torbie pod umywalką - a na koniec wciągnął jeszcze sportową marynarkę. Ona też należała do jego ojca. Znalazł ją parę lat temu w szafie u mamy, gdzie tylko zajmowała miejsce. Podejrzewał, że to marynarka, którą ojciec miał na ich ślubie siedemnaście lat temu. Do tego ciemne dżinsy, półbuty, wyprostowane ramiona i z powodzeniem mógł zostać wzięty za studenta. Czuł się dobrze, jak przed meczem przeciwko szkole

**0** dobrej reputacji. Podekscytowany, odruchowo napiął mięśnie.

Zeszłej nocy padał śnieg. Opady nie były na tyle intensywne, by zrobiły się zaspasy, ale wystarczyło, by na jego samochodzie

1 wszystkim innym została centymetrowa warstwa lodu. Chase spocił się, zeskrobując skorupę z przedniej szyby, i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zmienić koszuli, ale doszedł do wniosku, że nie zdąży rozprasować nowej.

Wstąpił do kwiaciarni po bukiet: wybrał składający się z czerwonych kwiatów, podobnych do tego, jaki dostał od Ty tamtej nocy, kiedy się poznali. Kolejny przystanek niezbyt mu się uśmiechał, ale był nieunikniony. Zatrzymał się na parkingu przed Kwik Martem, wziął głęboki oddech i wszedł do środka, starając się wyglądać normalnie.

- Chase, skarbie! - Mama oderwała wzrok od stojaka, na którym układała egzemplarze „National Enquirer” i inne brukowce. Jako młodsza kobieta była bardzo ładna, ale teraz wyglądała na zmęczoną życiem: za dużo solarium, za dużo papierosów. Choć nadal starała się dobrze wyglądać; może aż za bardzo. - Cześć, mamó - powiedział Chase, chowając ręce do kieszeni.

- Co tam? Gdzie się tak odstawiłeś? Myślałam, że Święto Futbolu jest dopiero za parę dni.

- Idę na kolację. To znaczy, na randkę - doprecyzował, uświadamiając sobie, że sama kolacja jeszcze niczego nie tłumaczyła.

- Z kim? - Mama upuściła „Daily Sun” i schyliła się, by podnieść gazetę z brudnej podłogi.

- Z taką dziewczyną, którą ostatnio poznałem. - Rozejrzył się, by mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje. - I tak się zastanawiałem, czybyś mi nie pożyczyła karty kredytowej - wypalił szybko. - Tylko na ten jeden wieczór.

Mama zmarszczyła brwi.

- No, nie wiem, skarbie. Dopiero ją spłaciłam. Znasz zasady. Sięgamy po nią tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Ale to jest wyjątkowa sytuacja. Chcę... wyrzucić na niej wrażenie - dokończył nieśmiało. Nigdy nie rozmawiał o takich rzeczach z mamą. Oderwała się od gazet i patrzyła na niego, trzymając ręce na biodrach. - Kimkolwiek jest ta dziewczyna, powinna być pod twoim wrażeniem, a nie kolacji, na jaką ją zabierzesz.

- Mamó, proszę. Pożyczysz mi tę kartę czy nie? - Nie cierpiał prosić. Ale musiał. Nie widział innej możliwości. Zrobiłby wszystko, żeby wyszło mu z Ty.

- Okej - ustąpiła, wypuszczając powietrze. - Dobrze. - Nawet się uśmiechnęła. - Tylko obiecaj mi, że nie zrobisz nic, czego byś potem żałował. Po prostu nie zapomnij korzystać ze swojej mądrej głowy - powiedziała, uderzając go lekko zwiniętym egzemplarzem „US Weekly”.

- Obiecuję, obiecuję - rzucił szybko, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Nie chciał się spóźnić do restauracji. Ty



chciała się spotkać właśnie tam, bo najpierw miała jakieś sprawy rodzinne do załatwienia. Mama podeszła powoli do kasy, wyciągnęła spod blatu torebkę i wyjęła prawie nieużywaną kartę. Oboje dobrze wiedzieli, jak niebezpiecznie było się zadłużać; po śmierci ojca Chase'a przez długi czas nie mogli opędzić się od wierzycieli.

- Tylko uważaj, Chase. Kocham cię. - Nachyliła się nad blatem, by pieszczotliwie złapać go za policzek. Odsunął się i natychmiast poczuł się winny.

- Też cię kocham, mamó. I dzięki. - Uśmiechnął się, by wiedziała, że mówił to z głębi serca.

Szybkim krokiem wrócił do samochodu. Po drugiej stronie ulicy ciągle paliło się światło w małym sklepie zoologicznym, który jakimś cudem uchwycił się w praktycznie opuszczonym centrum handlowym. Okno sklepu obok było zabite deskami; jedna z desek musiała być poluzowana, bo rytmicznie stukała pod wpływem wiatru.

Ktoś był w sklepie zoologicznym. Twarz stojącej w oknie wystawowym postaci rozświetlał migający neon z nazwą sklepu: Człowiek i Bestia. Chase zmrużył oczy. Czy to jakaś dziewczyna? Zbliżył się. Tak, to była dziewczyna, a dokładnie Drea Fieffer, która trzymała olbrzymiego węża. Był z nią ten jej kumpel z tlenionymi włosami, który jeszcze w zeszłym roku chodził z nimi do szkoły. Mówili na niego Wrona.

Chase był zbyt daleko, by wiedzieć to na pewno, ale odnosił wrażenie, że Drea wpatrywała się w niego przez szybę. Chase odwrócił szybko wzrok i pobiegł do samochodu. Co za dziwacy.

Restauracja Lumière de la Mer znajdowała się zaraz przy głównej drodze i Chase nie miał żadnego problemu, żeby trafić. Był za wcześnie; Ty jeszcze nie przyjechała. Restauracja była pełna ludzi, wśród których zauważył parę osób z Ascension - między innymi grupkę dziewczyn z czwartej klasy.

- Cześć, Chase - odezwały się przeciągle dwie z nich (Becky jakaś tam i Jamie St. Louis). Becky miała na głowie przekrzywioną czapeczkę urodzinową. Jeszcze parę tygodni temu,

Chase by kombinował, jak by tu się wkłęcić na ich imprezę, ale dzisiaj tylko się uśmiechnął i pomachał im ręką, kiedy hostessa prowadziła go do stolika dla dwóch osób. Niech no tylko zobaczą, z kim się umówił.

Niebawem zjawił się kelner w staroświeckim uniformie ze złotymi guzikami. Poinformował go, jaka jest dzisiejsza specjalność, i zapytał:

- Czy tymczasem mogę zaproponować coś do picia? Może kieliszek wina?

Facet nie zamierzał go wylegitymować? Nic dziwnego, że ta knajpa cieszyła się taką popularnością.

- Owszem, poproszę whisky z lodem - powiedział Chase, siląc się na swobodny ton.

- Jaki gatunek pan sobie życzy, sir?

- Eee... - „Jakiś najtańszy” chyba nie zabrzmiałoby zbyt dobrze. - Maker's Mark, jeśli jest - powiedział, dziękując w duchu rodzicom kumpli za ich dobrze zaopatrzone barki.

Kelner przyniósł mu drinka. Chase sączył whisky i czekał. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi i do środka wpadał zimny podmuch, odwracał się, by zobaczyć, czy to nie Ty. Spóźniała się, ale jej spóźnienie ciągle mieściło się w dopuszczalnej normie. Dziesięć minut. Wielkie rzeczy. Ale po piętnastu minutach, kiedy zamawiał u kelnera kolejnego drinka, dorzucił:

- Moja przyjaciółka trochę się spóźni. - Powiedział to głośno, z nadzieją, że usłyszą to także inni.

Potem wyciągnął telefon i ukradkiem zadzwonił do Ty. Połączył się z pocztą głosową.

Po kolejnych dziesięciu minutach znowu przyszedł kelner. Chase wahał się chwilę, czy pozwolić sobie na jeszcze jednego drinka. Z jednej strony, nie stać go było na trzy whiskacze z górnej półki i kolację dla dwojga. Z drugiej, sytuacja zaczynała się robić krępująca. Był pewien, że tamte dziewczyny go obgadywały; nie zdziwiłby się, gdyby zdążyły już napisać na Facebooku: „Chase Singer od ponad pół godziny siedzi samotnie w Lumière de la Mer. Czyżby ktoś go wystawił?” Dobra, napije się jeszcze.

Trzy whisky w przeciągu pół godziny to było trochę za dużo. Nie jadł za wiele w ciągu dnia i teraz czuł się nieco chwiej-

nie. Paluszki chlebowe na sąsiednim stoliku wyglądały niezwykle apetycznie. Może też powinien zamówić, żeby trochę się wzmocnić? Ale ostatecznie po prostu dał znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek.

Zaraz, co jest grane? Chase poderwał się, a odsunięte gwałtownie krzesło wydało potworny dźwięk. Do restauracji weszła Sasha Boulder.

I szła w jego stronę. Z jej głowy lała się krew.

Co, u diabła?

Chase zatoczył się; musiał przytrzymać się stołu, a przy okazji pociągnął obrus, przewracając szklanki. Szła do niego. Cała we krwi. Z jego ust wyrwał się zduszony krzyk. Chciało mu się wymiotować. Próbując odsunąć się od stołu, odepchnął bardziej krzesło. Rozległ się głośny brzdęk. Wszyscy w Lumière de la Mer spojrzeli w jego stronę. A ściślej w stronę wózka z deserami, który właśnie się przewrócił. Czekoladowy mus zapaskudził podłogę, szczątki ciastek leżały przemieszane ze szczątkami porcelanowych talerzy.

- Boże, nic ci nie jest? - Sasha pędziła w jego stronę, ale nagle w ogóle nie przypominała siebie, zniknęła też cała krew.

Chase chciał wczółgać się pod stół i zostać tam na zawsze. Nie mógł uwierzyć, jak fatalnie potoczył się ten wieczór.

Mamrocząc przeprosiny, podpisał się na wydruku z terminala. Jedyne trzydzieści dolców plus podatek za totalne upokorzenie siebie, za siedzenie przez czterdzieści pięć minut w przeklętej restauracji i czekanie jak głupek na kogoś, kto nie raczył się zjawić, za halucynacje i zniszczenie cholernych ciastek. Miał dosyć. Między nim i Ty wszystko skończone.

Jadąc w stronę centrum handlowego, bębnił rękami w kierownicę, dając upust swojej wściekłości. Radio ryczało na cały regulator, a w nim się wszystko gotowało. Miał gdzieś, jak bardzo seksowna była Ty i to, jak dobrze było mu w jej towarzystwie. Zamierzał przemówić jej do słuchu. Nikt nie będzie tak traktować Chase'a Singera.

Ale kiedy zajechał na parking przy Potworze, zdał sobie sprawę, że było już ciemno, pomijając światła na budowie, a on nie pamiętał dokładnie drogi do domu Ty. Wysiadł i już po paru krokach na zimnym wietrze dotarło do niego, że ta misja była skazana na niepowodzenie. Nigdy nie znajdzie tej ścieżki, a nawet jeśli, to na pewno z niej zboczy bez latarki. Nie miał ochoty błąkać się w nocy po lesie... zwłaszcza po Nawiedzonym Lesie, nawet jeśli uważał, że te wszystkie historie to lipa. Z minuty na minutę było coraz gorzej.

Nagle zauważył przerwę między krzakami, a śnieg wyglądał tam na udeptany. Zrobił kilka kroków, przyzwyczajając oczy do ciemności. Tak, to ścieżka. Ta ścieżka. Po paru kolejnych krokach, kiedy ścieżka zrobiła się szersza, miał już pewność, że była to ta sama kręta droga, którą wtedy szli. Szedł nią, aż dotarł do miejsca, gdzie - był przekonany - poprzednio wyłonił mu się dom Ty. Było tu mniej drzew, księżyc świecił jaśniej. Ale domu nie było, jedynie poczerniałe drewniane kloce, jakby niedawno palono tu ognisko.

Zrobił w tył zwrot, przeklinając Ty i swoją beznadziejną orientację w terenie. Idąc przez parking do samochodu, aż się wzdrygnął. W połowie drogi między nim a autem leżało martwe zwierzę.

Rozjechane. Co to było? Być może opos. Opos, który pechowo znalazł się na drodze jednego z tych wielkich dźwigów. Nagle przy oposie pojawiły się trzy zdziczałe koty. Zaczęły szturchać truchło, bawić się nim.

- Wypad! - krzyknął, rzucając w ich stronę kamieniem. Ślepie kotów błyszcząły w świetle księżyca. Przez chwilę koty patrzyły na niego, a potem powróciły do swojego zajęcia. - Powiedziałem: wypad! - ponownie wrzasnął Chase, jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio; jego wściekłość na Ty przemieszała się ze wstrętem do tych wychudzonych stworzeń.

Ale koty nie odeszły, a jeden z nich zdołał nawet wyszarpać kawałek mięsa. Ruszył w stronę Chase'a, niosąc krwawą padlinę w pysku, niczym prezent.

- Nie zbliżaj się do mnie - wymamrotał Chase, robiąc wykop w stronę kota i obchodząc całe to obrzydliwe widowisko szerokim łukiem. Kiedy wsiadał do samochodu, drżały mu ręce.

Wszystko co dobre kończy się źle. Wiedział to. Wiedział. Nie powinien był tak się w to angażować. Chrzanić ją.

A potem zaczęły napływać esemesy od niej, jeden za drugim, istna lawina. Pierwszy:

„Chase? Jesteś tam? Strasznie przepraszam za spóźnienie”. Drugi:

„Chase, odezwij się, proszę? Strasznie przepraszam, że jestem tak strasznie spóźniona. Zatrzymały mnie sprawy rodzinne. Nie mogłam się urwać”.

A potem:

„Proszę, pozwól mi wyjaśnić. Nie udało mi się dotrzeć. Choć strasznie chciałam. Proszę, naprawdę mi na Tobie zależy. Wybacz”.

Starał się pozostać wściekły, ale czuł, że natychmiast zaczął mięknąć. Wystarczyło, że zobaczył jej imię na wyświetlaczu, by poczuł to znajome pragnienie, żeby ją zobaczyć, być blisko niej, inhalować się zapachem jej skóry, pławić w jej dźwięcznym śmiechu. Pragnienie było tak silne, że aż mu się kręciło w głowie. Zatrzymał się i napisał:

„Nie wygłupiaj się. Wszystko OK. Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu przełożymy spotkanie”.

Wznowił jazdę. Niespecjalnie zwracał uwagę na to, któredy jechał, aż w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że zbliżał się do Sikalni, jak nazywano wiadukt nad autostradą. Od czasu samobójczej próby Sashy dokładał starań, by tamtędy nie jeździć. Na samą myśl odczuwał niepokój. A teraz tam zmierzał. Jego telefon zabrzączał - przyszedł nowy esemes.

Sięgnął po komórkę, na ułamek sekundy odrywając wzrok od drogi. W tym momencie wjechał na oblodzony fragment jezdni i samochodem zarzuciło mocno w prawo. Tracąc panowanie nad autem, był pewien, że zaraz wypadnie przez barierkę.

Tyłem wozu wściekle miotało, kierownica nie reagowała. Jeszcze chwila i zleci z wiaduktu. Jak Sasha.

Ale nagle było po wszystkim. Opanował poślizg. Znów był na prawym pasie i czuł jezdnię pod kołami.

- Ja cię kręcę. - Chase zjechał na pobocze zaraz za wiaduktem. - Ja cię kręcę - powtórzył. Serce waliło mu jak młotem, głowa pękała. Kostki zaciśniętych na kierownicy dłoni były zupełnie białe. Oddychał z trudem.

Prawie zginął. Dosłownie zajął śmierci w oczy.

Był zbyt dziabnięty, żeby prowadzić. Co on sobie myślał? Wziął kilka głębokich oddechów i przyłożył rękę do serca, które jeszcze się nie uspokoiło.

Zerknął na kolana; na wyświetlaczu telefonu ciągle migła koperta.

To była wiadomość od Ty:

„Jedź ostrożnie. Ślisko na drogach”.

## Rozdział 15

Krajobraz przemykający za oknem pociągu był rozmyty, składał się z bieli, szarości i brązów. Em jak zahipnotyzowana wpatrywała się w niebieskie niebo nad pokrytymi śniegiem drzewami, między którymi prześwitywał ocean. Odsunęła od siebie myśli o Zachu, Gabby, miłości i zazdrości, całkowicie koncentrując się na tym bajecznym widoku. Na jej kolanach, w nowych, ciemnych dżinsach (prezent gwiazdkowy od mamy), leżał otwarty dziennik. Długopis wysliznął się jej z palców i utknął między kartkami. Próbowwała pisać, ale słowa nie przychodziły.

Był niedzielny poranek, sylwester. Rodzice Em i JD wybierali się na jakieś przyjęcie w Yorku, na którym mieli być głównie lekarze i prawnicy, zaś oni postanowili przywitać Nowy Rok w Bostonie. Em zignorowała telefony od znajomych, zresztą ignorowała je przez całe ferie - do tej pory musieli już wiedzieć, że coś było na rzeczy - i skasowała jedyną wiadomość, jaką dostała od Zacha: żałosne, beznadziejne: Cześć?

JD załatwił Melissie opiekunkę, powiedział swoim kumplom filmowcom, że jedzie do Bostonu, i ewakuował się porannym

pociągiem, żeby zjeść późne śniadanie ze swoją ciotką Sophie. Em spotkała ciotkę Sophie parę razy. Sophie Downs nigdy nie wyszła za mąż, była piekielnie inteligentna i miała wspaniałą zabytkową sekretarzyk z widokiem na Beacon Hill. Czasami Em myślała, że więcej łączyło ją z ciotką Sophie niż z własnymi krewnymi.

Ona i JD mieli się spotkać o siedemnastej na Harvard Square. Podróż do Bostonu trwała jakieś dwie godziny i planowo powinna być na North Station około wpół do trzeciej. To oznaczało, że miała dość czasu, by zajść do Maintenance i wybrać jakiś naprawdę fajny prezent dla Gabs.

Em zamknęła dziennik i schowała do torby. Później popiszę, jak pozbiera myśli. Miała wrażenie, że ktoś się jej przyglądał, i odwróciła się, by spojrzeć. Zassała powietrze.

Po drugiej stronie przejścia siedziała blondynka, niezwykle podobna do dziewczyny, która pojawiała się w jej snach czy halucynacjach, nieważne. Ta sama, którą widziała w swoim oknie i u JD.

Uświadomiwszy sobie, że gapi się z rozdziawionymi ustami, Em uśmiechnęła się do dziewczyny i szybko odwróciła. To musiał być zbieg okoliczności.

- Fajna torba. - Dziewczyna stała teraz nad nią. - Kwiat też. Em przypięła storczyk do torby parę dni temu, po leniwym

popołudniu spędzonym w łóżku Zacha. I choć wyszło, jak wyszło, Em nie mogła zmusić się do tego, by go wyrzucić. Wiedziała, że Zach nie traktował jej poważnie, ale po prostu musiała zatrzymać ten kwiat. Był to prezent od niego, jeden z nielicznych dowodów na to, że przynajmniej ją lubił. I że nie wymyśliła sobie tego wszystkiego.

- Dzięki - odpowiedziała Em, żałując, że nie miała książki, bo wtedy mogłaby udawać zajętą lekturą. Dziewczyna miała urodę modelki, ale było w niej coś dziwnego.

- Jestem Ali. - Dziewczyna wyciągnęła rękę. Em uścisnęła ją po chwili wahania; dłoń Ali była lodowato zimna.

- Cześć. Em. - Z ulgą zauważyła, że pociąg wjeżdżał już na North Station. Szybko zaczęła zbierać swoje rzeczy i przepakowywać torbę.

- Udanego wieczoru, Em - życzyła jej dziewczyna, po czym zaśmiała się, jakby powiedziała jakiś dowcip. Oddaliła się do drzwi. Em podniosła się dopiero wtedy, gdy nieznajoma wysiadła z pociągu i zniknęła w tłumie.

To nic takiego, powtarzała sobie raz za razem. Dziwne, przypadkowe spotkanie i tyle.

Ale nie mogła pozbyć się uczucia zimna, które ogarnęło ją po kontakcie z lodowatą dłonią Ali. Em wyszła na ulicę i od razu poczuła się lepiej. Właściwie to całkowicie zmieniła zdanie co do storczyka. Świeże powietrze pomogło jej uświadomić sobie, że nie miało już znaczenia, co było naprawdę, a co tylko jej się wydawało. Tak czy inaczej, wszystko skończone.

Oderwała kwiat od torby i cisnęła go na ulicę.

Z kubkiem gorącej kawy z Dunkin Donuts w ręce (kupiła kawę zaraz po wyjściu z pociągu) szybko przemieściła się metrem z North Station na Newbury Street, ani razu nie sprawdzając niczego na mapie połączeń. Musiała powiedzieć o tym JD, który ciągle kpił z jej beznadziejnej orientacji w terenie. Na ulicy dziewczyny okutane szalikami przemykały szybko z komórkami przyciśniętymi do uszu, rodzice ciągnęli za sobą dzieciaki zafascynowane mrugającymi na drzewach światełkami, dźwiękami i wystawami sklepowymi. Em uśmiechnęła się, spoglądając na wysokie budynki, bibliotekę i zachodzące nad rzeką Charles słońce. Nie mogła doczekać się fajerwerków.

Kiedy dotarła do Maintenance, wyraźnie czuła, że ekspedientki z niecierpliwością czekały na zakończenie pracy. Nie dziwiła się im - dziś każdy nie mógł doczekać się wieczoru. Ale bez pośpiechu oglądała różne rzeczy, dotykała szalików, przykładła swetry do piersi. Musiała znaleźć prezent idealny, taki, który byłby zadośćuczynieniem za to, co zrobiła. I dowodził, że знаła Gabby, że zależało jej na niej i chciała, by wszystko było jak dawniej.

Najpierw zobaczyła go na manekinie, dopiero potem znalazła na półce - błękitny jedwabny szalik ze wstawką z koronki. To o nim Gabby marzyła. Na wystawie szalik był zestawiony z cien-



kim sweterkiem w kolorze przydymionego rózu - bardzo retro, jakby żywcem przeniesiony z czasów wojny secesyjnej. Naprawdę świetne zestawienie. Em wiedziała, że Gabby byłaby zachwycona.

Szalik kosztował pięćdziesiąt dolarów. Przy sweterku nie było metki z ceną.

- Ile kosztuje ten sweterek? - zapytała Em, unosząc rękaw.

- Sto dwadzieścia pięć dolarów - odpowiedziała ponura ekspedientka.

Czyli razem prawie dwieście dolców. Miała przy sobie dokładnie dwie stówy, a gdyby użyła karty kredytowej w innej sytuacji niż awaryjna, rodzice by ją zabili. Wahała się tylko chwilę.

- Biorę i to, i to - powiedziała. - Rozmiar XS. - Patrzyła, jak ekspedientka zapakowała prezenty dla Gabby w delikatną bibułę i przewiązała złotą wstążką.

Sprawdziła godzinę na wyświetlaczu telefonu i od razu wiedziała, że spóźni się na spotkanie z JD.

Musiała dotrzeć na Park Street, a stamtąd pojechać czerwoną linią w stronę Cambridge. Zbiegając na peron, wyciągnęła komórkę, żeby napisać do niego, że będzie trochę później. Stała jak wryta, gdy na przeciwnym peronie zobaczyła tę blondynkę, Ali. Dziewczyna patrzyła na nią z dziwnym uśmiechem, jakby znała jakąś tajemnicę.

Em poczuła lekki niepokój w żołądku. Czy ona ją śledziła?

Ale wtedy wjechał pociąg, rozwiewając jasne włosy dziewczyny niczym lwia grzywę. Em zajęta miejsce i odetchnęła z ulgą, kiedy pociąg ruszył. Jechało sporo ludzi, ale nie było jakiegoś koszmarne ścisku, w powietrzu czuć było zapach mokrej wełny. Mijały kolejne stacje, a Em obserwowała ludzi, zastanawiając się, jak by to było mieszkać w wielkim mieście, gdzie każdy miał własne życie i nie zajmował się cudzym.

Chowała właśnie prezent Gabby do torby, gdy ktoś odchrząknął i zapytał:

- Przepraszam, czy dojadę tym pociągiem na Kendall Square? Em uniosła głowę, wskazując mapę na górze, i na moment

stało jej serce. Naprzeciw niej stała ta dziewczyna, Ali. Em nie mogła w to uwierzyć - przecież sama widziała ją na przeciwnym peronie.

- Ty... ty mnie śledzisz - wydusiła z siebie. Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami, niczego nie wyjaśniając; nadal uśmiechała się w ten dziwny sposób.

Em zaschło w gardle. Usiłowała przełknąć albo odkaszlnąć, ale ślina uparcie nie chciała spływać poniżej migdałków. Poderwała się, gdy pociąg zaczął zwalniać przed następną stacją. Ruszyła do drzwi.

- Przepraszam, wysiadam - wychrypiała, wymijając innych pasażerów. - Przepraszam!

Ledwo zdążyła. Kiedy wreszcie dotarła do wyjścia, usłyszała sygnał poprzedzający zamknięcie się drzwi. Wskoczyła, gdy drzwi zaczęły się zasuwać.

Nie była dość szybka - drzwi przycięły jej torbę, którą miała na ramieniu.

Pociąg ruszył i Em była zmuszona iść, coraz szybciej i szybciej, spanikowana, bo nie mogła uwolnić ręki.

- Stać! Stać! - krzyczała, a ludzie w środku pokazywali na nią, jakby usiłowali przekazać tę ważną informację dalej, ale pociąg nie zwolnił. Potknęła się, przestając nadażać. Upadła na kolana, a padając, w końcu uwolniła rękę. Patrzyła, jak jej torba, pociąg i dziewczyna znikają w ciemnym tunelu.

Em podniosła się powoli. Była roztrzęsiona. Miała przechla-pane. Została bez torby, bez telefonu, bez portfela... I nie wiedziała, co robić. Przynajmniej była na Central Square, tylko jeden przystanek od Harvard Square, gdzie umówiła się z JD. Wolała już nie ryzykować jazdy pociągiem i postanowiła wyjść ze stacji na Massachusetts Avenue, łączącą Central i Harvard. Sądząc po liczbie ludzi pod ziemią, podejrzewała, że na powierzchni będzie niezły tłok.

Wyglądało na to, że wszyscy w Bostonie korzystali z pogody. Massachusetts Avenue płynęła rzeka ludzi, a na Harvard Square było prawdziwe ludzkie morze: studenci, zonglerzy, turyści, zakupowicze, śpiewający pijacy, obmacujące się publicznie pary. Em rozglądała się nerwowo. JD nie wyznaczył konkretnego miejsca spotkania. Umawiali się na telefon, kiedy Em dotrze na miejsce.

Musiała znaleźć automat telefoniczny - czy automaty telefoniczne w ogóle jeszcze istniały? Zrobiła kilka okrażeń, zanim zdecydowała się pójść w dół ulicy, przy której było pełno barów. W najgorszym wypadku poprosi kogoś obcego o pożyczenie telefonu. Ni stąd, ni zowąd pomyślała o rodzicach. Byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, w jakiej znalazła się sytuacji.

Na jednym ze stoisk z rękodziełem kobieta sprzedawała grube dziergane swetry - takie jak tamten, który wyciągnął wtedy Zach. Kiedy Em je zobaczyła, poczuła się, jakby za chwilę miało pęknąć jej serce. - Zgubiłaś coś - usłyszała zza pleców. Odwróciła się i zobaczyła ją. Tę dziewczynę. Znowu się uśmiechała. Trzymała jej torbę, do której był przypięty czerwony storczyk. To nie miało sensu: przecież Em odpięła go i wyrzuciła. Oblał ją zimny pot.

- Czego ode mnie chcesz? - wykrztusiła. Dziewczyna uśmiechnęła się szerzej.

- Po prostu spełniam dobry uczynek - powiedziała, podając jej torbę.

- Zostaw mnie w spokoju. - Em wyrwała swoją torbę z rąk dziewczyny. Mówiła cienkim, histerycznym głosem. - Słyszysz? Zostaw. Mnie. W. Spokoju. - Potem odwróciła się i ruszyła biegiem przez tłum. Było trochę jak w jakimś olbrzymim, dziwacznym wesołym miasteczku - głośno, kolorowo, tłoczno i trochę strasznie. Em kluczyła między ludźmi, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu telefonu. Kiedy go w końcu znalazła, przeczytała esemes od JD:

„Spotkajmy się przed Au Bon Pain”.

Okej. Wiedziała, jak tam trafić. Wzięła głęboki oddech, starając się zwolnić, ale nadal pędziła, jakby się paliło. Przecinając ulicę, usłyszała pisk gwałtownego hamowania; taksówka zatrzymała się dosłownie parę centymetrów od niej.

- Uważaj, jak łazisz! - krzyknął taksówkarz.

Nic nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Schyliła głowę i pomknęła naprzód, walcząc z napływającymi łzami.

Nagła poczuła czyjeś dłonie na ramionach i wrzasnęła.

- Hej, Em! Spokojnie. To tylko ja!

Odwróciła się i zobaczyła JD; patrzył na nią spod zmarszczonych brwi, zaniepokojony. Odgarnął jej włosy z oczu. Na widok jego granatowej kurtki bosmanki i szalika w intensywnym jasnozielonym kolorze zachciało się jej szlochać: najchętniej opatuliłaby się jego znajomymi ubraniami.

- Wszystko w porządku? - JD ugiął kolana, żeby spojrzeć badawczo w jej oczy. - Wyglądało to, jakbyś uciekała.

Przez chwilę rozważała, czy nie powiedzieć mu o tej dziewczynie, swoich snach i wizjach. Ale był sylwester - nie chciała, żeby uznał ją za wariatkę. Mogła poradzić sobie ze swoimi dziwacznymi halucynacjami sama, bez wciągania w to jego. Pokręciła głową. Jezu. Co z nią było nie tak?

- Wszystko gra. Po prostu jestem dziś jakaś taka nakręcona.

- Rozumiem. Niezłe tu dzisiaj zamieszanie. - JD objął ją ramieniem, a ona odruchowo przywarła do niego. - Sophie mówiła, że najlepiej jest oglądać fajerwerki z mostu. Chodźmy tam.

Niemal poczuła wdzięczność, gdy wziął ją za rękę i zaczął holować przez tłum. Obejrzała się ukradkiem za siebie.

- Ej, tajna agentko, na pewno przed nikim nie nawiewasz? - JD ścisnął jej dłoń, zauważając, że skanowała wzrokiem tłum za nimi.

- Wydawało mi się, że widziałam kogoś znajomego - odpowiedziała wymijająco Em.

- Nie martw się. Jeśli wpadniemy na kogoś z Ascension, natychmiast puszcze twoją rękę.

- Oj, nie o to mi chodziło, dobrze wiesz. - Em walnęła go swoją torbą, patrząc z satysfakcją, jak jeden z płatków storczyka opadł na pokryty solną breją chodnik. Jej kołaczące serce powoli zaczynało się uspokajać.

Z John Weeks Bridge roztaczał się piękny, rozległy widok, a JD znalazł im miejscówkę przy samej barierce. Kiedy zaczął się pokaz fajerwerków - z minuty na minutę coraz wspanialszy i bardziej kolorowy - Em zapomniała o wydarzeniach ostatniego tygodnia i dziewczynie z dziwacznym uśmiechem. Pierwszy raz od długiego czasu czuła się całkowicie spokojna i bezpieczna. Jakby nic nie mogło pójść źle. Oparła się o JD, przytuliła ucho

do jego policzka. Fajerwerki rozświetlały niebo, po wodzie niosły się radosne śmiechy i muzyka. Pomimo kilku warstw zimowych ubrań Em czuła bicie serca JD. Biło mocno i miarowo. Nagle ogarnęło ją pragnienie, by zanurzyć palce w jego włosach i go pocałować. Chciała pocałować go właśnie tutaj, na moście, na oczach wszystkich. Była ciekawa smaku jego ust, tego, jak by się zachowywały w zetknięciu z jej ustami. Pocałowanie go wydało się jej nagle czymś naturalnym. Finał pokazu - oszałamiająca eksplozja błękitu, czerwieni i bieli - rozpoczął się dokładnie z wybiciem północy. Em zastanawiała się, ile musieli ćwiczyć, by to się tak idealnie zgrało. JD ścisnął jej ramiona i nachylił się, krzycząc: „Szczęśliwego Nowego Roku!” wprost do jej ucha. Uściskali się, trochę dłużej niż zwykle. Ale chwila minęła i odsunął się od niej, mierzwiąc jej włosy.

- Niezły pokaz, co? - Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że patrzył na nią tak jak zawsze, jak stary, dobry przyjaciel.

- No, było super - przyznała Em, wpatrując się w panoramę miasta, jakby kryła odpowiedź na nurtujące ją pytanie.

Zanim dotarli na North Station, Em była wyczerpana. Pomimo rękawiczek strasznie zmarzły jej dłonie, poza tym miała dość taszczenia swojej torby - za każdym razem, kiedy na nią patrzyła, przechodził ją dreszcz na wspomnienie dziewczyny w pociągu.

- Pójdę po gorącą czekoladę - powiedziała, wskazując na wózek w rogu.

- Kupię bilety - rzucił JD. - Spotkajmy się przy tamtym kiosku. Skinęła głową i ruszyła przez tłum, objając się o różnych

ludzi i modląc, by nie zobaczyć w tej ludzkiej masie pustych oczu i dziwnego uśmiechu nieznajomej. Ponieważ wydała całą gotówkę, musiała użyć karty kredytowej mamy: jak dla niej, cały ten dzień był jedną wielką awaryjną sytuacją. Czekolada była gęsta i pachnąca. Em pociągnęła łapczywy łyk, nie dbając o to, czy się poparzy.

Ruszyła w kierunku peronu. Szła ostrożnie, uważając na gorącą czekoladę, wyciągając szyję, by dojrzeć jaskrawy szalik JD.

Był przy kasie. Rozmawiał z kimś? Em zmrużyła oczy. Tak, rozmawiał z jakąś dziewczyną. Serce podeszło jej do gardła. JD rozmawiał z tą dziewczyną. Nie. Nie, nie, nie, nie, nie. Przyspieszyła; szła tak szybko, jak się tylko dało w tym tłumie. Gorąca czekolada chlapała na jej dłonie i nadgarstki, parząc ją, ale nie zwracała na to uwagi, skoncentrowana na tym, by nie stracić ich z oczu. Co oczywiście było niemożliwe w tym ścisku i kiedy dotarła do JD, dziewczyny już nie było.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała zadyszana. - Kto to był?

- Ta dziewczyna? - JD zrobił zagadkową minę, biorąc od niej kubek z czekoladą. - Brawo, że udało ci się nie rozlać wszystkiego. - Znasz ją?

- Hej, hej, hej - powiedział JD z udawaną przekorą. - Przecież to ty nie chcesz być widywana ze mną publicznie. Zapytała mnie tylko o coś.

- JD, pytam poważnie. Nie widziałeś jej nigdy wcześniej?

- Tylko w moich snach, skarbie... Żartowałem! Żartowałem! - dorzucił szybko JD i Em wiedziała, że pobladała. - Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Zapytała, czy ten pociąg jedzie do Providence, a ja odpowiedziałem, że nie. To wszystko.

- Okej. Okej. - Em wypuściła powietrze. - Sorry za czekoladę.

- W porządku. I tak nie chciałem całej. Matko. Muszę pamiętać, żeby nie rozmawiać z innymi kobietami, jeśli nie chcę narazić się na gniew Zazdrośnicy Emily. - Bardzo śmieszne.

W pociągu, szukając w torbie biletu, trafiła na prezent dla Gabby. Wydała na niego wszystkie swoje oszczędności, ale było warto. Gabs wracała jutro, a Em obiecała sobie, że jak najszybciej przyzna się do wszystkiego. Wiedziała, że nie będzie lekko, że będzie to bolesne. Cholernie bolesne. Ale wierzyła, że uporają się z tym. Muszą. W końcu przyjaźniły się od zawsze. A przyjaciółki wybaczą sobie błędy, prawda?

JD odstąpił Em miejsce przy oknie, ale zamiast o zimną szybę wołała oprzeć się o niego. Znajomy zapach tej jego dziwacznej kurtki - specyficzna mieszanka palonego drewna, starości i olejku

sosnowego - działał na nią niezwykle kojąco. Zасыpiając, przytulona do jego ramienia, usłyszała w głowie szept: Zapomniałaś o czymś... Zapomniałaś o czymś... Zapomniałaś o czymś.

## Rozdział 16

Wężę, połyskujące złote wężę wiły się, przyjmując ludzkie kształty, a potem wracały do pierwotnej postaci. Ich gadzie łby zaczęły przypominać twarze Ty i jej kuzynek. Wężę śmiały się dźwięcznym dziewczęcym śmiechem. Ty zbliżyła się do niego, podając mu białe pióro. „Leć”, szepnęła. Chase wziął pióro i zaczął obracać je w palcach. Nagle pióro znalazło się w jego ustach, drażniąc język i wnętrze policzków. W następnej chwili było już w gardle. Zaczął się dusić. Łapczywie chwycił powietrze, usiłował odkaslnąć, ale pióro utknęło i...

Chase obudził się zlany potem i potrzebował chwili, by jego oddech się uspokoił. Wzdrygnął się, wspominając swój sen - Ty zrzuciła skórę węża tak samo, jak wtedy, u niej w domu, zrzuciła ubrania. Leżał chwilę, wyciągając nogi, ziewając i drapiąc się po brzuchu.

Łup. Jak zwykle uderzył się w duży palec u nogi. Ten jeden raz byt z tego powodu zadowolony - przynajmniej oprzytomniał. Ale choć nie myślał już o śnie, nadal ścisnęło go w gardle - dziś wieczorem Święto Futbolu, a on nie miał partnerki. Odchrząknął, ale nic to nie dało.

Było piętnaście po szóstej, więc miał pół godziny, żeby dotrzeć do szkoły. Był to pierwszy dzień szkoły po przerwie świątecznej. Zach zwołał spotkanie przed lekcjami, żeby ustalić ostatnie szczegóły przed imprezą. No i trener chciał jeszcze obgadać parę rzeczy na wypadek obecności mediów i zwiadowców z college'u. Chase nie miał już najmniejszej ochoty na uczestniczenie w tej cholernej imprezie, ale przecież nie mógł jej olać. Zwieszając nogi z łóżka, postanowił, że weźmie się w garść i mimo wszystko

będzie to udany dzień i wieczór. Pokłócił się z Żakiem, w jego życiu panował kompletny chaos, ale był przecież gwiazdą drużyny, i to będzie jego wieczór, musi na nim zabłysnąć.

Chase wiedział, że niezależnie od tego, jak się miały sprawy między nim a Żakiem, Zach nie dopuści, by odbiło się to w jakikolwiek sposób na dzisiejszej imprezie. Mógł być spokojny - Zach to mistrz pozorów. Nikt z zaproszonych gości, nikt poza tymi, którzy byli wtedy nad stawem, nawet się nie domyśli, że najlepsi przyjaciele mają ze sobą na pieńku. Problem z głowy, przynajmniej dopóki w pobliżu będą kamery. Spojrzał w lustro, żeby skontrolować oko. Maść, którą wtarła mu Emily, trochę pomogła - siniak był nadal widoczny, ale znacznie bledszy i nie tak rozległy. Dotknął go ostrożnie. Nadal bolało jak cholera. Później może podbierze puder matce i spróbuje ukryć limo - nie chciał, by dziennikarze wypytywali go, co się stało. Na razie postanowił założyć okulary przeciwsłoneczne. W samochodzie włączył radio - na cały regulator. Jadąc pustymi ulicami, bębnił palcami w kierownicę w rytm muzyki. Oddychał głęboko i powtarzał sobie niczym mantrę: „Nowy rok. Nowy początek. Nowy start”.

Ale ledwo zatrzymał się na szkolnym parkingu, minąwszy transparenty informujące o dzisiejszej wielkiej gali, ogarnęło go dziwne przeczucie, że coś było nie tak. I nie chodziło bynajmniej o to, że trener Baldwin nie miał swojego nieodłącznego srebrnego gwizdka, a w zamian był pod krawatem. Owszem, spóźnił się trochę, ale kilkuminutowe spóźnienie to chyba jeszcze nie powód, by unikać jego wzroku albo się odsuwać. Żaden z chłopaków nawet na niego nie spojrział, kiedy zaczęli ustalać, kto gdzie usiadzie i kto co powie. Może jednak Zach gadał coś na jego temat?

- Praca zespołowa. Pamiętajmy o tym, chłopcy - mówił trener. - Jesteśmy zespołem i wspieramy Singera... - Urwał, gdy paru z nich parsknęło. - Powiedziałem coś śmiesznego? Brewer? - Trener spojrział groźnie na Toma Brewera, który siedział z przodu klasy, próbując, bez powodzenia, zachować poważną minę.

- Nie, proszę pana. Jesteśmy tu po to, żeby wspierać Singera, to pewne. - Więcej tłumionych śmiechów.



Chase poruszył się niespokojnie na krześle. Co było grane? Wpatrywał się w Zacha, by ten uniósł głowę, ale Zach niezmiennie studiował podłogę, z włosami spuszczone na oczy. Jego górna warga nadal była nieco spuchnięta.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, szkolne korytarze zapełniły się uczniami, którzy ściskali się nawzajem, chowali rzeczy do szafek, jedli bajgle albo sprawdzali plan zajęć na nowy semestr. Idąc do stołówki, Chase stwierdził, że koniecznie musi napić się kawy. Całe szczęście, że szkolna stołówka zaczęła serwować ją parę lat temu, choć smakowała gorzej nawet od tej lury z Kwik Martu. Czuł na sobie ukradkowe spojrzenia, a kiedy pomachał grupce dziewczyn, te tylko dziwnie się uśmiechnęły, po czym udały, że są bardzo pochłonięte rozmową. Co do licha...?

Zrobiło mu się zimno. Jego najgorszy koszmar się spełnił: przez całe gimnazjum prześladował go sen, w którym przychodzi do szkoły i nagle zdaje sobie sprawę, że jego ubrania są podarte i poplamione, a przyjaciele nabijają się z niego. Ale teraz właściwie było jeszcze gorzej - miał czyste ubrania, brud był niewidzialny.

Wszedł do stołówki i wtedy to zobaczył. Wszystko stało się jasne. Wszędzie wisiały jego zdjęcia: jego nagie zdjęcia powiększone do naturalnych rozmiarów. W dymkach, wychodzących z jego ust - jak w komiksach - były słowa z wierszy Emily.

Obrócił się powoli, ściągając okulary. Na jednym stał skrzepowany pod nagą żarówką w salonie Ty. Na innym leżał rozciągnięty na podłodze, na tle czerwonej ściany, a zbliżenie było tak duże, że widać było gęsią skórę na jego udach.

Kiedy wszedł, w stołówce zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w niego, ciekawi jego reakcji. Trząśnięcie całym. Huczało mu w głowie, nie był w stanie myśleć. Bał się, że zemdleje albo dostanie jakiegoś ataku.

- Wiszą tu od samego rana - powiedziała z nutą współczucia w głosie mijająca go Drea Fieffer. Odwrócił się, patrząc, jak znika w głębi korytarza. Jej martensy i czarne dżinsy były jak tratwa ratunkowa, oddalająca się od tonącego statku. W końcu zniknęła zupełnie i znów był sam.

Zrobił parę chwiejnych kroków w tył. Czuł się jak największy dziwoląg, jakiego kiedykolwiek widziała ta szkoła. Biegając korytarzem, myślał tylko o tym, dokąd mógłby uciec, gdzie mógłby się schować. Dał nura do toalety dla chłopaków, ale tylko nadzieją się na Wagnera i Bartona. Roześmiali się histerycznie na jego widok, wskazując na kolejne jego zdjęcie nad umywalką.

- Ty naprawdę jesteś ciotą, co, Singer?

Chase nie mógł wydusić z siebie słowa. Było zupełnie, jakby tamto pióro ze snu rozrastało się w jego gardle. Zaczął się dusić. Przechodząc, Wagner walnął go w plecy.

- Co się z tobą porobiło, stary?

- Może powinniśmy dziś wieczorem pokazać to kamerom, co? Wtedy wszyscy będą wiedzieli, że rozgrywający Ascension, gwiazda drużyny, jest pedziem.

- To nie tak, jak myślicie - wymamrotał słabo Chase.

- Nie tak jak myślimy? A niby co to jest? Wydaje ci się, że jesteś modelem Calvina Kleina, czy jak? - Wagner wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Ładne wiersze - mruknął Barton. - Co tak bardzo „boisz się wyznać”? Ze jesteś gejem?

W głowie kołatały mu się słowa wiersza Emily: „Pewne rzeczy musisz zachować dla siebie”. Szybko odwrócił się i wycofał z powrotem na korytarz. Gorący, duszny i tłoczny. Przypominało to scenę z horroru - widział przerażające rzeczy, ale nie mógł nic zrobić.

Przychodziło mu do głowy tylko jedno miejsce, w którym mógłby się schronić - stara sala gimnastyczna za parkingiem dla nauczycieli. Trzy lata temu wybudowano nową i ze starej korzystano już tylko wtedy, gdy padał deszcz, a nowa sala była zajęta przez inną trenującą drużynę. Czasami, kiedy było zbyt zimno na siedzenie za zepsutym ogrodzeniem kortów tenisowych, w starych szatniach zbierali się palacze. Wcześniej czy później sala będzie musiała zostać zburzona albo odnowiona, ale na razie to dla niego idealne schronienie.

Wpadł do środka, zamroczony, skołowany. To nie powinno było się stać. Zawsze tak bardzo uważał... Ale nie uważał dostatecznie, nie z Ty.

Wziął kilka głębokich oddechów i zachłysnął się powietrzem nasyconym zapachem gumowych materaców, lakierowanych podłóg i dymu papierosowego. Jego kaszel niósł się echem po pustej sali...

Czy na pewno pustej? Co to za dźwięk? Ktoś płakał?

Chase się rozejrzył. W górnym rogu trybun siedziała Em. Patrzyła na niego, wycierając nos i przyglądając potargane włosy. Trzęsa się, bo miała na sobie tylko koszulkę na ramiączkach.

- Co ty tu robisz? - zawołała do niego przez salę.

- Mógłbym zapytać cię o to samo - odparł, stojąc ciągle w drzwiach.

Em zeszła parę rzędów niżej, ale została na trybunach. Chase zrobił kilka kroków w jej stronę.

- Matko, ale tu zimno - mruknął, rozcierając ramiona. Nie odpowiedziała. Kiedy cisza między nimi zaczęła się przeciągać, poczuł nieodpartą potrzebę mówienia, zapełnienia tej pustki, zagłuszenia swoich myśli.

- Pamiętasz, jak tu było gorąco podczas apeli? Em skinęła głową. Była czerwona na twarzy.

- Pamiętam taki jeden apel, w pierwszej klasie, kiedy Gabby kandydowała na... - Urwał, widząc, że Em skuliła się i zaczęła drzc.

Pięknie. Doprowadził ją do płaczu. Stał nieruchomo, mrużąc oczy w świetle wpadającym przez okna na górze. Miał nadzieję, że zaraz jej przejdzie.

- Wygrała - wykrztusiła Em. Przybliżył się powoli, ledwie słysząc, co mówiła. - Wygrała, bo jest świetna. A ja jestem okropna. - Skubała swoje spodnie, nie patrząc na niego.

- Co z tobą, Winters? - Usiadł obok niej. Niespecjalnie chciał się zagłębiać w jej dramat, to nie na jego siły, ale i tak nie miał dokąd pójść.

- Gabby. Gabby - powiedziała dwukrotnie, choć za drugim razem raczej nie powiedziała, ale zawyła.

A potem zaczęła nawijać, przerywając tylko po to, by pociągnąć nosem, odkaszlnąć lub przełknąć ślinę. - Spotkałyśmy się dziś przed lekcjami, jak zwykle. Co rano spotykamy się w Dunkin Donuts i bierzemy kawę z gorącą czekoladą, pół na pół.

Chase skinął głową. Słuchając o cudzych problemach, przynajmniej nie myślał o własnych.

- Podchodzę do niej, uśmiechnięta, i podaję jej prezent... naprawdę fajny prezent jej kupiłam, bo bardzo mi zależało żeby wszystko naprawić, naprawdę, Chase... - Tu Em chwyciła go za kolano, jakby błagając go, by jej uwierzył. - A ona... ona... ona chlusnęła mi swoim pićciem w twarz! - Em wzdrygnęła się, jakby ponownie poczuła na sobie gorący napój.

- Wylała na ciebie kawę?

- Tak! Ale nie rozumiesz. Ona zwykle daje mi własne ubrania, kiedy się poplamie... w szafce w szatni ma całą garderobę! - zawyła Em, pokazując swój zniszczony sweter, wetknięty pospiesznie do torby. - To zabolęło, Chase - dodała, ciszej. - Bardzo Nazwała mnie... dziwką. Kłamczuchą, dziwką i zdrajczynią -Em zaczerpnęła tchu. Cały czas skubała jak nie włosy, to skórki przy paznokciach, które zdążyła już poobgryzać prawie do krwi Była w rozsypce. - Mówiła, że uganiałam się za Żakiem i że to wszystko moja wina - ciągnęła. - Że jestem kłamliwą dziwką która poluje na cudzych chłopaków. Jakby Zach był zupełnie niewinny. Jakbym zastawiła na niego pułapkę, wiesz?

- A było tak? - zapytał wprost Chase.

- Nie! A potem powiedziała, że cała szkoła dowie się jaka jestem okropna. Powiedziała, że ma jakiś esemes na dowód. Potem odjechała, a ja stałam tam, cała zalana kawą.

Chase potarł czoło. Zaczynała boleć go głowa.

- Ale jak ona dowiedziała się tak szybko? Czy nie wróciła dopiero wczoraj?

Em wzruszyła ramiona i położyła głowę na kolanach.

- Kiedy przyjechała z lotniska, zorientowała się, że zostawiła szkła kontaktowe w hotelu, więc pojechała kupić nowe. I właśnie kiedy była w sklepie, podeszła do niej jakaś dziewczyna i jej powiedziała. Nawet nie zdążyłam zapytać, co dokładnie jej powiedziała, ale wygląda na to, że Zach wyszedł z tego obronną ręką Ale najgorsze jest to, że uwierzyła jakiejś „ofierze mody z czerwoną wstążką" - tu Em zrobiła palcami znak cudzysłowu - a nie mnie, swojej najlepszej przyjaciółce.

- Ofierze mody z czerwoną wstążką? - powtórzył Chase. Ten opis coś mu mówił, ale nie wiedział co. Em ponownie wzruszyła ramionami.

- Tak powiedziała Gabby - wyjaśniła Em, a kącki jej ust drgnęły nieco do góry. - Nie mam pojęcia, skąd jakaś obca dziewczyna mogła o tym wiedzieć. Ani co powiedział Zach. Wyraźnie nie zamierzał się obciążać... Pewnie wszyscy już o tym wiedzą. Ale to wcale nie jest najgorsze. Najgorsze, że w ogóle do tego doszło. Że pozwoliłam, by do tego doszło. Zasłużyłam sobie na to. - Znowu płakała. Jeszcze rozpaczliwiej niż przedtem.

- Emily... - Chase uniósł ręce. Nie był dobry w pocieszaniu, zwłaszcza płaczących dziewczyn. Po chwili wahania położył rękę na jej plecach. Zesztywniała w pierwszej chwili, ale potem się odprężyła. Wiedział, jak się czuła: w jednej chwili cały jej świat runął, stała się wyrzutkiem społecznym. - Nie płacz. Wiem, że nie chciałaś zranić Gabby. Po prostu... wdałaś się w coś, co cię przerosło. Obróciła nieco głowę i zobaczył, że cieknie jej z nosa.

- Tak...?

- Dokładnie. Czasami wydaje ci się, że wiesz, czego chcesz, a potem wszystko wymyka się spod kontroli i nie możesz nic z tym zrobić. Przerasta cię to. Jest nie do zatrzymania. - Urwał, myśląc o swoim życiu, o wszystkich tych rzeczach, których nie mógł już cofnąć.

Siedzieli w milczeniu przez parę minut, a Chase głaskał Emily po plecach, zdziwiony, że jest taka koścista. Zdziwiony tym, że ją dotykał. Zdziwiony, że w ogóle obchodziły go jej problemy. Usłyszeli dzwonek na drugą lekcję, ale żadne się nie ruszyło.

- Widziałam zdjęcia - wymamrotała cicho. - Przykro mi. Oblało go gorąco i zabrał rękę z jej pleców. Myślał o zdjęciach

i o tym, że ludzie nigdy o tym nie zapomną. Wzdrygnął się na wspomnienie swojej twarzy na jednym z nich: śmiał się, z odchyłoną do tyłu głową, zupełnie się nie kontrolując. Nikt wcześniej go takim nie widział. Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie, aż nagle Chase zapragnął opowiedzieć o wszystkim Emily, spróbować rozgryźć, co stało się z jego życiem.

- Myślisz czasem o karmie? - wyrzuci! z siebie.

- O karmie? - Em zmarszczyła nos.

Chase nadal czuł rozchodzące się po jego ciele gorąco.

- O przeznaczeniu... no wiesz, wróci do ciebie to, co puścisz w obieg. Myślisz, że to może być prawda? - O czym mówisz? - zapytała.

Chase się zawahał. Miał to już na końcu języka.

- O tym, że mój ojciec podle traktował mnie i matkę, pił i w ogóle, aż pewnego dnia oberwał w głowę częścią od maszyny i umarł. To tak, jakby... dostał to, na co sobie zasłużył. Rozumiesz?

Widział, że jego historia tylko jeszcze bardziej zasmuciła Em, i żałował, że zaczął ten temat. Wszyscy wiedzieli o jego ojcu - to była stara historia. Chase nie lubił do tego wracać.

Em patrzyła na niego ze współczuciem.

Dał jej kuksańca.

- Nie słuchaj mnie. Jestem tylko golasem, który pisze wiersze. Uśmiechnęła się lekko.

- Dobre wiersze - powiedziała, również szturchając go łokciem.

- Wiesz, mam przyjaciółkę, która jest naprawdę dobra w te klocki.

- Och, to teraz jesteśmy przyjaciółmi? - zapytała ironicznie Em, ale jej oczy byty pełne nadziei.

Pomyślał o Zachu. O ich przyjaźni. O tym, jak niewiele trzeba było, żeby wszystko poszło w diabły.

- No cóż, zdaje się, że nie mam zbyt wielkiego wyboru - zakpił. - Właściwie, nie wiem, czy w ogóle miałem kiedykolwiek jakichś przyjaciół. - Nagle coś sobie przypomniał i walnął się w czoło.

- O jasna cholera!

- Co jest?

- Dziś wieczorem jest cholerne Święto Futbolu. - Chase bawił się chwilę sznurkami od kaptura swojej bluzy, a potem pokręcił stanowczo głową. - Nie ma mowy, żebym tam poszedł. Nie pokażę się tym wszystkim ludziom. Wykluczone.

- Nie możesz nie pójść, Chase. Będziesz kapitanem drużyny.

Chase myślał o swoich kolegach z drużyny, o tym jak na niego wszyscy patrzyli w stołówce.

- Nie wiem, czy ja jeszcze mam jakąś drużynę.

- Nie możesz nie pójść - powtórzyła Em. - To zbyt ważne. Nie możesz tak się poddać.

Nagle wpadł na pomysł.

- A może byś poszła tam ze mną?

- Ja? - Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Tak... - Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany do tego pomysłu. - Stanowimy świetną parę, dziwak i dziwka. - Uśmiechnął się niepewnie, nie wiedząc, czy nie posunął się za daleko. Ale ona zdawała się na serio to rozważać.

- Gabby tam będzie. Z Żakiem... - Przygryzła wargę. Chase wzruszył ramionami.

- Może będziesz miała kolejną okazję, żeby z nią pogadać. I nie musisz się martwić: na tej imprezie nie podają kawy. Em uśmiechnęła się lekko. Nadal się zastanawiała. Zaczerpnęła tchu.

- Jesteś pewien? - Czemu nie? Gorzej już nie będzie.

- Okej. Dobra. - Em się uśmiechnęła. Chase też się uśmiechnął. Byli parą szkolnych wyrzutków, siedzieli sobie na trybunach i wybierali się razem na Święto Futbolu. I fajnie. Jeszcze im wszystkim pokażę.

Bip-bip-bip. To jego telefon; dźwięk był trochę przytłumiony, bo dochodził z plecaka leżącego przy jego nogach. Wiedział, od kogo będzie ten esemes, i nie chciał go czytać. Em wskazała głową na plecak.

- Nie chcesz zobaczyć?

Z westchnieniem Chase schylił się i wyciągnął komórkę. Jasne: jedna nowa wiadomość od Ty: „Wszystko wyjaśnię. Tylko zobacz się ze mną. Jak najszybciej. Proszę. To wszystko nieporozumienie”.

Zerwał się jak oparzony. W jednej chwili wróciły cały gniew, smutek, oszołomienie.

- Muszę lecieć - powiedział szybko, z walącym sercem.

- To do wieczora, tak? - Patrzyła na niego zatroskana, tak jak wtedy u niego w domu, kiedy wrócił zakrwawiony i z podbitym okiem.

- Jasne. - Ale myślami był już gdzie indziej. - Eee, przyjadę po... Spotkamy się na miejscu. Będę czekał w środku. Przy drzwiach, okej?

Nie czeka! na jej odpowiedź. Wsunął dłonie do kieszeni i wyprostował ramiona, jakby szykował się do walki. Postanowił, że spotka się z Ty, i coś mu mówiło, że to będzie już ich ostatnia runda.

Rozdział 17

Em dobijała się do Gabby na różne sposoby. Próbowwała przez komunikator. Pisała esemesy. Dzwoniła - na komórkę i domowy. I nic. Poza jednym kłamstwem z ust pani Dove, która wydawała się mocno zdezorientowana tym, że Gabby nie chciała podejść do telefonu. Dziewczyny nigdy się nie kłóciły.

Em rozpaczliwie pragnęła nawiązać kontakt z Gabby, wytłumaczyć się jej. Naprawić sytuację. Zapewnić, że to była wielka pomyłka, i obiecać, że zrobi wszystko, by odzyskać zaufanie przyjaciółki. Zamierzała powiedzieć nawet o tym, że były też inne dziewczyny, nie tylko ona, gdyby dzięki temu Gabs miała jej uwierzyć. Ale wszystkie próby komunikacji zawodziły.

W końcu zdecydowała: wieczorem na Święcie Futbolu, na którym będą obie, odciągnie Gabby na bok i przekona ją, że ich przyjaźń jest ważniejsza od jakiegokolwiek chłopaka. Nawet takiego jak Zach McCord. Nawet takiego, który właśnie złamał jej serce...

Wiedziała, że nie będzie łatwo.

Aby się do tego przygotować, została jej jeszcze jedna rzecz do zrobienia: musiała spalić Cordy'ego. Zebrała potrzebne rzeczy: węgiel, podpałkę, zapalki, szczypce grillowe, swoje najcieplejsze zimowe rękawiczki i czapkę. No i oczywiście Cordy'ego. Uniosła go i przytuliła, wdychając jego



zapach: pachniał trochę pluszem, trochę jej sypialnią, trochę wesołym miasteczkiem, a trochę jeszcze czymś innym. Z bólem serca patrzyła w jego głupie, czarne plastikowe oczy i na nitki wyłazące z nieprawdziwej grzywy.

Ale koniec z tym. Jej uczucie do Zacha, cały ten bałagan, ulotni się wraz z dymem z wypchanej zebry. Musi. Em nigdy nie wierzyła w talizmany i inne takie, ale jedno było pewne: nie chciała tej maskotki w pobliżu swojego łóżka. Wiedziała, że z popiołów Cordy'ego uda jej się jakoś wskrzesić przyjaźń z Gabby, dawną siebie, życie sprzed chwili pocałunku z Żakiem.

Rodzice mieli wrócić w porze kolacji, a ona musiała jeszcze przygotować się na wieczorną imprezę, więc powinna już zaczynać. Westchnęła. Najchętniej zaszyłaby się z JD w piwnicy, piła rum z dr. pepperem i grała w Scattergories. Ale nic z tego, musiała wbić się w sukienkę - zdecydowała się na klasyczną małą czarną - na udawaną randkę z Chase'em. Że też właśnie z nim. Em musiała przyznać, że trochę się o niego martwiła. Po tym porannym esemesie, który wytrącił go z równowagi - mogłaby się założyć, że był od tej dziewczyny, Ty - już go więcej nie widziała. Nie żeby go jakoś specjalnie wypatrywała. Przez cały dzień starannie unikała kontaktu wzrokowego prawie ze wszystkimi. Nie miała pojęcia, co Gabby naopowiadała na jej temat.

Zerwał się wiatr, gdy Em stała na tylnym ganku, drząc i przyciskając do piersi Cordy'ego. Okropnie było nie wiedzieć, co ludzie o tobie mówili. Uświadomiła sobie, jak wiele razy ona i Gabby szeptały o innych za ich plecami. Nic wyjątkowo złośliwego, po prostu oceniały stroje i dziwiły się, „czemu on jest z nią” albo odwrotnie, ale mimo wszystko. Nigdy nie myślała o tym, jakie to straszne być po drugiej stronie - kiedy to ciebie obgadują.

Zacząła przygotowywać grill. Nasypała węgiel, polała go podpałką, założyła kratkę. Zapaliła zapałkę, rzuciła ją i patrzyła jak niebiesko-pomarańczowy płomień rozprzestrzenił się po węgielkach.

Przyjemnie było czuć ciepło na zimnym podwórku - może, kiedy wszystko wróci do normy, mogłyby zrobić sobie z Gabby zimowe ognisko, piec pianki, śpiewać obozowe piosenki i w ogóle. Jeśli wszystko wróci do normy.

Powoli, wpatrując się w płomienie, Em przybliżyła rękę z Cor-dym do grilla. Postanowiła, że puści go na trzy. Raz. Dwa... Trzy.

Natychmiast zaśmierdziało palonymi syntetykami i odsunęła się szybko, ze zmarszczonym nosem patrząc na kurczące się kończyny Cordy'ego.

W pewnej chwili usłyszała coś w głębi ogródka. Co to? Jakieś zwierzę? JD? Uniosła wzrok, próbując dojrzeć coś przez dym i płomienie.

Nagle jej wełniany szalik zajął się ogniem. Wrzasnęła, z każdą sekundą czując gorąco coraz bliżej policzka. Czym prędzej rozwijała szalik, a płomienie lizały jej dłonie. Wreszcie udało się jej uwolnić; rzuciła szalik na ziemię i patrzyła, jak zgasł na śniegu, skwiercząc i uwalniając smugę czarnego dymu. Schyliła się, chwytając oddech i sprawdzając, czy nie poparzyła szyi. Jezu.

Kiedy jej serce już się uspokoiło, wzięła szczypcami zwęglone szczątki i wyrzuciła w zaspę. Zapadły się w nią, topiąc śnieg i uwalniając parę wodną. Przysypując zwłoki Cordy'ego śniegiem, dopóki nie ukryła ich całkiem pod czystą białą kołderką, kolejny raz przypomniała sobie słowa wiadomości, którą przeczytała tamtego wieczoru na placu zabaw: „Czasami przepraszam to za mało”.

Jadąc do Community Center, Em obciągnęła sukienkę, mając nadzieję, że wygląda wystarczająco przyzwoicie. Włosy zebrała w koczek, na nogi wsunęła baleriny. Chciała wyglądać tak skromnie, jak to tylko możliwe. Była spóźniona parę minut i miała nadzieję, że Chase już czekał za drzwiami, tak jak się umawiali.

Ale na parkingu nie było jego auta. Może mama go podrzuciła? Em wysiadła i pobiegła do budynku. Chase'a nie było przy drzwiach. Zastanawiała się właśnie, czy wejść dalej i rozejrzeć się za nim, czy udawać, że sprawdza wiadomości, gdy usłyszała głos Gabby.

Musiała wyglądać jak sarna oślepiąca przez światła samochodu, kiedy Gabby weszła z Żakiem pod rękę. Em sama nie wiedziała, które z nich było najbardziej wstrząśnięte. Na jej twarzy, była pewna, malowało się przerażenie; Gabs była wściekła; Zach wyglądał, jakby chciał się wtopić w ścianę.

- Co. Ty. Tu robisz? - Słowa Gabby były ostre niczym sztylety. Wyraźnie była zszokowana jej widokiem.

- Ja... ja... ja czekam na Chase'a. - To była jej szansa. Em gorączkowo szukała odpowiednich słów. Przyszła tu po to, żeby porozmawiać z Gabby, a nagle odebrało jej mowę.

- Nikt cię tutaj nie chce - syknęła zimno Gabby, przytulając się do Zacha, który obejmował ją ramieniem. Nie zabrał ręki. Em przygryzła wewnątrz policzków.

Mijali ich ludzie; wchodzili dwójkami i trójkami, a za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, wpadał zimny podmuch wiatru. Nagle Em poczuła przyływ siły. Gabby była jej, nie Zacha. I zasługiwała na coś lepszego. Obie zasługiwały. - Musimy pogadać, Gabs. - Em spojrzała na Zacha, ciekawa, czy coś powie. Paliły ją policzki. Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona. - Chcę ci wyjaśnić.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - oznajmiła Gabby lodowatym tonem. - Ani teraz, ani nigdy. Myślałam, że byłyśmy przyjaciółkami. Najlepszymi przyjaciółkami. - Głos jej się załamał, a Em poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Zach? - Em pierwszy raz zwróciła się do niego. Sama nie wiedziała, co to da. Ale miała już dość tego jego pustego spojrzenia.

W tym momencie Gabby wyciągnęła rękę i pchnęła Em w ramię. Mocno. Em zatoczyła się na wieszak z kurtkami. - Nie waż się do niego odzywać - powiedziała głośno Gabby. - Czemu nie odpuścisz, Em? Zostaw mnie w spokoju. Nie ufam ci. Nie chcę, żebyś więcej kręciła się przy mnie i Zachu. Koniec. A teraz się odsuń. - Wyminęła ją, a Em dostrzegła łzy w jej oczach. Zach podążył za nią jak zamroczona marionetka. Gabby ją popchnęła. Jej najlepsza przyjaciółka. Prawie siostra. Em zachwiała się; nagle zrobiło się jej słabo.

Z jednej strony, marzyła tylko o tym, by jak najszybciej stąd uciec, opuścić Ascension na zawsze. Z drugiej, chciała pobiec za nimi i kazać Zachowi opowiedzieć, co dokładnie zdarzyło się podczas przerwy świątecznej - ze wszystkimi szczegółami. Zmusić go, by się przyznał. By się przyznał, że był tak samo winny jak ona.

Jej telefon zapikot - wiadomość na poczcie głosowej. Pewnie Chase chciał poinformować, co się z nim dzieje.

„Cześć, to ja. - Głos Chase'a był jakiś inny, wyższy. - Chase, znaczy się. Słuchaj, nie dam rady. Sorry. Ale nie mogę. Coś mi wyskoczyło. Muszę to wyjaśnić. Muszę wiedzieć, wóz albo przewóz, rozumiesz? No więc... Nie jedź na imprezę. A jeśli już tam jesteś, to wracaj. Sorry, Em". Rozłączył się. Em odsłuchiwała nagranie jeszcze raz; zaniepokoiło ją. Chase był jakiś dziwny. Jakby się czegoś bał. Powinna do niego zadzwonić? Pojechać do niego do domu i dowiedzieć, co się, u licha, dzieje? Pomimo swojej upokarzającej sytuacji - nadciągali kolejni futboliści, z rodzinami i dziewczynami, i wszyscy gapili się na nią, stojącą samotnie w tej głupiej sukience przed wejściem - nie mogła przestać myśleć o Chasie. Musiała sprawdzić, czy nic mu, się nie stało. Zaczął padać śnieg; zapowiadali na dzisiaj kolejną śnieżycę. Jechała Main Street, kierując się na Route Four i autostradę. Jechała powoli, wycieraczki pracowały pełną parą, a ona nie mogła pozbyć się z głowy gniewnego głosu Gabby. Ani zapomnieć tego obojętnego wzroku Zacha. Usiłowała skupić się na Chasie, na jego chaotycznej wiadomości. Postanowiła, że najpierw pojedzie do niego do domu, a jeśli go tam nie będzie, to... cóż, jeszcze nie wiedziała, co robi. Zobaczymy, pomyślała.

Nagle, tuż przed estakadą, coś wbiegło na jezdnię. Gwałtownie wdepnęła hamulec, ale choć wytrzymała wzrok, nie zobaczyła niczego poza wirującymi płatkami śniegu. Rozejrzała się na boki.

- Pomocy - usłyszała słaby głos przez szybę. Nadal niczego nie zauważyła. Wyłączyła wycieraczki i opuściła okno, wytyczając słuch, ale słyszała jedynie wiatr i skrzypiące gałęzie. Modliła się, by przejechał jakiś samochód, ale ani z przodu, ani z tyłu nie widziała żadnych świateł. Ani na górze, nad swoją drogą. Wreszcie zrozumiała utyskiwania ojca, że w Ascension nie dbali o najbardziej podstawowe sprawy - bardzo by się jej teraz przydała działająca latarnia uliczna.

- Halo? - zawołała w ciemność. W tym momencie usłyszała słabe trzaski i zapaliła się najbliższa latarnia. Dokładnie pod nią,

zaledwie ze trzy metry od samochodu Em, leżała drobna dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, ubrana w cienką szarą sukienkę i małą marynareczkę. Miała podwiniętą nogę.

- Och, całe szczęście - odezwała się nieznajoma ze słabym uśmiechem. - Myślałam, że już nikt się tu nie zjawi.

Em otworzyła drzwi i się rozejrzała. Nic dziwnego, że dziewczyna tak myślała. Musiała leżeć tu od dawna - skoro śnieg zdążył już przysypać ślady stóp; wokół niej była nietknięta biel.

Skąd ona się tu wzięła?

- Coś ci jest? - Em wysiadła z auta i zrobiła parę kroków w jej stronę.

- Boli mnie noga - poskarżyła się dziewczyna, wskazując na lewe kolano. - Szłam i potrafił mnie samochód. Po prostu odjechał. Nie wiem, co robić. Telefon wpadł mi w śnieg i nie działa.

Było coś niepokojącego w tej dziewczynie, w tym wszystkim. Em nie mogła pozbyć się wrażenia, że już ją gdzieś widziała - nie w szkole, ale może na mieście albo w Portland? Jej szare oczy wydawały się znajome. Coś mówiło Em, że powinna uciekać, i to jak najszybciej!

Ale co miała zrobić? Zostawić ranną na poboczu? To dopiero byłoby świetne dla karmy. Najpierw zadaje się z chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki, potem olewa leżącą w śniegu ofiarę wypadku. Doprawdy, pięknie by to wyglądało.

- Zadzwoń na 911 - powiedziała Em, kucając przy niej.

- Nie trzeba. - Nieznajoma usiadła, krzywiąc się lekko. - Chyba dam radę wstać. Podrzuciłabyś mnie do szpitala?

Em wahała się chwilę.

- Jasne.

- Super. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niej. Była spokojna i zdawała się nie przejmować swoją kiepską sytuacją. Zachowywała się, jakby Em zaproponowała, że zrobi jej pranie, albo wpuściła ją przed siebie do kolejki w markecie.

- Mam do kogoś zadzwonić? Może do twoich rodziców albo jakiegoś przyjaciela?

„Przyjaciela”. Przypomniała sobie o Chasie. Może przesadzała. Ostatnie tygodnie były dla niego ciężkie, więc nic dziwnego, że dziwnie się zachowywał. Owszem, zaprzyjaźnili się ostatnio, ale przecież nie byli bliskimi przyjaciółmi, i Chase mógłby być niezadowolony, że wtykała nos w jego sprawy. I choć jechała do niego do domu, to przecież nie wiedziała, czy on tam w ogóle będzie. Postanowiła, że zadzwoni do niego, jak tylko odstawi tę dziewczynę do szpitala.

- Nie, nie trzeba — odparła dziewczyna, przytrzymując się ręki Em. - Sama zadzwonię ze szpitala. - Miała lodowate dłonie. Długo musiała już tu leżeć. Em była zaskoczona, że jako jedyna zatrzymała się, by pomóc. Może, mimo wszystko, wcale nie była aż taka okropna.

Pomogła Meg - tak się jej przedstawiła - doczłapać do samochodu. Była taka drobna, wydawała się leciutka jak piórko.

Zanim przekręciła kluczyk w stacyjce, wysłała krótki esemes do Chase'a:

„Martwię się, zadzwoń do mnie, okej?”

- Mam nadzieję, że nie odrywam cię od niczego - odezwała się Meg, kiedy ruszyły do szpitala w centrum. Mama Em miała tam czasem dyżury.

- Nie, w porządku. Jechałam do znajomego... Może zaczekać.

- Na pewno zrozumie - szepnęła Meg, uśmiechając się do Em w ciemności. Emily nie powiedziała nic więcej. Nie była w zbyt rozmownym nastroju.

Kiedy zatrzymały się przed szpitalem, Em spojrzała na swoją pasażerkę.

- Nie pogniewasz się, jeśli tu się rozstaniemy? Mama ma dzisiaj dyżur - skłamała. Wiedziała, że to nieuprzejme, ale miała to gdzieś. W tej dziewczynie było coś dziwnego i Em chciała jak najszybciej pozbyć się jej z samochodu. - Nie chce mi się wyjaśniać jej, czemu jeżdżę po mieście w taką pogodę.

- Nie ma sprawy - zgodziła się Meg z uśmiechem. - Rozumiem. Jakoś doczłapię do poczekalni. Dzięki za pomoc. Nie zapomnę ci tego.

Em skinęła głową, a dziewczyna wysiadła z auta. Utykała, ale była w stanie iść.

- Powodzenia. Mam nadzieję, że z twoją nogą to nic poważnego.

Cofając, Em zerknęła w lusterko wsteczne, ale nie zobaczyła Meg. Nie mogło być tak źle z jej nogą, jeśli jest już w środku.

Z jedną ręką na kierownicy Em szybko sprawdziła telefon. Chase nie dzwonił. Spróbowała się z nim skontaktować, trzy razy pod rząd, ale za każdym od razu włączała się poczta głosowa. Samochodem nieco zarzuciło i Em na moment wstrzymała oddech.

O nie, nie będzie dziś miała żadnego wypadku. Nie ma mowy. Dopiero co odebrała auto z warsztatu. Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Postanowiła, że pojedzie prosto do domu - to będzie najlepsze wyjście, biorąc pod uwagę zdecydowanie złe warunki drogowe. Miała nadzieję, że Chase też doszedł do tego wniosku i jest już w domu. Wyłączyła telefon, żeby się więcej nie rozpraszać.

Wyjeżdżając z parkingu, jeszcze raz obejrzała się za Meg i zauważyła, że dziewczyna coś zgubiła - czerwoną wstążkę. Wysiadła szybko z auta, żeby ją podnieść. Zassała powietrze. Czerwona wstążka... Zrobiło się jej zimno i wypuściła wstążkę, która wylądowała z powrotem na ziemi; leżąc w śniegu, wyglądała niczym strużka krwi. Serce jej kołatało. Czerwona wstążka. Coś jej to mówiło. Tylko co? Nagle sobie przypomniała: Gabby mówiła, że dziewczyna, która powiedziała jej o niej i Zachu, miała czerwoną wstążkę. „Ofiara mody z czerwoną wstążką”. Tak ją opisała. Em wiedziała, że nie była to jedyna czerwona wstążka w Maine, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że Meg ma jakiś związek z całym tym bałaganem.

Nawet, kiedy już bezpiecznie dotarła do domu i opatuliła się - pod samą szyję - swoją grubą, białą kołdrą, nadal się trzęsła.

Patrzyła na padający za oknem śnieg, modląc się, by nie zobaczyć tam niczyjej twarzy. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział Chase - że czasem pewnych rzeczy nie da się odkręcić, nieważne jak bardzo by się chciało. Rzuciłaś śnieżkę, a schodziła cała lawina. Nie do zatrzymania. Myślała też o tym, co mówił o karmie. Może to prawda, że ludzie dostają to, na co sobie zasłużyli? Em się wzdrygnęła. Miała nadzieję, że jednak nie.

## Rozdział 168

Zapłakany, zduszonym głosem Ty poprosiła Chase'a o spotkanie na wiadukcie nad autostradą. Natychmiast się zgodził. Łatwy jak zawsze.

Z jednej strony, chciał znaleźć w sobie dość siły, by ją za wszystko ochrzanić - nazwać ją suką i z nią skończyć. Nie mógł pozwolić, by wykpiła się swoimi słodkimi gadkami. Nie tym razem. Nigdy nie zapomni, jakie to uczucie być totalnie obnażonym przed wszystkimi, wystawionym na ich kpiny - jakby dotykały cię setki brudnych rąk jednocześnie. Coś obrzydliwego.

Ale z drugiej strony, czuł przeszywający smutek, przypominając sobie tamte uczucia, kiedy patrzył w pełne lęku oczy Ty. Bał się, że jeśli odetnie się od Ty - co miał pełne prawo zrobić, co powinien zrobić - straci nie tylko ją, ale i część siebie. Dzięki niej zobaczył, jak by to było się uwolnić od wiecznej niepewności, wyluzował.

Czuł się szczęśliwy.

A potem mu to zabrała. Wmanewrowała go, by zaryzykował, i wyszło, co wyszło. I właśnie dlatego zwykle był taki ostrożny, planował wszystko ze szczegółami, obsesyjnie studiował swój playbook. Bo gdy traciłeś kontrolę - albo, co gorsza, sam z niej rezygnowałeś - obrywałeś.

Śnieżyło, gdy jechał na wiadukt; miał wrażenie, jakby zimne powietrze mroziło mu myśli, jeszcze ciężiej było mu się skupić. Martwił się, że zaczyna wariować. Wyciągnął telefon, żeby zadzwonić do Em; musiał powiedzieć jej, że nie przyjedzie na Święto Futbolu, ale też miał nadzieję, że usłyszenie głosu innego człowieka pomoże mu się uspokoić. Nie odebrała. W głowie miał taki chaos, że nawet nie pamiętał, co nagrał jej na pocztę.

Nie wiedział, czemu Ty chciała spotkać się na kładce, nie wiedział, co jej powie, jak wyjaśni, że w zasadzie zrujnowała mu życie. Chciał po prostu mieć to za sobą i pójść dalej. Zakończyć to. To właśnie musiał zrobić. Zakończyć to.



Oczywiście, w chwili gdy ją zobaczył, wiedział już, że nie będzie mu łatwo wytrwać w złości, uświadomić jej ból zdrady. Wyglądała zjawiskowo w tę śnieżną, księżycową noc. Jej oczy błyszczały, rude włosy połyskiwały, jakby były w nie wplecione złote pasma. Miała na sobie długą bordową sukienkę, która powiewała na wietrze. Oparta o barierkę, patrzyła na jadące dołem samochody. Odwróciła się do niego, gdy wysiadł z auta.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś, Chase - powiedziała cicho.

- Jasne, że przyjechałem. - Podeszedł do niej powoli. Tak naprawdę to interesowała go odpowiedź tylko na jedno pytanie. - Dlaczego, Ty? Czemu rozwiesiłaś te zdjęcia? Byłem... byłem dla ciebie miły.

Myślałem, że między nami coś jest. Czemu to zrobiłaś?

- Jestem okropna - szepnęła. Była dziwnie spokojna; zacisnęła usta. - Jestem okropna i zupełnie nie zasługuję na twoją miłość. Przykro mi.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie - mruknął, zwijając dłoń w pięść. - Pytam cię: czemu? Co zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć?

- Wolałabym, żeby było inaczej, Chase - odezwała się przerażająco spokojnym głosem. - Wolałabym, żebyśmy nigdy się nie spotkali.

Zaczęła wdrapywać się na barierkę. Kiedy to zauważył, chciał złapać ją za rękę. Ale jego dłoń zamknęła się na powietrzu.

- Ty, przestań. Zejdź. - Narastała w nim panika. - Co ty robisz?

Była już po drugiej stronie barierki; trzymając się jej, wychylała się do tyłu, jak na trapezie. Tylko czubki jej butów były na kładce - pięty wisiały w powietrzu.

- To już koniec, Chase. - Uśmiechnęła się. Dziwnym uśmiechem, który Chase widział po raz pierwszy. Nagle mógł myśleć wyłącznie o Sashy. Stojącej na tym występie. Nie było z nią nikogo, kto by ją błagał o powrót na bezpieczną stronę barierki.

- Ty, proszę. Przerażasz mnie. Wróć tutaj i porozmawiajmy. Proszę. - Chase wyciągnął rękę. Nie chciał jej schwycić; bał się,

że mógłby przypadkiem ją zepchnąć. Starał się, by jego ramiona wyglądały pewnie i zachęcająco, jak bezpieczna przystań. Ty trzymała się już tylko jedną ręką. Drżała na wietrze i Chase miał wrażenie, że wystarczy jeden silniejszy podmuch, by spadła. Z jej ust wydobył się przeraźliwy dźwięk, przypominający psi skowyt. - Ty - mówił, bliski łez. - Błagam cię. Nie ma znaczenia, co zrobiłaś... chcę tylko, żebyś tu wróciła.

- Ale to ma znaczenie, Chase. Wszystkie nasze czyny mają znaczenie. Nie rozumiesz tego? Ciemność i padający śnieg utrudniały widzenie, nie wspominając o myśleniu. Kiedy tak stał, z rozpostartymi ramionami, Ty zaczęła migać. Zamrugał, próbując odzyskać ostrość widzenia. Kiedy ponownie otworzył oczy, to nie Ty wychylała się nad autostradą. Tylko Sasha.

Przypominało to trochę migoczący obraz w starym telewizorze - raz widział Saszę, raz Ty. Jeszcze nigdy Chase nie był aż tak przerażony. Sasha - Ty - Sasha - Ty.

Boże, co ja zrobiłem?

Zalała go fala wspomnień.

Miał ją na oku. Obserwował ją i czekał, sam tak właściwie nie wiedząc na co. Aż na początku trzeciej klasy chłopacy z drużyny wymyślili sobie konkurs - spróbują zdobyć nagie fotki dziewczyn ze szkoły, które będą wrzucać na prywatną stronę, tylko dla oczu członków drużyny. Kto wrzuci najwięcej fotek, zdobędzie nagrodę. Chase obrał sobie za cel Saszę Bowlder.

W głębi duszy wiedział, że nigdy jej nie przeboleał; nadal pamiętał to uczucie odrzucenia i upokorzenia przez kogoś, kto kiedyś był jego najlepszą przyjaciółką.

Zaczął uwodzić ją w sieci, korzystając z fałszywego nicka i konta, licząc, że bez większego problemu zdobędzie to, czego potrzebował.

Z początku była nieśmiała, ale stopniowo ich internetowe rozmowy stawały się coraz głębsze, bardziej intymne.

„Czasami myślę o swoim dorastaniu, o tym, czy tamte warunki mnie zahartowały”, napisała jednego popołudnia.

„Nie masz czasami wrażenia, że to wszystko jest podstępem? -zapytała innego dnia. - Że leży przed tobą, na wyciągnięcie ręki, czekając tylko, by zniknąć?"

Po jakimś czasie większość chłopaków zapomniała o ich konkursie. Ale nie Chase. I nie przerwał tego. Tygodnie przeszły w miesiące. Dziwnie to brzmi, ale lubił z nią rozmawiać, bardziej niż z kimkolwiek innym. Rozumiała go. Czasami zapominał, że to miało być dla jaj - i że ciągle jej nie wybaczył, jak go podle potraktowała w siódmej klasie. Cokolwiek między nimi było, ona też to czuła. Dopuszczała go do siebie. Opowiadała mu o swoich lękach. Obawach. Marzeniach.

A potem, zupełnie niespodziewanie, urwała to. Oznajmiła -na tydzień przed tym, jak skoczyła - że nie będzie z nim więcej rozmawiać w sieci. Napisała, że za bardzo się zbliżyli i że nie wiedziała, co z tym zrobić. Nie chciał się z nią spotkać, a ona nie mogła już wytrzymać samotności. Nie rozumiał jej - nikt jej nie rozumiał. Była zmęczona - miała dość tego wszystkiego. No i go odtrąciła.

Znowu.

Chase był wściekły. Przepęłniał go pałący gniew. Chyba pierwszy raz w życiu zepsuł podanie. Potem poszedł na hamburgery z Żakiem i chłopakami, a oni jak zwykle zachowywali się jak debile; kiedy wstał, żeby przynieść serwetki, roześmiali się i nazwali go swoim służącym. Jego gniew pęczniał.

Wrócił do domu i zaatakował Saszę.

Jestem śmieciem, tak? Niczym więcej?

On też miał dosyć. Bycia poniżanym przez wszystkich.

Postanowił się zrewanżować.

Zawahał się przez chwilę, nim kliknął w „załaduj". Coś mu mówiło, że robi źle.

Ale zignorował to. Kliknął i wyznania Sashy wraz z fotkami znalazły się na facebookowej stronie Ascension High School.

Nim obudził się następnego ranka, admin zdjął już fotki, ale cel został osiągnięty. Ci, którzy nie zdążyli zobaczyć ich wieczorem, słyszeli o nich albo widzieli zrzuty ekranu. Kiedy Sasha przyszła do szkoły, została potraktowana jak dziwadło z cyrku

objazdowego. Ludzie gapili się na nią, pokazywali ją palcami, przedrzeźniali. Spełnił się jej najgorszy koszmar. Wiedział to. Bo teraz to był jego najgorszy koszmar.

Chciało mu się wymiotować. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił, że był taki głupi. Nie rozumiał, z czym igrał. Nie myślał o konsekwencjach.

To jego wina. Był tego pewien. Wiedział to od początku. Wszyscy kpili z Sashy. Ale to on pchnął ją do tego skoku. A teraz Ty wychylała się niebezpiecznie nad autostradą. Nie mógł stracić także jej. Nie miał innego wyboru, jak sam przeleżeć przez barierkę i namówić ją do powrotu. Metal był śliski od śniegu. Czuł podmuch wiatru za każdym razem, gdy dołem śmignął samochód. Miał zgrabiałe palce i ciężko mu było się przytrzymywać. Do tego występ za barierką miał jakieś trzydzieści centymetrów szerokości. W padającym gęstym śniegu Chase ledwo widział Ty. Jej twarz do złudzenia przypominała twarz Sashy.

- Proszę, Sasha... Ty... przepraszam. Nie wiem, co jest grane i nie obchodzi mnie to. Po prostu wróć ze mną na drugą stronę, okej? Zapomnimy, że to wszystko kiedykolwiek się wydarzyło.

- Wystarczy jeden pocałunek... - zawyła Ty.

- Co? - Chase przemieszczał się powoli w jej stronę. Poczuł smagnięcie wiatru, pod nimi przetoczyła się ciężarówka.

Ty spojrzała na niego. Wydawało mu się, że po jej policzkach ciekły łzy.

- Proszę, pocałuj mnie - powiedziała.

- Jeśli to zrobię, skończysz z tym? - Trzęsły mu się nogi. Palce u dłoni miał tak zziębnięte, że ledwie czuł barierkę.

- Tak - szepnęła. - Obiecuję.

Dzieliło ich zaledwie kilkanaście centymetrów. Nachylił się i pocałował ją. Ten pocałunek był bardziej intensywny od ich pierwszego. Przechodziły go dreszcze, zimne i gorące na przemian. Przestał myśleć. Oderwał rękę od barierki, żeby złapać Ty za szyję i przyciągnąć ją bliżej. Ale ona stawiała opór. Zaczerpnął tchu.

Wtedy poczuł coś w ustach. Jakieś łaskotanie, jak wtedy, gdy obudził się ze snu o piórze, tyle że teraz wydawało mu się, jakby miał w gardle cały wachlarz z piór. Zakaszał gwałtownie, prawie tracąc grunt pod nogami. Zakaszał ponownie, plując. Z jego ust wypadł czerwony storczyk.

W tym momencie Chase uświadomił sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, Ty nie stała na ziemi. Nie dotykała zimnego betonowego występu nawet czubkami palców. Unosiła się w powietrzu.

Druga rzecz, jeszcze bardziej szokująca od pierwszej: Ty wcale nie była piękna. Miała szare, przezroczyste ciało, jej włosy były osmalone, usta czarne, a oczy wyglądały jak dwie dziury.

- „Czasami przepraszam to za mało” - wyszeptała. Jej twarz znów była spokojna. Przypominała nocne morze: kto wie co czaiło się pod powierzchnią wody.

Zassał powietrze. Próbował odsunąć się od niej, ale nie mógł znaleźć miejsca na postawienie nogi - występ był taki wąski.

Usiłował zapytać: „Kim jesteś, czym jesteś?” - ale choć poruszał ustami, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

A potem posłała mu całusa. Podmuchał, jaki temu towarzyszył, chyba nie mógłby już być delikatniejszy, ale wystarczył, by Chase zatoczył się do tyłu.

Wtedy uświadomił sobie trzecią rzecz. Nie trzymał się już barierki. Spadał z wiaduktu.

Sasha.

Było to ostatnie słowo, jakie pomyślał.

**Akt III**  
Gniew furii  
lub  
Skrucha

## Rozdział 19

Krótkie nabożeństwo żałobne wydawało się powierzchowne i udawane, jakby ludzie unikali mówienia o tym, co tak naprawdę się stało i co miało prawdziwe znaczenie. Em wyszła wcześniej. Odpuściła sobie też szkolny apel, który został zwołany w ostatniej chwili, by pomówić o tym, co czuli uczniowie w związku ze śmiercią Chase'a i samobójczą próbą Sashy. Uczniom zostało zapewnione wsparcie psychologiczne - kto potrzebował, mógł skorzystać.

Em wiedziała, że oni wszyscy chcieli dobrze, ale miała wrażenie, że dorośli byli tak samo skołowani jak młodzież. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć komuś o Ty, tajemniczej dziewczynie, która pojawiła się w Ascension, tuż zanim to wszystko się zaczęło. O dziewczynie, na której punkcie Chase dostał świra. Ale nie wiedziała, komu miałyby to powiedzieć.

Nie minął nawet tydzień nowego roku, a tyle złego się już stało.

Częściowo obwiniła siebie. Wiedziała przecież, że coś się z nim dzieje. Wiedziała, ale nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy, by go znaleźć. A teraz już nie żył. Nie mogła przestać myśleć o tamtym wieczorze. Co on myślał? Po jego śmierci parę razy odtworzyła nagraną przez niego wiadomość, aż jego głos stał się przerażający i ją skasowała. „Coś mi wyskoczyło”, powiedział.

Ale co?

Od śmierci Chase'a męczyły ją koszmary senne: w większości sny były chaotyczne, pełne bezkształtnych cieni. Ale ten z zeszłej nocy był inny, bardzo wyraźny. Jechała pokrytą śniegiem drogą, tą

samą, na której spotkała Meg, dziewczynę z czerwoną wstążką. Jechała do Chase'a. Widziała go w oddali, na końcu rozświetlonego tunelu z gałęzi drzew. Krzyczał i wymachiwał rękami, ale ona go nie rozumiała. Wiedziała tylko, że coś nie gra i że ona musi się tym zająć. Ale gdy była już niemal na tyle blisko, by go zrozumieć, przed samochodem wyrosła Meg i Em musiała wdepnąć hamulec. Wpadła w poślizg i nie panując nad autem, coraz bardziej pogrążyła się w ciemności. Obudziła się z krzykiem. Śmierć Chase'a nie dawała jej spokoju. Wszyscy mówili, że to było samobójstwo - jej rodzice, nauczyciele, wszyscy w szkole. No i tak to wyglądało. Ale szczegóły tamtego wieczoru, zwłaszcza obecność Meg... to było trochę dziwne.

Siedziała teraz przy kuchennym stole, mechanicznie mieszając owsiankę. Zupełnie nie była głodna, ale mama zostawiła jej w kuchni liścik: „Proszę, zjedz coś, Em. Kochamy cię”.

Unosząc łyżkę z owsianką do ust, doznała olśnienia. Już wiedziała, co było nie tak tamtego wieczoru. Kiedy tak ciągle wspominała Meg, przypomniawszy sobie, gdzie ostatnio słyszała to imię. Gdy Chase mówił o dziewczynie, która wpadła mu w oko. Powiedział, że miała dwie kuzynki - jedna z nich miała na imię Meg. Usiłowała sobie przypomnieć imię tej drugiej... Miała je już na końcu języka. .. Łyżka wypadła jej z ręki, gdy sobie przypomniawszy. Ali. Ta druga dziewczyna miała na imię Ali. Spotkała je obie. Meg na drodze, Ali w pociągu. To nie zbieg okoliczności. Była tego pewna.

Podczas lunchu Em siedziała w stołówce z kanapką z indykiem, przy stoliku najbliżej kubłów na śmieci. Wcześniej jadała w bibliotece, chowając się przed gniewnymi spojrzeniami Gabby i usiłując skupić na pracy domowej. Ale dziś biblioteka była zarezerwowana przez pana Landona na zajęcia z historii Ameryki. W związku z tym, że Landon pozbawił ją dotychczasowej kryjówki, Em postanowiła wypróbować do tego celu stołówkę.

Okazało się, że to zły pomysł. Gabby siedziała przy ich zwykłym stoliku, w samym centrum, rozprawiając z Lauren o klubie pomocy niedoszłym samobójcom, który chciała założyć. Gabby



nawet nie spojrzała w jej stronę, tak samo Fiona i Lauren, i wszyscy z ich paczki; Gabby wyraźnie dała do zrozumienia, że Em wypadła z gry. Zach nie pojawiał się w szkole od paru dni, ale Em uświadomiła sobie, nie bez zdumienia, że choć zastanawiała się, jak sobie radził ze śmiercią najlepszego przyjaciela, to wcale nie tęskniła za jego widokiem. Jego zachowanie podczas święta przepełniło kielich goryczy. Czy tak już będzie do końca jej szkolnej kariery? Zero przyjaciół, zero chłopaka, do tego nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć, co przydarzyło się jej i innym. Gdyby tylko ona i JD mieli przerwę na lunch w tym samym czasie. JD był właśnie na chemii.

- Myślę, że Singer był gejem - powiedział ktoś, odrobinę za głośno.

Natychmiast przykuło to uwagę Em. Odwróciła się. Dwa stoliki dalej siedziało paru chłopaków z drużyny piłki nożnej. Przed nimi stały tace z ich lunchami: wsuwali frytki i kanapki z Mopsikami. Jedli łąpczywie, a że przy tym gadali, na stole lądowały drobinki jedzenia. Tak jak wszyscy inni snuli swoje teorie na temat Chase'a.

- Myślicie, że bał się ujawnić? - zapytał drugoklasista, który chyba miał na imię Charlie.

- Tak... musiało o to chodzić. Te zdjęcia, ta farba i w ogóle... No i wiersze? Normalnie *Tajemnica Brokeback Mountain* - rechotał Sean Wagner. Co za idiota, Emily poczuła obrzydzenie. Po co on w ogóle żył? Jego istnienie nie dawało nic światu.

- Zamknij się, człowieku - rzucił lan. - On nie żyje. Nie mów tak o nim.

Em odłożyła kanapkę.

Do rozmowy włączył się kolejny chłopak.

- Słyszeliście, że znaleźli przy nim jakiś dziwny kwiat? Zrobiło się jej zimno.

- Jezu. - Chłopacy odsunęli się nieco od siebie, jakby samo mówienie o kwiatach mogło uczynić ich obiektem kpin.

- Poważnie?

- No. Trzymał kwiat. Czerwony. Myślisz, że kogoś znasz, a wcale tak nie jest. Chase Singer, ludzie. Kto wie co mógłby osiągnąć? Wszystko było przed nim... A teraz nie żyje.

Czerwony kwiat. Czerwony kwiat. Czerwony kwiat. Z walącym sercem, Em usiłowała zawinąć kanapkę z powrotem w lepką folię. Umazała palce keczupem. Próbowwała przekonywać siebie, że ten kwiat nie musiał nic znaczyć - zbieg okoliczności... albo zwykła plotka.

Ale w głębi duszy wiedziała. Czerwony kwiat. Jak ten, który przypięła do swojej torby - który pojawił się znikąd w jej samochodzie, kiedy po raz pierwszy pojechała do Zacha; w magiczny sposób powrócił, po tym jak go wyrzuciła. Podobnie jak z tamtą wstążką. Wiedziała, że w Maine sprzedają całe mnóstwo czerwonych kwiatów. Ale i z jednym, i z drugim to było coś więcej niż zbieg okoliczności. Czowała to. Trzeba rozgryźć, co jest grane. Podniosła się chwiejnie. Najpierw musiała stąd wyjść.

Łup! Odwracając się, zaliczyła kolizję z czyjąś tacą. Zalała ją cola. Rzuciła okiem na zaplamioną koszulkę i ruszyła szybko do wyjścia.

Prawie biegła korytarzem, by jak najszybciej opuścić budynek. Na parkingu opatulila się szalikiem, zastanawiając się, co zrobić. Gdzie szukać odpowiedzi? Nagle, zupełnie jakby ktoś szepnął jej to do ucha, wiedziała już, od czego zacząć - pojedzie do domu Chase'a.

Nikt nie odpowiedział, kiedy Em zapukała do drzwi przyczepy. Wcale nie spodziewała się, że ktoś tam będzie. JD powiedział jej - nagle był bardziej zorientowany w tym, co się działo w Ascension, od niej - że zaraz po pogrzebie mama Chase'a wyjechała do Bangor, do swojej matki, gdzie miała zostać przez jakiś czas.

Em bez problemu uchyliła szybkę, wsunęła rękę do środka i przekręciła gałkę. Następnie delikatnie pchnęła metalowe drzwi przyczepy. Zaskrzypiały, ukazując ciemne wnętrze.

Ostrożnie weszła do przyczepy, ponownie pytając, czy ktoś tam jest. Tak na wszelki wypadek. Żadnej odpowiedzi. Zamknęła za sobą drzwi. Poluzowała szalik. Było zaskakująco ciepło. Powoli, palec po palcu, ściągnęła rękawiczki, starając się uspokoić. W przyczepie panowały cisza i bałagan. Mama Chase'a najwyraźniej wyjeżdżała w pośpiechu. W zlewie były brudne naczynia -zaschłe resztki jedzenia przyciągnęły małą kolonię karaluchów.

Em odwróciła wzrok. Skoro już tu była, nie chciała od razu wychodzić. Na stoliku do kawy wały się jakieś papiery, zmięte chusteczki i stała buteleczka leku na receptę. Tu i ówdzie leżały bukiety kondolencyjne; powietrze było ciężkie od ich duszącego słodkiego zapachu. Żadnych tajemniczych czerwonych kwiatów, zauważyła z ulgą Em. Ale wszystko było przesiąknięte żalobą, która niczym zimno przenikała ją do szpiku kości.

Wcześniej tylko raz była u Chase'a, tamtego wieczoru, kiedy pobił się z Żakiem, ale łatwo znalazła jego pokój. W końcu to była przyczepa, nie pałac. Przez drzwi na końcu korytarza zobaczyła łóżko przykryte kwiecistą narzutą. Obok była łazienka. Zostawały już tylko drzwi.

W pokoju Chase'a na ścianach wisiały plakaty Patriotsów, a na szafce stały pozłacane trofea, uporządkowane według wielkości. Panował tam porządek jak w pudełeczku. Pod ścianą leżały ciężarki. Łóżko było posłane. Nie chciało się wierzyć, że chłopak w ogóle się w nim mieścił. Jej wzrok padł na playbook, leżący z boku biurka; zdziwiła się, że zwilgotniały jej oczy, gdy pogładziła dłonią okładkę.

Podeszła do szafki i przejechała palcami po jego trofeach. Odsunęła nieco górną szufladę, ale zaraz ją wsunęła, bo były w niej same kraciaste bokserki. Ponownie zerknęła na biurko i uniosła brwi, gdy zauważyła, że laptop był włączony - ekran zasnuty czernią, ale w rogu migało światełko. Chase też musiał opuścić przyczepę w pośpiechu. Nawet nie wyłączył komputera.

Zaczynała czuć się głupio, że przyszła tutaj. Nie była Nancy Drew, nie rozwiązywała zagadek detektywistycznych. Nie wiedziała nawet, czego szukała. Może Chase po prostu skoczył z wiaduktu i tyle.

Obok laptopa leżały jakieś papiery i Em podeszła, żeby je przejrzeć. Test z matmy, kserówki z biologii, jakaś stara ulotka. Nic szczególnego. Oglądała kartkę po kartce, odkładając je na klawiaturę. Nagle komputer obudził się z drzemki - musiała przypadkiem wcisnąć jakiś klawisz. Zerknęła na ekran i zobaczyła, że Chase

nawet nie wylogował się z poczty. Ale nie było to konto Chase-[Sascension.edu](mailto:Sascension.edu), z którego zawsze korzystał. To konto nazywało się TajemniczyWielbiciel i poza spamem oraz paroma newsletterami w odebranych wiadomościach znajdowały się mejle tylko z jednego adresu: [SashaBascension.edu](mailto:SashaBascension.edu).

Sasha B.? Do ich szkoły chodziła tylko jedna Sasha B. - Sasha Boulder.

Em ściągnęła brwi, biorąc głęboki oddech. Odgarnęła włosy do tyłu i usiadła ostrożnie przy biurku. Wahala się przez chwilę z dłonią zawieszoną nad myszką. A potem otworzyła mejl z najświeższą datą i przeczytała:.

„Nie mogę już tego dłużej ciągnąć. Nie możesz dać mi tego, czego potrzebuję. Nie chcę mieć złamanego serca, więc odpuszczam”.

Była to odpowiedź na wiadomość od TajemniczegoWielbiciela:

„Hej, piękna. Gdzie się podziewasz? Nie odzywasz się od tygodnia. Masz nowego chłopaka czy jak? Myślałem, że między nami wszystko gra”.

Z walącym sercem Em czytała kolejne wiadomości. Zjechała na sam dół i czytała je w kolejności chronologicznej, krok po kroku odkrywając tę niesamowitą historię.

Pierwszy raz odezwał się do niej parę miesięcy temu. Napisał, że się w niej zabujał, ale nie może jej zdradzić swojej tożsamości. Wzbudził jej zainteresowanie, można nawet powiedzieć, że była tym podjarana. Ich pierwsze mejle były lekkie, we flirciarskim tonie.

„Chodzimy razem na jakieś zajęcia?” - zapytała.

„Może tak, a może nie, jeśli chcesz wiedzieć, musisz się postarać”, odpowiedział, puszczając oczko.

Posunęła się do tego, że wysłała mu swoje zdjęcie w masce balowej - i poprosiła go o to samo. Ale on się opierał. Po pewnym czasie zaczęli poruszać poważniejsze tematy. Zaczęli się do siebie zbliżać.

„Ty mnie naprawdę rozumiesz, Sasha. Nie to, co większość tych nadzianych dzieciaków”.

„Jestem jedną z nich. Ale Ty widzisz we mnie coś więcej”, odpowiedziała.

Na końcu mejla był wiersz, ten sam, który swego czasu pojawił się na facebookowej stronie Ascension High School: „Wiem, że nie jestem piękna, wiem, że jestem przeciętna, ale ty i ja jesteśmy z tej samej gliny ulepieni i sprawiasz, że promienieję”. Do mejla załączyła również zdjęcie, takie bardziej artystyczne, w sepii. Patrzyła na nim w kamerkę internetową i widać było jej nagie ramiona. Emily zadrżała; Sasha wyglądała tak bezbronne. Zwierzała się, jak bardzo jest samotna i że nie rozumie, czemu nie lubi jej nikt poza Dreą. Napisała: „Najgorsze, że gdyby ci »fajni« znowu chcieli się ze mną przyjaźnić, to nie wiem, czy nie odpuściłabym sobie Drei”.

„Odpuściłabyś. Tak to już jest”, odparł Chase.

Po jakichś dwóch miesiącach Sasha zaczęła mieć dosyć tej tajemniczości. Chciała czegoś więcej.

„Chcę wiedzieć, kim jesteś. Możemy się spotkać?”

Wydawała się naprawdę zdesperowana. Napisała, że zaczęła ćwiczyć, bo chciała mu się podobać, kiedy w końcu się spotkają.

Ale Chase odrzucił propozycję:

„Po co mamy psuć zabawę? Spotkanie sprawi, że zniknie cała tajemniczość”.

Kiedy znów napisała, wydawała się przybita.

„Zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko nie dzieje się wyłącznie w mojej głowie”.

Potem zamilkła na tydzień. Wtedy Chase pisał do niej wiadomości typu:

„Halo?”

Hej, co z tobą?

Zaczynam myśleć, że już mnie nie lubisz...” Wreszcie, chłodny mejl od Sashy, w którym z nim zerwała. A potem jej fotki i mejle pojawiły się na Facebooku. To był Chase. Chase zdobył zaufanie Sashy, a później je brutalnie zdeptał. I Ty zrobiła mu dokładnie to samo.

Boże. Chase zmarł dokładnie w taki sposób, w jaki Sasha próbowała skończyć ze sobą.

Uświadomienie sobie tego przyprawiło ją o gęsią skórkę, jej oddech przyspieszył. Chase. Ty. Sasha.

Ich losy były niemal jak lustrzane odbicia. Oboje zostali obnażeni,

choć w trochę inny sposób. Co powiedział wtedy Chase w starej sali gimnastycznej? W dniu swojej śmierci? Że może ludzie dostają to, na co sobie zasłużyli.

Z piekącymi oczami Em wyszła z pokoju, a potem z przyczepy. Nie mogła przestać myśleć o czerwonym kwiecie. Jeśli rzeczywiście karma dopadła Chase'a, to wołała nie myśleć, co czekało na nią.

Piętnaście minut później zjechała na pobocze, próbując złapać oddech. Miała spocone dłonie. Zbyt się bała, by płakać, było jej zbyt zimno, by drzeć. Dziwne kuzynki. Śmierć. Zdrada zaufania. Zemsta, która wydawała się starannie zaplanowana. Nie wiedziała, co myśleć o tym wszystkim. Ale Sasha była brakującym ogniwem, pierwszym klockiem domina, krzykiem, który spowodował zejście lawiny. Te wszystkie dziwne rzeczy zaczęły się po jej samobójczej próbie. Kluczem była Sasha. Em była tego pewna.

## Rozdział 20

Była zaledwie piąta, kiedy Em jechała do szpitala, ale równie dobrze mogłaby być północ. Słońce już zaszło i drogi były ciemne. Przed każdym zakrętem bała się, że zaraz ktoś wyskoczy jej na jezdnię; ta blondynka z Bostonu, Ali, której zimne, puste oczy zawsze zdawały się śmiać. Albo Meg, dziewczyna spotkana na drodze, może postanowiła wrócić po swoją czerwoną wstążkę...

Hamowała za każdym razem, gdy zobaczyła jakiś ruch: drzewa poruszane wiatrem, przebiegającą sarnę, która zaświeciła białym zadem. Zdała sobie sprawę, że od tygodni kiepsko sypiała. Zamrugła oczami, koncentrując się na drodze.

Wzdrygnęła się, gdy nagle zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz. To mama.

- Cześć, mamó. - Em starała się mówić normalnie. Czuła, że była już na granicy, że niewiele brakowało, by zjechała na pobocze, rozkleiła się i opowiedziała mamie o wszystkim.

- Cześć, kochanie - powiedziała mama z troską w głosie. - Tak tylko dzwonię, żeby dowiedzieć się, co u ciebie. Gdzie jesteś?

Em wyobraziła sobie, jak mówi: „Jadę do szpitala, odwiedzić Saszę Boulder. Chase ją upokorzył, ona zrobiła sobie krzywdę, a teraz on nie żyje. Ktoś mnie śledzi i boję się, że coś mi grozi...” Nie, nawet w jej głowie brzmiało to nedorzecznie. Na razie nie mogła nic powiedzieć. Może, kiedy zobaczy się z Sashą, sytuacja się rozjaśni.

- Załatwiam sprawy na mieście - odparła ogólnikowo. -

Wrócę za parę godzin.

- Prowadzisz ostrożnie? Znowu ma padać śnieg. Em zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy.

- Jestem ostrożna, mamo. - Niemal załamał się jej głos. - Przysięgam. Niedługo się zobaczymy.

- Okej, Emily. Kocham cię. - Słowa te odbijały się echem w głowie Em. Kiedy się rozłączyła, pomyślała o matce Chase'a. Zastanawiała się, co robiła teraz pani Singer. Jaka pusta będzie wydawała się jej przyczepa, kiedy wróci do domu. Jeśli kiedykolwiek do niego wróci. Na myśl o tym Em poczuła mdłości i pomimo zimna na zewnątrz opuściła szybę, by wpadło świeże powietrze.

Zatrzymała się na prawie pustym parkingu dla gości. Cholera. Godziny odwiedzin kończyły się o szesnastej. Jej rodzice pracowali w innym szpitalu - jednym ze szpitali w Portland - ale żałowała, że nie mogła powiedzieć im, co się działo. Może doradziliby jej, co ma zrobić.

Przygładziła włosy i obciągnęła wełniany sweter, nagle bardzo drapiący, wchodząc do pustej recepcji wschodniego skrzydła. Tu trafiały beznadziejne przypadki. Babcia Em spędziła tu dwa ostatnie miesiące swojego życia, po tym jak dostała udaru. Em rozpoznała za pulpitem recepcji pielęgniarkę Carol, która opiekowała się jej babcią. Reszta personelu musiała kręcić się po oddziale, bo w recepcji poza Carol nikogo nie było. Em przestępowała z nogi na nogę; w szpitalu czuła się nieswojo. Ociągała się z odejściem spod drzwi, myśląc, jak przedrzeć się kolo pielęgniarce.

W chwili gdy Carol z plikiem papierów w ręce znikła za drzwiami po drugiej stronie pulpitu, Em omiotła wzrokiem

recepcję i podeszła szybko do pulpitu. Wsunęła szufladę z kartami pacjentów, zasunęła i wysunęła kolejną. Dostęp do kart pacjentów był przerażająco łatwy. B jak Boulder. Sasha. Sala numer 17. Odłożyła kartę na miejsce i ruszyła do obrotowych drzwi, starając się wyglądać, jakby miała pełne prawo być tutaj.

Udało się; nikt jej nie zauważył. Szła korytarzem, świeżo wypucowanym, pachnącym środkami antyseptycznymi i starością. Szukając siedemnastki, skręciła za jeden róg, potem za kolejny. Na korytarzu panowała cisza i jej kroki, choć miała na nogach adidas, wydawały się niesamowicie głośne. Starła się nie zaglądać do mijanych sal - przy każdym łóżku stała żarząca się aparatura, budząca w niej niepokój. Koncentrowała się na numerkach przy drzwiach.

W końcu: sala numer 17. Te drzwi, w odróżnieniu od większości pozostałych, były zamknięte. • Em się zatrzymała. Nim pchnęła drzwi i weszła do środka, spojrzała za siebie; korytarz był pusty. Sala była mała i ciemna; jedynym źródłem światła były monitory przy jedynym w pokoju łóżku. Pikały. Cicho. Miarowo. Niepokojąco.

Em zrobiło się gorąco. Drżącymi palcami rozpięła kurtkę. Nie wiedziała, czego się spodziewała - nigdy wcześniej nie widziała nikogo w śpiączce. Sasha po prostu leżała, cicho, nieruchomo.

Em zrobiła dwa kroki w stronę łóżka. Naciągnęła rękawy swetra na dłonie, wystawiając kciuki na zewnątrz, przez dziury w luźnym ściegu. Zebrała włosy w koński ogon. Przez chwilę rozważała odwrót, ale wtedy przypomniała sobie, jak Chase głaskał ją po plecach tamtego dnia, gdy szłochwała w sali gimnastycznej. Przypomniała sobie ciepłe dłonie Zacha i szczecinę na jego twarzy, duże niebieskie oczy Gabby, patrzące na nią ufnie, a zaledwie parę tygodni później z nienawiścią. Jak szybko wszystko się posypało.

Dasz radę. Em założyła za uszy kilka niesfornych kosmyków i przybliżyła się do łóżka.

Naprawi wszystko; wymaże te okropne błędy, jakie popełniła w ostatnim czasie. Usiądzie, odsłoni swoją duszę przed śpiącą Sashą i uzyska rozgrzeszenie. Musiała istnieć jakaś możliwość



ucieczki przed błędami, by nie dopadły jej tak jak Chase'a. Musiał istnieć sposób na powstrzymanie tego wszystkiego. Cokolwiek to było.

Sasha... Tak mi przykro. Przykro mi z powodu twojego bólu, z powodu bólu Gabby i mojego, i tego wszystkiego, co zrobiłam. Em przygryzła wargę, myśląc o popełnionych błędach, o uleganiu impulsom, o tych wszystkich podniecających chwilach z Żakiem, przy kominku, w samochodzie, w jego łóżku... Była wtedy całkowicie zaślepiona pożądaniem.

Przełknęła z trudem; w ustach czuła metaliczny posmak.

Nagle coś usłyszała... jakiś szelest czy szept. Wstrzymała oddech. Ktoś tu był oprócz niej. Obróciła się, ale pokój był pusty. Monitory w dalszym ciągu pikały.

Ale czy nie pikały jakoś szybciej?

Jej serce też przyspieszyło. A gdyby Sasha obudziła się teraz? Gdyby wysłuchała spowiedzi Em i udzieliła jej rozgrzeszenia? Gdyby Sasha się obudziła - gdyby było z nią okej - to i ze wszystkim innym też. Na pewno.

Em zrobiła dwa kroki w stronę Sashy, potem jeszcze dwa, a jej adidasyski piszczały nieśmiało na linoleum.

- Sasha? - szepnęła. Żadnej reakcji. Oblizwała usta. - Sasha? Słyszysz mnie? - Nachyliła się nad nią, zauważając kątem oka połyskujący wisiołek w kształcie węża na szafce obok łóżka. Przypinkę z takim samym węzem nosiła zawsze Drea. Wąż zdawał się na nią patrzeć. Em nachyliła się bardziej.

W tym momencie Sasha wystrzeliła w górę niczym diabełek z pudełka. Na jej bladej twarzy rozciągał się maniackalny uśmiech. Taki jak Ali: porozumiewawczy. Niepokojący. Jej oczy były zaledwie parę centymetrów od oczu Em - czarne, martwe. Jak oczy kukiełki.

Z ust Em wyrwał się skowyt i zachłysnęła się własną śliną. Kaszląc, próbowała się cofnąć, ale jej nogi były jak wrośnięte w podłogę. Wyciągnęła przed siebie ręce, usiłując zasłonić się przed tymi przerażającymi czarnymi oczami.

Nie mogła się ruszyć i miała wrażenie, jakby się topiła; nie mogła oddychać.

Nagle Sasha otworzyła usta i Em poczuła jej oddech - cuchnął popiołem.

- Nadeszła twoja kolej, by zapłacić. Jesteś na to gotowa, Em? - wyszeptała chrapliwie. Z jej ust pociekła strużka krwi.

A potem głowę Em wypełnił ostry, przenikliwy dźwięk, wrywając ją z odrętwienia. To były monitory. Krzyczały - a może to ona krzyczała? Bip, bip - bip, biiiiii...

Zatoczyła się do tyłu, wpadając na monitory i zwalając jeden z nich na podłogę. Odwróciła się i wypadła na korytarz. Biegła, jakby od tego zależało jej życie, dysząc, z mocno walącym sercem. Minęła biegnących w przeciwną stronę pielęgniarki i lekarza.

Ale biegli niepotrzebnie.

Bo Sasha Boulder nie żyła.

## Rozdział 21

JD? JD, jesteś tam?! - Em krzyczała do telefonu. Nie była nawet pewna, czy już odebrał. To, co się wydarzyło w szpitalu, rozstroiło ją. „Nadeszła twoja kolej, by zapłacić. Jesteś na to gotowa, Em?”

W jej głowie kłębiły się przerażające myśli. Sasha nie żyła; Chase też. Chase umarł, bo doprowadził do śmierci Sashy. A teraz nadeszła jej kolej, żeby zapłacić. Miała zapłacić za coś, co zrobiła. Oko za oko. Taka była zasada.

„Oko za oko uczyni tylko cały świat ślepym” - obięło jej się kiedyś o uszy.

- Em? Halo? - usłyszała słabo głos JD.

- JD!?

- Em, wszystko w porządku?

- Boże, JD. - Teraz już płakała. - Widziałam ją.

- Kogo? Em, co się dzieje?

- Nie umiem... nie umiem wyjaśnić. Muszę zapłacić... nie wiem, co to znaczy. - Całkiem roztrzęsiona, chwytając z trudem powietrze.

- Em. Uspokój się. Po prostu przyjedź do mnie i pogadamy. -Głos JD był kojący niczym balsam.
- Okej. Okej. Okej. - Powtarzała to słowo, jakby próbując przekonać samą siebie, że było okej.
- Em, nigdy cię takiej nie słyszałem. Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?
- Nie. Nie. Nic mi nie jest. Przyjadę sama. - Przekręciła kluczyk w stacyjce, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do JD i ukryć się w jego ramionach.

Włączyła stację z klasycznymi przebojami, licząc, że muzyka pomoże jej się uspokoić. Wiedziała, że ostatnio zrobiła tylko jedną rzecz zasługującą na potępienie; w tym przypadku zemsta byłaby uzasadniona. Chodziło o to, do czego doszło pomiędzy nią a chłopakiem jej najlepszej przyjaciółki. Co do niego czuła. Jak słabo kontrolowała swoje emocje - i że wcale nie chciała mieć ich bardziej pod kontrolą. Zgrzeszyła. Zdecydowanie. Zaczęło ją mdlić.

„Nie pożądam chłopaka swojej najlepszej przyjaciółki”. Rozmyślała nad tym, przygryzając dolną wargę i bezwiednie odgarniając włosy z czoła, gdy zobaczyła we wstecznym lusterku samochód. Zdziwiła się; zdecydowała się pojechać Peaks Road, żeby było trochę szybciej. Boczna droga pozwalała oszczędzić trochę czasu, jeśli się ją znało, ale trzeba było uważać, zjeżdżając w dół zbocza, zwłaszcza zimą.

Samochód za nią jechał szybciej, niż powinien. A kiedy odległość między nimi wynosiła już tylko parę długości wozu, zaczął błyskać długimi światłami; jej lusterko wsteczne było prawie jak oślepiająca kula dyskotekowa.

Co jest? Em nieco przyśpieszyła. Ale błyskanie nie ustało. Nagle, pomiędzy jednym a drugim błyskiem, Em miała własny przerażający przebłysk: to ta przeklęta Ali, która prześladowała ją od tygodni.

To od niej był ten kwiat, uświadomiła sobie teraz. I to pewnie ona podrzuciła jej tamten liścik do kieszeni kurtki.

Została namierzona. Nadszedł czas zapłaty. Groziło jej, że skończy tak samo jak Chase.

Spanikowana, skręciła gwałtownie w Old Mark's Lane, a potem w Pemaquid Road. Ale śledzący ją samochód nie odpuszczał, a nawet był jeszcze bliżej. Postanowiła zawrócić na Peaks Road. Nieznany wóz cały czas siedział jej na ogonie. Jej oddech był urywany, dłonie mocno ścisnęły kierownicę.

Nagle, tuż przed najbardziej niebezpiecznym odcinkiem Peaks Road, stuknął w nią. Od tego momentu wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie; kąt stuknięcia spowodował, że auto Em wylądowało na poboczu, gdzie wbiło się w zaspę. Towarzyszyło temu potężne szarpnięcie.

Nie było czasu, żeby się upewnić, czy została w jednym kawałku. Wygramoliła się na zewnątrz i ruszyła przed siebie. Nogi miała jak z ołowiu, jej ciałem wstrząsał szloch.

- Zostaw mnie w spokoju! Zostaw! Słyszysz?!

Uszła jeszcze parę kroków, zanim zdała sobie sprawę, że ktokolwiek za nią szedł, również krzyczał.

- Nie bój się - usłyszała dziewczęcy głos. - Wszystko w porządku! To ja! Drea!

Em odwróciła się, ale nie zatrzymała. Uciekała teraz tyłem, potykając się o gałęzie i kamienie. Nadal ciężko oddychała.

- To ja, Drea Fieffer. Coś jest chyba nie tak z twoją bryką. - Drea stanęła przed swoim samochodem, w świetle reflektorów i Em widziała ją teraz w pełnej krasie. Ubrana na czarno, prawą połowę głowy wygolona, pasma z drugiej strony opadały jej na policzek. Uniosła ręce, jakby chciała pokazać, że przychodzi w pokoju. - Jechałam za tobą i zauważyłam, że coś cieknie z twojego auta. Pomyślałam, że to może płyn hamulcowy. Em ulżyło, ale zaraz się wściekła. Co ona, jaja sobie robiła? Zepchnęła ją z drogi, bo wydawało się jej, że wycieka płyn hamulcowy?

- Poważnie. Mój kumpel, Wrona, nauczył mnie trochę o samochodach. Bałam się, że zjeżdżając w dół, nie będziesz mogła zahamować. No to cię stuknęłam. Ale delikatnie.

- Stuknęłaś mnie, bo myślałaś, że coś może być nie tak z moim samochodem? - Em pokręciła głową, próbując to ogarnąć. Wzdrygnęła się, przypominając sobie nagle, skąd wracała. Szpital. Pokój Sashy. Sasha umarła, a Drea jeszcze o tym nie wie. Zmiękła, przestała zaciskać pięści, odgarnęła włosy z twarzy.

- Sprawdźmy to. Jeśli się pomyliłam, mój tata naprawi ci samochód. Za darmo.

- Niby jak chcesz to sprawdzić? - Em nachyliła się, z dłońmi na kolanach, próbując uspokoić oddech. Świat nadal trochę wirował.

- Mam w aucie skrzynkę z narzędziami. - Niespodziewanie Drea wyciągnęła do niej rękę. - Naprawdę mi przykro, że cię wystraszyłam. Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha. Em odwróciła twarz; chciało się jej wymiotować. Nie ujęła dłoni Drei.

- Okej, sprawdźmy to i będzie z głowy. Cholernie tu zimno. - Podbiegła do samochodu, żeby się rozgrzać, ale głównie po to, by Drea przestała się jej tak badawczo przyglądać.

Z odległości paru kroków Em patrzyła, jak Drea, przyświecając sobie latarką, zagląda pod maskę i mruczy coś pod nosem. Obejmując się rękami, skakała z nogi na nogę; lodowate powietrze kłuło ją w płuca przy każdym oddechu. Las po lewej stronie Peaks Road był gęsty, nieprzenikniony; należał do rezerwatu przyrody. Zmrużyła oczy, próbując dojrzeć Staw Galvina, gdzie chłopcy grali w kosza na lodzie, ale było zbyt ciemno, a drzewa rosły zbyt gęsto.

Drea podziałała jeszcze trochę pod maską, a potem zaklęła, westchnęła ciężko, położyła się na pokrytej breją drodze i wsunęła pod samochód Em.

- Może ci jakoś pomóc? - zapytała bezradnie Em. Ale wtedy Drea wyłoniła się spod samochodu, wstała i podeszła do Em. Dłonie wytarła w swoje czarne dżinsy.

- Miałam rację, Em. Linka hamulcowa wygląda na przeciętą.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zginęłabyś, gdybyś jechała w dół Peaks Road. - Drea się wzdrygnęła. - Jechałabyś coraz szybciej i szybciej. Miałabyś rollercoaster bez możliwości zatrzymania. - Gdzieś w oddali zahukała sowa. - Ale... ale... jak do tego doszło? Dopiero odebrałam samochód z warsztatu. - Em piekły policzki z zimna. Była z gołą głową.

- Nie wiem, jak do tego doszło, wiem tylko, co z tym zrobić. - Drea uśmiechnęła się ponuro. - Matko. Wiszę Wronie

piwo. A ty wisisz mi co najmniej butelkę wódki albo swoją koronę królowej balu. Właśnie ocalałam ci życie, Winters... - Nagle zamilkła. Wydawało się, że przez moment przestała grać kogoś innego, niż była. Odwróciła się, wpatrując w ciemność. - Może moje notowania poszły trochę w górę. Em znowu myślała o Sashy.

- Co takiego?

- Nic. - Drea odwróciła się z powrotem do niej. Znow była sobą. - Żartowałam z tą koroną. Gryzłaby się z moją stylową służbową kamizelką.

Em patrzyła przed siebie. Nie na Dree, nie na swój samochód, po prostu przed siebie. Przecięta linka hamulcowa. Nagle poczuła się bezradna, bezbronna. Mogło stać się coś złego. A więc to już się zaczęło. Nie można było tego powstrzymać.

Drea pstryknęła palcami przed jej twarzą

- Ziemia do Em. Podwieźć cię do domu albo dokądś?

- Sorry. Tak, dzięki. Wezmę tylko torbę - wymamrotała Em, dając nura do swojego samochodu. Drea zdawała się nie zwracać na nią uwagi, zajęta pakowaniem swojej skrzynki z narzędziami, ale ledwo Em ruszyła w stronę jej małej hondy civic, Drea znieruchomiała.

Em obejrzała się za siebie, częściowo spodziewając się, że zobaczy tam łosia. Ale Drea nie patrzyła za nią. Patrzyła na nią. - Skąd to masz? - zapytała Drea, wskazując na jej torbę. Em spojrzała w dół i krew napłynęła jej do głowy. Wyciągnęła rękę, jakby chcąc się osłonić przed czerwonym storczykiem.

Wyraźnie pamiętała, jak wyrzuciła kwiat - po raz drugi, po tym, jak Ali wcisnęła go jej na Harvard Square - do kosza na śmieci. Ale on znow był na jej torbie. Drea nie odrywała od niego wzroku.

- Chodzi ci o ten kwiat? - Jej oddech znowu zrobił się płytki. - Dała mi go taka jedna dziewczyna.

Dziwny jest. - Co znaczy dziwny?

Em chuchnęła na swoje zmarznięte palce.

- Nie mogę się go pozbyć. Za pierwszym razem na własne oczy widziałam, jak przejechał po nim samochód. Ale potem tamta dziewczyna dała mi go z powrotem. Nie wiem, kim ona

jest... - Urwała, zastanawiając się, czy to już ten moment, kiedy powinni zapakować ją w kaftan i zawieźć do psychiatryka.

Ale Drea nie parsknęła śmiechem, tak jak Em się spodziewała. Bez słowa chwyciła storczyk, wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i go podpałała.

Dopiero gdy cały był już w ogniu, rzuciła go na ziemię. Tlił się tam jeszcze chwilę.

Drea spojrzała ponownie na Em; jej twarz rozświetlała delikatna poświata ognia. Em nigdy wcześniej nie zauważyła, żeby rzęsy Drei były takie długie i podkrecone. Była... naprawdę ładna. Nagle Em zaczęła się zastanawiać, czy koleżanka była kiedykolwiek zakochana.

- Co zrobiłaś? - zapytała Drea natarczywie. Emily uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała Drei Fieffer przestraszonej, nawet gdy w piątej klasie Carey Wallace powiedział, że jej przyłoży, bo jest dziwolągiem.

- Co? - Em przełknęła z trudem ślinę.

- One nie pojawiają się, ot tak. Co zrobiłaś? Czemu dostałaś ten kwiat?

Tak zaskoczyło ją to pytanie, że nie od razu odpowiedziała. Nie podobał się jej sposób, w jaki Drea na nią patrzyła. Czy usłyszała coś w szkole? Skąd mogła cokolwiek wiedzieć o jej życiu?

- Ja... ja nic nie zrobiłam. Drea przyglądała się jej przez chwilę z zaciśniętymi ustami. Potem pokręciła głową, jakby podjęła jakąś decyzję. - Udawanie nic ci nie da, Em. Gdybyś zdecydowała się pogadać, wiesz, jak mnie znaleźć. - Zanurkowała do swojego auta i zaczęła grzebać w schowku. - A tymczasem... - wynurzyła się z samochodu z czymś w ręce - to może pomóc.

Ujęła dłoń Emily i zamknęła ją na małym wisiorze w kształcie węża - była to miniaturowa wersja węża z przypinki, którą Drea nosiła od lat. Potem Drea wskazała głową na samochód, żeby wsiadła. Em spojrzała na nią, czekając na dalsze wyjaśnienia, ale Drea milczała. Nie odzywały się do siebie przez całą drogę.

- Dzięki za podwózkę - powiedziała Emily, nieco zmieszana, kiedy zatrzymały się na jej podjeździe. Nie zamierzała

iść do siebie; w domu było zbyt ciemno, by siedzieć tam samej, poza tym wiedziała, że po drugiej stronie podwórka czekał na nią JD.

- Nie ma sprawy. - Drea spojrzała jej w oczy. - Pamiętaj. Jak będziesz chciała z kimś pogadać, zgłoś się do mnie. Może będę mogła pomóc.

Em nic nie odpowiedziała, wysiadając z samochodu.

JD wyglądał na mocno zdenerwowanego, kiedy otworzył drzwi. Jego włosy sterczały we wszystkich kierunkach, zupełnie jakby poraził go prąd.

- Co się stało? Czemu to trwało tak długo? Nic ci nie jest?

- Twoi rodzice są w domu? - zapytała szeptem Emily.

- Tak... są. Em. Co się dzieje?

- Co robią? - Weszła do środka; jeszcze bardziej zniżając głos. Nie czuła się dziś na siłach, by odpowiadać na pytania dotyczące szkoły i przygotowań do egzaminów.

JD uniósł brew.

- Oglądają na górze film dokumentalny o płetwalach błękitnych - odszepnął. - Powiesz mi wreszcie, co się dzieje? - Przyglądał się jej znad swoich okularów. - Przez telefon wydawałaś się roztrzęsiona.

- Chyba wariuję - wymamrotała Em, ciągnąc go do piwnicy; była tam stara kanapa, którą JD nazywał swoją kozetką terapeuty. - Mam niesprawne hamulce. Drea Fieffer mnie uratowała. Myślę, że jestem śledzona. Przez ducha. - Wyrzuciła to z siebie jednym tchem, milknąc po wejściu do piwnicy.

Zaparło jej dech, gdy zobaczyła, co JD przygotował: talerz domowych nachosów, dwie babeczki i mały fort z poduszek po jej stronie kanapy.

- JD... to takie miłe.

- Cóż, mówiłaś takie rzeczy... Martwiłem się. - Wzruszył ramionami, przeczesując rękami włosy, a potem ruszył w stronę kanapy.

Em opadła na kanapę, wdychając jej znajomy zapach i czując jej wszystkie nierówności.



- Boże, ale ta kanapa jest niewygodna - stwierdziła.
- Duchy też tak uważają? - zagadnął, puszczając do niej oczko.
- JD, słuchaj. Czy mogę ci o czymś powiedzieć? Czy mogę ci o wszystkim powiedzieć? - Próbowała ugryźć kawałek babeczki, ale nie dała rady.
- Tak. - Nie usiadł jeszcze. Stał nad nią.
- Dzieje się coś dziwnego - mruknęła, przygryzając wargę.
- Dużo mi to nie mówi, Em. Wokół dzieje się dużo dziwnych rzeczy. Mogłabyś być trochę bardziej precyzyjna? - zapytał, chowając dłonie do kieszeni szlafroka.
- Machała rękami, jak zawsze, gdy szukała odpowiedniego słowa.
- Staram się, JD. Daj mi chwilę.
- Okej, okej. - Uniósł ręce, a potem zachęcił gestem, by kontynuowała.
- Odłożyła babeczkę i spojrzała na niego.
- Ktoś mnie śledzi. - Wskazała pobieżnie na okno piwnicy, jakby miało to rozjaśnić jej opowieść. - Pamiętasz, jak byliśmy w Bostonie? Ona tam wtedy była.
- Kto? - JD w końcu usiadł, patrząc na nią z troską.
- Ta dziewczyna. Ali. Pokazuje się w oknach. I była w metrze, wtedy w Bostonie. Śledzi mnie. To chyba z powodu tego, co zrobiłam... - Urwała, kiedy zauważyła, jak na nią patrzy. Tak samo patrzył na Melisę, kiedy opowiadała, jak na szkolnej wycieczce do wesołego miasteczka Tessa Hoover i Brian Rinaldi łowili razem plastikowe ryby, co znaczyło, że musieli być parą. Pobłażliwie. Z rozbawieniem.
- Nie wierzysz mi, prawda? - zapytała. JD westchnął, przysuwając się do niej.
- Em, wiem, że jest ci ciężko. - W jego oczach widać było współczucie. - Nie mam pojęcia, o co chodzi z tą Ali, ale wiem, że jesteś przybita z powodu Chase'a. Wiem, że ostatnio się za-kumplowaliście, ale musisz pamiętać, że to, co się stało, to nie twoja wina. Niczego byś nie zmieniła. - Poklepał ją po nodze. Zabrała ją natychmiast, jakby jego dotyk parzył.

- Nie. Nie o tym mówię. Zupełnie nie o to chodzi. - Kręciła gwałtownie głową.
- Słuchaj, wyobraźnia często płata ludziom figle po takiej tragedii. Czytałem gdzieś o tym. Jeśli chcesz mi o tym wszystkim opowiedzieć, to słucham. Nie chcę, żebyś sama sobie napędzała stracha.
- JD. Już próbowałam zwalić to na moją nadpobudliwą wyobraźnię - powiedziała, zaczynając się irytować. - Ale to nie to. I owszem, ma to pewien związek z Chase'em, ale... - Urwała, próbując pozbierać myśli.
- Właśnie. Sama przyznałaś, że ma to związek z Chase'em. Z jego śmiercią. Z Sashą pewnie też. Dwie tragedie w tak krótkim czasie. Nic dziwnego, że jesteś rozstrojona.
- Nie, JD. Jestem rozstrojona, bo ciągle widzę pewną dziewczynę, od której dostałam czerwony kwiat; taki sam w chwili śmierci miał przy sobie Chase, a poza tym ktoś przeciął mi linkę hamulcową, no i najwyraźniej „przepraszam, to za mało”... I właśnie z powodu tego wszystkiego jestem rozstrojona. - Ostatnie zdanie wychlipała już w połowie schodów, walcząc ze łzami i próbując wciągnąć płaszcz, co nie było łatwe - miała tak zamazany obraz, że nie widziała nawet dziur rękawów.
- Dokąd idziesz? - zawołał JD.
- Do domu - odburknęła. - Idę do domu. Przynajmniej moje poduszki nie traktują mnie z góry. Ale też nie mogły jej ochronić; wiedziała to. Będzie musiała poradzić sobie sama. Słyszała, że JD biegnie za nią, i odwróciła się w drzwiach.
- Em - wypalił. - Co ja takiego zrobiłem?
- Wymądrzasz się. Jak zwykle. - Spiorunowała go wzrokiem. - Może najpierw zatroszcz się o własne życie, zanim zaczniesz oceniać innych.
- Mam swoje życie - powiedział cicho.
- Racja. Wszędzie mnie wozisz i mówisz mi, co mam robić. Fajne życie - skwitowała, zatraskując za sobą drzwi wyjściowe.

## Rozdział 22

Do licha, nie wiedziała, co się dzieje i jak można to powstrzymać ani komu o tym wszystkim opowiedzieć. Najgorsze było to, że nawet JD jej nie rozumiał. Bolało jak diabli.

Od zawsze JD był kimś, komu ufała. Kiedy miała dziesięć lat i bała się skoczyć z pomostu do Stawu Galvina, JD zrobił to razem z nią - choć pełno tam było rzesy. Kiedy z czegoś mu się zwierzała, nigdy nie pomijała żadnych, choćby najdziwniejszych, szczegółów. Opowiedziała mu nawet o Zachu...

Ale teraz czuła się, jakby dzielił ich mur. Jeśli JD jej nie rozumiał, to kto zrozumie?

Ledwie przekroczyła próg domu, zaczął bombardować ją esemesami:

„Em. Sorry. Wróc, to pogadamy.

A może przyjdę do Ciebie?

Halo? Em? Nie odzywasz się do mnie?"

Wyłączyła telefon. Czuła się upokorzona; odsłoniła się przed nim, a on ją potraktował jak dziecko.

Poszła na górę, zostawiając w kuchni zapalone światło. Rodzice kiedyś wrócą do domu.

W swoim pokoju włączyła laptop.

Teraz JD dobijał się do niej przez komunikator:

„Em? Widzę, że odpaliłaś. Możemy pogadać?

Wybacz, jeśli zachowałem się jak dupek. Ale nie wiem nawet, co zrobiłem.

Co się dzieje???"

Zamknęła laptop z łoskotem. Zastanowiła się, czy włączyć iPod, ale nie przychodziła jej do głowy ani jedna piosenka, której chciałaby posłuchać. Ściągnęła dzinsy i włożyła dresy. Zgasiła światło, ale po namyśle włączyła lampkę na biurku.

Miała dość mroku.

A potem położyła się, nawet nie myjąc zębów. Leżała, słuchając stukania w kaloryferze, przewracając się z boku na bok. Nie mogła znaleźć wygodnej pozycji. Sfrustrowana, wyrzuciła

poduszki na podłogę, zostawiając sobie tylko jedną, pod głowę. W końcu jej powieki zrobiły się ciężkie. I kiedy już wydawało się jej, że zaśnie, usłyszała gwałtowne pukanie do frontowych drzwi. Natychmiast się poderwała.

To nie mogli być jej rodzice; nawet gdyby zapomnieli kluczy, i to obu kompletów, sięgnęliby po zapasowy, schowany pod jedną z desek ganku. To na pewno JD przyszedł porozmawiać z nią w cztery oczy i przeprosić.

Przez chwilę rozważała, czy go po prostu nie olać. Było zimno i uznała, że w końcu będzie musiał odpuścić. Ale pukanie nie ustawało, niosąc się echem po pustym domu. Z westchnieniem wstała, wsunęła gołe stopy w puchate kapcie, które stały przy łóżku, i zeszła na dół. Postanowiła, że mu nie przebaczy. Przynajmniej kiedy była wściekła, miała się na czym skupić.

W holu wyprostowała się, odchrząknęła i otworzyła drzwi na oścież.

- JD... - Dalsze słowa uwięzły jej w gardle. Na progu stała ta dziewczyna. Ali.

Uśmiechała się. W ręce trzymała połyskujący czerwony storczyk. Był piękny, delikatny, jakby ze szkła.

- Witaj, ponownie - zaćwierkała. Jej mały nosek poruszał się jak u szczura, a zęby błyszczały w ciemności. - Święty Mikołaj nigdy nie dowiedział się, że byłaś niegrzeczna. Ale my tak.

Jej słowa rozbrzmiewały w głowie Em. „Oby Święty Mikołaj nie dowiedział się, że byliśmy niegrzeczni”. Coś takiego powiedział Zach tamtego wieczoru, kiedy całowali się pierwszy raz.

Zatrzasnęła Ali drzwi przed nosem i przez moment stała jak skamieniała, z walącym sercem. Słyszała jakiś chrapliwy odgłos; dopiero po chwili zorientowała się, że to jej oddech.

- Pup-puk - dobiegł zza drzwi śpiwny głos Ali. Odrętwienie minęło. Przerażona Em pognęła do salonu, potem do jadalni, a stamtąd do kuchni, zamykając okna i zaciągając zasłony. Przechodziły ją ciarki po plecach, jakby Ali była tuż za nią.

To kara za akcję z Żakiem. Teraz była już tego pewna - Ali niemal dokładnie przytoczyła jego słowa. Miała zapłacić za swoje grzechy tak samo jak Chase. „Jesteś na to gotowa, Em?”

Rozplakała się. Proszę, zostaw mnie w spokoju. Obracała się wokół własnej osi, krzycząc do wszystkich, przemykających cieni:

- Przepraszam! Bardzo żałuję! Nie chciałam! Tak jakoś wyszło! To nie moja wina! Nawet nie było warto...

W korytarzu - tak daleko od jakichkolwiek okien, jak to tylko możliwe - oparła się plecami o ścianę i osunęła na podłogę. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, ledwo oddychając. Drżała. Nic nie słyszała. Naciągnęła rękawy bluzy na dłonie i gryzła je - nawyk jeszcze z dzieciństwa; tak oglądała straszne filmy i słuchała historii o duchach.

To właśnie była historia o duchach. Tylko że działa się naprawdę.

A potem znowu zaczęło się pukanie.

- Nie, proszę! - Jej szloch niósł się głośno po pustym domu. - Zostaw mnie w spokoju! Powiedziałam już, że żałuję. Staram się wszystko naprawić. To... to była pomyłka. Proszę, daj mi spokój! -

Obejmując kolana rękami, kołysała się, a po jej policzkach ciekły łzy. - Nie planowałam tego! - Teraz już krzyczała histerycznie. - I w ogóle nie było warto! A potem usłyszała głos Gabby - słodki, znajomy, piękny. - Em? Em, wszystko w porządku? Jesteś tam? Emily uniosła głowę, ocierając nos i twarz rękawem. - Em? To ja, Gabs. Wpuść mnie. Musimy pogadać. Podniosła się chwiejnie, wycierając spocone dłonie o spodnie. Zrobiła ostrożny krok w stronę drzwi.

- Gabby? - zapytała niepewnie.

W jednym z małych prostokątnych okienek obok drzwi frontowych ukazała się twarz Gabby.

- Em, proszę, wpuść mnie. Emily otworzyła i po chwili wahania Gabby weszła do środka. Em rzuciła okiem na trawnik. Pusto. Ali sobie poszła. Ale kiedy zamknęła drzwi, dwa razy przekręciła klucz w zamku. Gabby stała w ciemnym holu z niepewną miną; miała na sobie za dużą puchówkę, której Em nigdy wcześniej nie widziała.

- Dzwoniłam do ciebie - powiedziała. - Ale nie odbierałaś. - Przygryzała wewnątrz policzka. Tusz jej się rozmazał, musiała płakać.

- Położyłam się - odparła ochryplym głosem Em, ocierając oczy rękawem, kiedy Gabs nie patrzyła; miała nadzieję, że przyjaciółka nie zauważy, że ona również płakała. - Wyłączyłam telefon.

- Przejeżdżałam i zobaczyłam światło... - Gabby gmerała nerwowo przy suwaku.

- Cieszę się - szepnęła Em, a potem przez chwilę stały w niezręcznym milczeniu.

- Och, Em - nagle wyrzuciła z siebie Gabby. - Widziałam go. Musiałam pojechać do Portland po nowe rękawiczki i widziałam, jak całował się z jedną dziewczyną przed restauracją. Cudem nie rozwaliłam samochodu, kiedy to zobaczyłam... - Zaczęła płakać. - Mnie nigdy nie zabiera do restauracji! Nie zastanawiając się dłużej - puszczając w niepamięć, że kiedy ostatnio się widziały, Gabby popchnęła ją na wieszak - Em przybliżyła się i ją objęła. Poczula waniliowy sprej do ciała Gabs i zaciągnęła się nim. Stały tak przez chwilę, przytulając się i pociągając nosami.

Potem Em zaprowadziła przyjaciółkę do salonu i posadziła na zamszowej kanapie. Wintersowie rzadko korzystali z salonu - jeśli już spędzali czas całą rodziną, to zwykle na starych, wygodnych sofach w pokoju telewizyjnym. Ten pokój kojarzył się Em ze świętami i recytowaniem wierszy dla babci.

- Zaczekaj - powiedziała do Gabby i wyszła do kuchni, gdzie przekopała szafki w poszukiwaniu czekolady na gorąco. Dwie i pół minuty, potrzebne do zagrzania wody, zdawały się ciągnąć w nieskończoność. - Zaraz wracam! - zawołała Em, przestępując z nogi na nogę przed mikrofalówką. Tak bardzo się cieszyła, że Gabby tu była, w jej salonie, na jej kanapie, że znowu zachciało się jej płakać. Bardzo chciała móc opowiedzieć jej o wszystkim, o tej niesamowitej dziewczynie czającej się w ogródku, ale nie wiedziała, czy to dobry pomysł. Najpierw musi spróbować odzyskać Gabby. Przyjaciółka wyraźnie jej potrzebowała. Przypomniała sobie, co mówiła Drea: „Gdybyś zdecydowała się pogadać, wiesz jak mnie znaleźć”. Była zdecydowana. I gotowa dowiedzieć się, co wiedziała Drea, co, u licha, się działo i jak sprawić, żeby się skończyło. Ale to mogło poczekać do jutra.

To musiał być dobry znak, że Gabby tutaj była. Jeśli uda im się naprawić, to co się posypało, może to wszystko się skończy.

Wracając do salonu, sprawdziła, czy drzwi wejściowe nadal były zamknięte. Potem przysiadła się do Gabby, stawiając na ławie przed nimi kubki z gorącą czekoladą.

- Stłukłam kubek od ciebie - wyznała ze skruchą, na wypadek gdyby Gabby zauważyła, że piła ze zwykłego białego. Gabby nie odpowiedziała, tylko uniosła swój kubek i dmuchała na czekoladę ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Przywiozłam z Hiszpanii cukierki lukrecjowe - w jej głosie słychać było drżenie - i nie mogłam się nimi z tobą podzielić. Em pokiwała głową. Gabby nie musiała nic więcej mówić. Obie miały bzika na punkcie cukierków lukrecjowych. Ale nigdy nie jadły ich same. Zawsze się dzieliły.

Z zewnątrz dobiegł jakiś szmer. Em znieruchomiała, nasłuchując. Ale po chwili znów było cicho, pomijając pociąganie nosem przez Gabby.

- Masz je jeszcze? - zapytała Em.

- Tak... jeszcze trochę zostało. Zach nie lubi... - Gabby urwała, ponownie zanosząc się płaczem. Em widziała, jak jej łza skapnęła do parującego kubka. - Myliłam się co do niego - stwierdziła w końcu Gabby. - Po tym jak zobaczyłam go z tamtą dziewczyną, pojechałam do jego domu i czekałam na niego. Kiedy się zjawiał, przyparłam go do muru. A on mi powiedział... - Gabby nie patrzyła jej w oczy i Em wiedziała, że czuła się zawstydzona.

- Co ci powiedział? - Em chciała wiedzieć.

- Powiedział, że tak, spotykał się z innymi dziewczynami. Kto wie co jeszcze robił. Mówił, że żałuje. Jasne. I coś tam jeszcze, że nie potrafi wybrać. A potem rzuciłam w niego kolczykami, które dostałam od niego na Gwiazdkę, i wyszłam. I przyjechałam tutaj. - Jej ton zdradzał, że nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. - Gabs, bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

- Nie wiem już, komu mogę ufać. - Gabby ukryła głowę w dłoniach.

- Mnie możesz - powiedziała Em, czując w piersi pulsujący ból. Tak bardzo brakowało jej Gabs.

Gabby spojrzała Em prosto w oczy.

- Mogę?

Em nachyliła się do niej, pragnąc, by jej uwierzyła.

- Tak, możesz mi ufać. Wiem, że teraz ciężko ci w to uwierzyć, ale możesz. Gabs...

Gabby przerwała jej:

- Wiesz, nie chciałam tu przyjeżdżać. Ale... - Wzruszyła ramionami. - Boże, Em, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nawet po tym, co się stało. Nadal jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nikt inny by nie zrozumiał. - Ale - dodała szybko - nie myśl sobie, że nie jestem już na ciebie wściekła. Jestem.

Cholernie. Em zaschło w ustach. Pokiwała głową.

- Wiem. Nie spodziewam się, że mi, ot tak, przebaczysz. Ale chcę, żebyś poznała moją wersję.

Wydymał nas obie. To znaczy, nie dosłownie, oczywiście - dorzuciła pośpiesznie. - Ale to dupek.

Manipulator. On wykorzystuje ludzi, Gabs. - Em wzdrygnęła się, przypominając sobie, że to samo mówił jej JD. - To cię nie usprawiedliwia. Wiem, że potrafisz to wszystko wyrazić o wiele lepiej ode mnie, znaleźć odpowiednie słowa. Ja tak nie umiem, Em. Wiem tylko, że czuję się fatalnie.

Em podniosła swój kubek, ale zaraz go odstawiła.

- Wiem, Gabby. Wierz mi, że wiem. - Westchnęła. - I bardzo mi przykro.

Gabby przykryła się kocem, ściągniętym z oparcia kanapy.

- O czym jeszcze wiedziałaś? - Głos jej drżał. - Wiedziałaś, że Zach spotykał się z innymi dziewczynami? Em powiedziała jej wszystko. O tym, czego dowiedziała się od Chase'a. To, do czego przyznał się jej Zach, kiedy go przycisnęła. Cały czas nerwowo zakładała włosy za uszy, patrząc, jak Gabby coraz bardziej zapadała się w kanapę.

- Próbowałam ci powiedzieć, Gabs. Chciałam z tobą porozmawiać. - Em odchrząknęła. - On jest mistrzem w sprawianiu, że ludzie czują się wyjątkowi. Wydaje im się, że jego uczucie wobec nich jest niepowtarzalne, unikalne. Tak właśnie było ze mną. Naprawdę czułam... - Westchnęła. - Naprawdę czułam, jakby łączyło nas coś wyjątkowego. Wiedziałam, że robię źle, ale



nie byłam w stanie z tym walczyć. Wydawało mi się, że to moja jedyna szansa na przeżycie wielkiej miłości. Takiej, jaką ty miałaś. Jaką myślałam, że miałaś. Na idealne życie, takie jak twoje. Idealny związek. Chciałam... , Gabby wpatrywała się w nią bez słowa. Em mówiła dalej:

- Ale to nie była żadna wielka miłość. On po prostu sprawdzał jak daleko może się posunąć i ile ujdzie mu płazem. Wiesz, że tego żałuję. Nigdy niczego nie żałowałam aż tak bardzo

Mówiła prawdę. Żałowała. Wyjawiając te wszystkie sekrety, czuła się trochę, jakby była ze swoim sumieniem w myjni samochodowej. Gdyby Gabby zrozumiała, może jej grzechy zostałyby zmyte? . \_

- Boże - Gabby ponownie ukryła głowę w dłoniach. - Co za wstyd. Jak ja się teraz pokażę w szkole? A jutro jest jeszcze ta impreza przed meczem... Mieliśmy pójść razem...

- Gabs to nic takiego. Naprawdę. Jesteś ponad to. - Em dotknęła ręki najlepszej przyjaciółki. - Gabby? Czy... czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Gabby zabrała rękę, ale uniosła głowę, żeby spojrzeć na Em.

- Nie wiem, Em. Po prostu... potrzebuję ciebie - wyszeptała.

- Też cię potrzebuję, Gabby. - Em znowu płakała. - Rodzice nie dawali mi spokoju: „Co z Gabby? Pokłóciłyście się?”

- Moi to samo. Wygląda na to, że łatwiej będzie po prostu znowu się przyjaźnić. - Gabby usiadła prościej. Przygładziła włosy. - Jezu. Co za palant. Co za idiota. Nienawidzę go. I wiesz co?

Nienawidzę go za to, co zrobił tobie, równie mocno, jak za to, co zrobił mnie.

I właśnie dlatego Emily tak kochała Gabby. Bo Gabby, nawet kiedy jej świat walił się jej na głowę, czuła również boi Em. Może Gabby myślała o uczuciach innych więcej, niż się do tego przyznawała.

Em postanowiła, że będzie silna dla przyjaciółki - była jej to winna.

Tylko czy starczy jej sił, by uratować samą siebie.!

## Rozdział 23

Skończyło się na tym, że Gabby została na noc. Rodzice Em wrócili do domu około jedenastej i, choć nazajutrz była szkoła, zgodzili się (tak samo jak rodzice Gabby, kiedy wysłała im ese-mes), żeby dziewczyny spędziły noc razem. Em sądziła, że byli zadowoleni, znów widząc Gabs.

Obudziły się rano i postanowiły podjechać do Gabby, żeby się przebrała i wzięła książki. Gdyby miała włożyć dzinsy Em, musiałyby dołączyć do nich jeszcze szcudła.

- Fajny wisiorek - zauważyła Gabby, kiedy wychodziły z domu, wskazując na węża dyndającego na szyi Em.

Em założyła go w ostatniej chwili. Dotarła już do etapu, że była gotowa spróbować wszystkiego. ' Kiedy Gabby wróciła do samochodu przebrana i z książkami, Em zapytała nieśmiało, czy nie chciałaby wstąpić do Dunkin Donuts.

- Jasne! - Em widziała, że Gabby jest gotowa zmierzyć się ze światem. Miała nienaganny makijaż i wstała godzinę wcześniej niż ona, żeby wziąć długie prysznic. Była pewna, że Gabby wyjdzie z tego wszystkiego bez szwanku.

- Wiesz, co jest straszne? - Gabby popijała swoją kawę z czekoladą, patrząc przez okno na szare miasto.

- No?

- Wiem, że to okropnie zabrzmiało, i mówię to tylko tobie, ale... plusem w tym wszystkim jest, że nikt nie gada o mnie i Zachu! Dzieją się naprawdę straszne rzeczy. Giną ludzie.

- Masz rację. - Em przytaknęła. - Całkowitą.

A potem uzgodniły strategię: w szkole ani słowa o zerwaniu z Żakiem. Im mniej plotek na ten temat, tym lepiej.

Zanim wysiadła, Gabby obróciła się w swoim fotelu, żeby spojrzeć na Em.

- Będiesz na tej imprezie przed meczem, prawda? Sama nie dam rady.

Em wahała się tylko chwilę. Nie miała najmniejszej ochoty tam być, ale nie mogła znowu zawieść Gabby.

- Jasne, że będę - obiecała.

Kiedy szły przez parking do szkoły, Em pomyślała, że musiały wyglądać jak groźna, dwuosobowa armia. Em rozglądała się za Drea przed lekcjami, ale nie miała szczęścia. Potem szukała jej na pierwszej przerwie. I nic. Nie chodziły razem na żadne zajęcia, a Em nie miała pojęcia, co podczas przerw robili goci i inni tacy. Z pewnością nie kręcili się pod klasami ani nie przesiadywali pod salą gimnastyczną. Obiecała sobie, że będzie zwracać większą uwagę na to, gdzie spędzali czas ludzie należący do różnych subkultur, na wypadek gdyby znów śledził ją ktoś - lub coś - by ukarać za popełnione błędy

Wreszcie, gdy zaczęła się przerwa na lunch, dostrzegła w połowie fioletowe, w połowie czarne włosy Drei; Drea szła w stronę biblioteki.

- Drea! - krzyknęła Em, przebijając się przez grupę uczniów, która właśnie wysypała się z matmy. -

Drea! - zawołała znowu, ścigając ją. Brakło jej tchu. - Musimy pogadać.

Drea, która pociągnęła dziś rzęsy fioletowym tuszem, nie wyglądała na zszokowaną, że Em ją ściga.

- Och, cześć.

- Hej, dobrze, że cię zobaczyłam. - Em dotknęła węża na swoim dekolcie, żeby Drea zauważyła, że nosi wisiołek. - Jak się masz? - Ledwo zapytała, uświadomiła sobie, że Drea na pewno już wie, że jej najlepsza przyjaciółka umarła. - To znaczy, jak sobie radzisz? Bez Sashy... - dodała.

- Dzięki, nie chcę rozmawiać o Sashy - ucięła stanowczo, chociaż grzecznie, Drea. Miała podkrążone oczy. Schowała ręce do kieszeni dzinsów.

- Och. Okej. Sorry. - Em oblizwała usta, kiwając głową.

- O czym chciałaś ze mną gadać? - Drea patrzyła na Em jakby ze znużeniem.

- Eee... cóż. - Em czuła się niedorzecznie; zanim zaczęło się to wszystko, nigdy nie rozmawiała z Drea dłużej niż dwie minuty,

a rozmowa zwykle ograniczała się do: „duży popcorn, dodatkowe masło”. Ale czuła, że Drea to jej ostatnia nadzieja. - Powiedziałaś, żebym się do ciebie zgłosiła, jak będę chciała pogadać. Wiesz o czym. O tym kwiecie i tak dalej? O czerwonym storczyku?

- Cicho! - Drea ani trochę nie wyglądała już na znużoną. Obejrzała się przez ramię. - Nie możemy o tym rozmawiać tutaj - Hm. Okej.

Drea mówiła szeptem, odruchowo dotykając swojej broszki w kształcie węża.

- Możesz spotkać się ze mną po szkole?

Em niezbyt była zachwycona perspektywą czekania kolejnych trzech godzin, by się czegoś dowiedzieć, ale nie miała wyboru.

- Jasne. Gdzie?

Drea zawahała się, mrużąc oczy. Em odnosiła dziwne wrażenie, że Drea ją ocenia albo w jakiś sposób testuje. - U mnie - odezwała się w końcu. - Zapiszę ci adres. - Wyjęła z torby długopis i sięgnęła po rękę Em. Em patrzyła na odlażący szary lakier na paznokciach Drei, gdy gryzmoła adres we wnętrzu jej dłoni. Trochę ją to łaskotało i dostała gęsiej skórki. Skinęła głową. Drea odeszła, nie mówiąc ani słowa więcej. Kolejne trzy godziny ciągnęły się w nieskończoność. Podczas przerwy na lunch Gabby przysłała jej esemes, że przyjechała po nią mama i pojechały na terapeutyczną sesję zakupową.

Typowe. Em poszła do biblioteki i zjadła w samotności. Na angielskim nie mogła skupić się na dyskusji na temat *Hrabiego Monte Christo*. Cały czas wspominała wizytę Ali na swoim progu. Głośne pukanie. Intensywnie czerwony storczyk. Ze zdenerwowania aż jej nogi chodziły pod ławką. Na naukach o Ziemi było jeszcze gorzej. Zach wreszcie pojawił się w klasie - żalotne, pomyślała Em, że po śmierci Chase'a był zbyt załamany, żeby chodzić do szkoły, ale nie przestał uganiać się za dziewczynami i zdradzać Gabby - i tył jego głowy był pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po wejściu do klasy. Była zadowolona, że się nie odwrócił; ani razu przez całą lekcję.

Dziesięć minut przed końcem lekcji już się spakowała; dzwonek jeszcze nie skończył dzwonić, kiedy wypadła ze szkoły.

Wiedziała, jak dotrzeć na osiedle Drei, ale dalej miała już pewien problem. Ulica znajdowała się niedaleko centrum, gdzie starsze domy musiały pamiętać jeszcze XIX wiek. Osiedle ciągnęło się aż do lasu, granicząc z nowym centrum handlowym, o ile Em nic się nie pomyliło.

Kiedy zatrzymała się pod domem Drei, przeszedł ją dreszcz. Nie żeby dom był jakiś dziwny albo straszny, ale wyglądał na... bardzo zużyty. Jeszcze parę lat i chyba się sam z siebie zawali. Ktoś zaczął odśnieżać ścieżkę od frontowych drzwi do chodnika, ale przerwał w połowie i Em brnęła do drzwi po śladach stóp większych od swoich.

Nacisnęła dzwonek. Czekając na Dree, obejrzała się przez ramię. Znowu poczuła ciarki na plecach. - Cześć - powitała ją Drea, otwierając drzwi. Jej czarna koszula była rozpięta pod szyją, na której wisiało kilka srebrnych łańcuszków, niektóre z wisiorkami. Włosy, wyjątkowo, miała zebrane do tyłu. Em znów pomyślała o tym, jak rzadko patrzyła na Dree. Tak naprawdę. - Cieszę się, że przyjechałaś. - Drea dała jej znak, żeby szła za nią. Gdzieś w głębi domu ryczał telewizor. Mijając drugi pokój po lewej, Drea zamknęła go; zanim to zrobiła, Em zdążyła zobaczyć starszego mężczyznę - pewnie jej ojca - siedzącego przed telewizorem. Jego wzrok był równie szklany jak ekran telewizora. Em sobie przypomniała: kiedyś obito się jej o uszy, że ojciec Drei przeszedł załamanie nerwowe. Drea dotarła do końca korytarza i zaczęła schodzić w dół. Em się zawahała. - Nie bój się, nie zamierzam cię zabić ani nic takiego - rzuciła ironicznie Drea, zauważając jej niepewną minę. - Na dole mam swój gabinet. Gabinet? Jej rodzice mieli swoje gabinety. Szesnastoletnie dziewczyny nie mają gabinetów. Ale poszła za Dree na dół, gdzie zobaczyła zasłonę z przypiętym do niej czarno-pomarańczowym znakiem „Zakaz wstępu”. Drea odsunęła zasłonę.

Pociągnęła za sznurek zwisający z sufitu i pojedyncza naga żarówka oświetliła jej „gabinet”. Em zobaczyła poplamiony farbą stół, zavalony książkami, papierami i wycinkami z gazet. Obok były półki z książkami. Po przeciwnej stronie znajdowały

się zniszczony fotel, małe biurko i lampa stojąca. Od lampy odchodził w stronę ściany pomarańczowy przedłużacz z rozgałęzieniem, do którego podpięta była także minilodówka. Całość była przedzielona pomazanymi sprejem prześcieradłami. Jedno z nich, to najbliższej kącika kuchennego, ozdabiały babeczki. - Łau - szepnęła Em.

- Wiem, trochę tu prymitywnie - powiedziała Drea, ustawiając krzesło składane, które wyciągnęła spod stołu. - Ale jest w porządku. Cicho. Ojciec nie zawraca mi głowy. I mam swój system: wiem, gdzie co jest.

- Jest super, Drea. - Em mówiła poważnie. - Naprawdę jestem pod wrażeniem.

- Dobra, dobra. Przejdźmy do rzeczy. - Drea podeszła do lodówki i ją otworzyła. - Mów, co się dzieje. Coli? - Pewnie.

Drea wyjęła dwie puszki i podała jedną Emily. Potem usadowiła się w fotelu, włączyła lampę, która zalała wszystko zielonkawą poświatą, i utkwiała wzrok w Em. Em przestępowała chwilę z nogi na nogę, zbierając się w sobie.

- Cóż... wydaje mi się, że Chase...

- Nie spotkałyśmy się, żeby rozmawiać o Chasie - przerwała jej Drea. - Tylko o tobie. Pamiętasz? Em się zaczerwieniła. - Tak. Sorry. - No dobra, to co się dzieje?

Em zerknęła na sufit, jakby szukając tam odpowiedzi.

- Od czego mam zacząć?

- Co cię niepokoi? - Drea pociągnęła łyk coli, unosząc brwi i kładąc nogi na biurku. Nosiła glany z blaszkami.

Em przełknęła ślinę, po czym wyrzuciła z siebie szybko:

- Jest taka dziewczyna... to znaczy, jest ich więcej... i ona najwyraźniej mnie śledzi.. Ciągłe się pojawia. A to w oknach, a to w Bostonie, wszędzie. I myślę, że są jeszcze dwie takie jak ona. Jedną z nich znalazł Chase Singer. Tak sędzę. - Em spojrzała na Dree, spodziewając się, że ją wyśmieje albo coś. Ale Drea słuchała jej uważnie, z poważną miną. - I według mnie to one

mogły doprowadzić do jego śmierci. Zabić go za to, co zrobił Sashy.

Na dłuższą chwilę zapadło między nimi milczenie. Drea wyglądała, jakby dostała w twarz. Em zakłęła w duchu - nie powinna wspominać o Sashy. Albo zrobić to jakoś delikatniej. Drea pewnie nawet nie wiedziała, że coś było między Sashą a Chase'em, a tym bardziej, że to Chase puścił w obieg fotki Sashy. Miała nadzieję, że Drea nie zacznie wypytywać jej o szczegóły.

Nagle Drea odchrząknęła i nachyliła się do przodu.

- Powiedz, co zrobiłaś? -Ja?

- Tak, ty - drażyła Drea, celując palcem w sam środek klatki piersiowej Em.

- Ja... hm... - Em nie chciało to przejść przez gardło, choć to, co zrobiła, to już żadna tajemnica.

Niewykluczone, że Drea też już wiedziała.

Drea wpatrywała się w nią.

- Em, chcesz rozmawiać czy nie?

- Okej. - Em ukryła dłonie w rękawach, zamknęła oczy i wyrzuciła z siebie:

- Jakiś czas temu zaczęłam kręcić z Żakiem. - No. Powiedziała to. Otworzyła oczy, by sprawdzić reakcję Drei, ale jej twarz nie wyrażała zupełnie nic. - Żakiem McCordem. - Nadal nic. Drea po prostu na nią patrzyła. - Chłopakiem Gabby.

- Gabby...? - Drea uniosła pytająco brwi, dając znak ręką, żeby Em to rozwinęła.

- Gabby Dove. Mojej najlepszej przyjaciółki. - Em opadła ciężko na składane krzesło. Skoro Drea w ogóle nie była zorientowana, to jak miała jej pomóc?

- Och. No to wszystko jasne - stwierdziła Drea. - Zadałaś się z chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki.

Em się skrzywiła. W ustach Drei brzmiało to tak banalnie.

- No. Ale to nie tak, jak... Drea ponownie jej przerwała:

- Słuchaj, Em. Nie obraż się, ale to mnie nie obchodzi. To znaczy nie obchodzi mnie, czemu to zrobiłaś i takie tam. Nie

spotkałyśmy się tutaj, żeby zostać przyjaciółkami. Chcę wiedzieć, co się stało, żeby pomóc ci zrozumieć, co się dzieje, i może jakoś temu zaradzić.

- Okej. - Em odetchnęła z ulgą. Wcale nie miała ochoty znowu się w to zagłębiać. - Całkowicie się zgadzam.

- Dobra. To wszystko, te książki - powiedziała Drea, zataczając ręką po swoim królestwie - dotyczą furii.

- Czego? - zapytała Em. Ścisnęło ją w żołądku.

- Furii - powtórzyła Drea. Jej oczy błyszczały. - Furie. Trzy dziewczyny. Trzy duchy. Trzy demony. Trzy czarownice. Jak zwał, tak zwał. Są tutaj, to pewne. Istnieją od zawsze. - Mówiła o tym w taki sposób, jakby duchy i demony to było coś zupełnie normalnego, ale Em uważnie jej słuchała. - Znane są pod wieloma nazwami - ciągnęła Drea. - Czasami nazywane są eryniami, co znaczy karzące i groźne. Pełno ich w greckiej mitologii; dziwię się, że nigdy o nich nie słyszałaś. Ścigają tych, którzy zrobili coś złego. I wymierzają im karę. Czekają, aż człowiek popełni błąd, a potem decydują, na co sobie zasłużył. Jeśli uznają cię za winną, zniszczą cię; nieważne są okoliczności, kontekst ani czy dzięki temu sytuacja się poprawi.

- Furie - powtórzyła Em, pocierając skronie. - Czyli... są jak duchy?

- Mniej więcej. Myślę, że przyjmują różne formy w zależności od miejsca. Podejrzewam, że w Ascension zawsze pojawiają się w ludzkiej postaci, choć nigdy ich nie widziałam.

- Naprawdę w to wierzysz? - Em drapała się po szyi; czuła się nieswojo.

- Ja w to nie wierzę. Ja to wiem. - Drea miała śmiertelnie poważną minę.

- Czyli ta dziewczyna, która mnie śledzi... myślisz, że to furia? - Em miała mętlik w głowie. - Myślisz, że furie miały związek z tym, co spotkało Saszę i Chase'a?

Drea wzruszyła ramionami.

- Pewności nie mam, ale nie byłabym zaskoczona. Od zawsze krążyły legendy o pięknych, okrutnych siostrach mieszkających w naszym miasteczku. Podobnie w innych miejscach na świecie.



- Skąd to wszystko wiesz? - zapytała Em. Jej mózg pracował na przyspieszonych obrotach.

Drea obwiodła palcem krawędź swojej puszkę.

- Takie hobby - odpowiedziała krótko.

- Ale jak to się zaczęło? - drażyła Em. Drżała, choć w piwnicy nie było zimno. - Kiedy pierwszy raz o nich usłyszałaś? Czemu zaczęłaś... zbierać to wszystko?

Drea podniosła się zniechęcona i cisnęła pustą puszkę do kosza w kącie.

- Słuchaj. Tu nie chodzi o mnie, okej? Tylko o ciebie, o to, co się dzieje i co z tym zrobisz.

- Ale to jakieś szaleństwo - jęknęła Em. Gdyby ktoś wiedział, że siedziała w piwnicy Drei Fieffer i rozmawiała o duchach... -Czemu... czemu miałabym ci wierzyć?

- A czy ktoś inny wierzy tobie? - odparła ze spokojem Drea; zupełnie jakby czytała jej w myślach. Em pokręciła głową.

- Tak myślałam. Dlatego tu jesteś. I dlatego powinnaś mi zaufać. Bo ja ci wierzę.

Em przygryzła wargę.

- No dobra... Powiedzmy, że furie rzeczywiście istnieją -podjęła Em. - Można je powstrzymać?

- Nie wiem, ale się dowiem. - W oczach Drei błyszczała determinacja. - Zamierzam je zniszczyć.

Em nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ale czy nie powinnaś być raczej po ich stronie? - Zdała sobie sprawę, że nie ma wyjścia. - Słuchaj, jestem pewna, że to przez Chase'a Sasha skoczyła z wiaduktu - wypaliła. - A teraz on nie żyje. Nie jesteś z tego powodu zadowolona?

Drea popatrzyła na nią smutnymi oczami. Pierwszy raz w życiu Em poczuła się prawdziwie mała.

- Ty tak serio? - zapytała piskliwym głosem Drea. - Serio uważasz, że tak to powinno działać?

Naprawdę myślisz, że to dlatego Sasha skoczyła? Przez cholernego Chase'a Singera? Nie. Skoczyła, bo była smutna i samotna. Pograżona w depresji. A ja o tym nie wiedziałam. - Jej głos był coraz cichszy i mówiła tak

szybko, że Em ledwo mogła ją zrozumieć. - Nie wiedziałam -powtórzyła. Em widziała, że powstrzymywała łzy. - Jestem pewna, że...

- Nic nie wiesz, Emily. Żyjesz w swoim małym świecie, pochłonięta swoim życiem. Ale słuchaj. Furie nie robią nic dobrego. I nie chcę, żeby cokolwiek robiły, chcę, żeby zniknęły. Jakim prawem jakieś laski z piekła rodem mają się mieszać do naszego życia? Sami grzeszymy i sami decydujemy o swoim losie. Wiesz, że one nie mają wyrzutów sumienia?

- A co się dzieje, kiedy one popełnią błąd? - Em uświadomiła sobie, że kurczowo ścisnęła swoją puszkę z colą.

Drea zaśmiała się sucho, co zabrzmiało niemal jak kaszel.

- Zabawiają się tak od tysiącleci, ale jestem pewna, że nie uważają, żeby popełniły chociaż jeden błąd.

- Ale jak to działa? - drażniła Em. - Skąd one wiedzą, kiedy ktoś zrobi coś złego? Co się liczy? -

Chciała powiedzieć: „To co zrobiłam, nie było nawet w połowie tak złe, jak to, co zrobił Chase”, ale ugryzła się w język. Drea wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - zapiszczała Em.

Drea nachyliła się i wyciągnęła spod stołu książkę. Podała ją Em.

- Słuchaj, nie wiem wielu rzeczy. Ale wiem, że furie cię namierzyły. Czerwony storczyk to ich znak rozpoznawczy. Piszą o tym tutaj. - Wskazała na starą książkę w ręce Em.

- I mogą wyglądać jak ludzie - powiedziała Em; było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Owszem, mogą przybrać ludzką postać - potwierdziła Drea. - Kiedy przystępują do dzieła. Kiedy kogoś przesładują. - Jak mnie - mruknęła Em.

- Jak ciebie - powtórzyła Drea. Em dopiła swoją colę.

- To co powinnam zrobić?

- Masz. - Drea sięgnęła po plik wydruków i podała jej. -Przeczytaj to. To historie z całego świata, które według mnie mają związek z furiami.

Em odchyliła głowę na oparcie krzesła.

- Jakim cudem przeczytanie tego zapewni mi spokojny sen?

- Nie możesz walczyć z czymś, czego nie rozumiesz. - Drea obrzuciła ją wzrokiem. - Jezu. Myślałam, że jesteś bystrzejsza.

Em się zaczerwieniła.

- Sorry, że nie jestem Hermioną ani nikim takim. To wystarczyło, żeby obie się uśmiechnęły.

- Po prostu to przeczytaj, Winters. - „Winters”. Pomyślała o Chasie. W milczeniu zapakowała książki i wydruki do torby.

Zjechała na pobocze, zanim jeszcze opuściła ulicę Drei, i wyciągnęła z torby największą książkę.

Otworzyła ją. Kręciło się jej w głowie. Furie. Demony zemsty? To było jakieś szaleństwo. Nawet jeśli faktycznie istniały, to nie sądziła, by najgrubsza książka na świecie mogła wytłumaczyć, czemu postanowiły pojawić się akurat w Ascension, w Maine - skoro świat był pełen okropnych ludzi, robiących okropne rzeczy. Czemu postanowiły ukarać grupę licealistów? Zajrzała do indeksu:

Alkohol... Alek-to... Demony... Erynie... Formy zwierzęce... Megajra... Mity greckie... Tyzyfone...

Węże... Nie rozumiała połowy słów. Tekst zaczął się rozmazywać, głowa jej pulsowała.

Zamknęła książkę. Postanowiła poczekać z lekturą do powrotu do domu.

- Mam mnóstwo pracy domowej! - zawołała do mamy, przekraczając próg. Mama, która pracowała krócej w czwartki, popatrzyła na nią dziwnie, jakby wiedziała coś, o czym ona nie wiedziała, ale Em uznała, że pewnie ma już paranoję, dopóki nie weszła na górę. Pod drzwiami jej pokoju leżały bukiecik stokrotek i duża tabliczka ciemnej czekolady.

- JD zostawił to dla ciebie! - zawołała mama z półpiętra. Em odwróciła się i zobaczyła, jak mama patrzy na nią z uśmiechem. - Mamo, to nic takiego - powiedziała. Ale jej samej też trudno było powstrzymać uśmiech. Wzięła kwiaty i czekoladę, a kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi pokoju, przyjrzała się bliżej bukiecikowi. Do czekolady był przyklejony liścik.

„Powinienem być lepszym słuchaczem. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Zawsze. JD”.

Jej żołądek zrobił salto i popędziła do okna. Otworzyła je, a zimne powietrze, które wpadło, przyjemnie schłodziło jej płonące policzki. Potrząsnęła sznurkiem, rozciągniętym pomiędzy oknami jej i JD. Na obu jego końcach były dzwoneczki - taka stara metoda komunikacji, którą wymyślili w trzeciej klasie. Ucieszyła się, że sznurek, którego prawie nie używali, od kiedy poszli do liceum i dostali komórki, nie był zerwany.

Zobaczyła w oknie zarys sylwetki JD, a potem patrzyła, jak podciągnął roletę i otworzył okno.

- Pójdiesz ze mną później na imprezę przed meczem? - zawołała; zimny wiatr zapierał jej dech.

- Pokażesz się publicznie z tym facetem? - JD wskazał na siebie, unosząc brew. Miał na sobie bluzę z jeleniem, nad którym widniał napis „Maine”.

- Z przyjemnością! - odkrzyknęła Em. - Uwielbiam jelenie. I weź swój kapelusz.

- Tobie też wezmę - zapowiedział JD. - *A bientôt, escargot!* Em się roześmiała. Podobało się jej, że JD zapożyczył od niej ten zwrot.

- *A bientôt, escargot!*

JD uśmiechał się jak dzieciak, zamykając okno, a ona już wiedziała.

Wiedziała, że JD ją kocha. Nie miała żadnych wątpliwości. Pokochał ją w taki sam sposób, w jaki jej tata kochał jej mamę: prawdziwie. Czuła się taka lekka. Pomimo całego zamętu - Zach, Gabby, Sasha, Chase, furie - wiedziała, że mogła liczyć na JD, że akceptował ją taką, jaka była. Ze zawsze jej wysłucha. Ze widzi prawdziwą ją. Przypomniła sobie tamtą noc spędzoną na jego kanapie i sylwestra na moście. W tym momencie niczego tak nie pragnęła, jak być blisko niego.

Dokładnie. Zawsze on. Jak sznurek między ich oknami, tak i to, co ich łączyło, było niezniszczalne.

Ona też była zakochana.

## Rozdział 24

Szykując się na imprezę, Em była jak naelektryzowana. Mimo tych wszystkich dołujących rzeczy, jakie się działy wokół, czuła wypełniającą ją energię. Pewnie gdyby dotknęła telewizora, byłoby niezłe zwarcie.

W głowie miała prawdziwy mętlik; jej myśli krążyły między JD a furiami. Szykowała się na randkę z chłopakiem, którego znała od pieluch. Bo to była randka, prawda? Na samą myśl przyspieszył jej oddech. Czy pocałują się dzisiaj? Może w blasku ogniska?

W jej przyjemne rozważania wdarła się twarz Ali z jej niepokojącymi oczami. Em wzdrygnęła się i włączyła lampkę na nocnej szafce, choć było zapalone górne światło, a potem żarówki wokół lustra. Nie. Żadnych ciemnych kątów!

Otworzyła głośno szafę, jakby chcąc wypłoszyć ewentualnych intruzów. Uderzała w wiszące sukienki, czekając na wyłonienie się Ali lub którejś z pozostałych przerażających kuzynek. Ale nic takiego się nie stało. Szafa pachniała jak zawsze - cedrem i proszkiem do prania. Em odetchnęła z ulgą, ale zaraz uświadomiła sobie, że brak Ali w szafie oznaczał jedynie, że zobaczy ją gdzie indziej. Odsuwając od siebie tę myśl, wyciągnęła swoje ulubione, znoszone granatowe lewisy i białą bluzkę z długimi rękawami. Dobrała do tego szary sweter, który uwielbiała, ze względu na jego olbrzymie kieszenie. Przeczesała włosy i zebrała je w niedbały koczek. Nie chciała wyglądać, jakby za bardzo się starała. Nie spotykając się z JD.

W tym rzecz - jego nie obchodziło, co miała na sobie, jak wyglądała, co mówiła. Czy raczej obchodziło, ale nie było najważniejsze. Czuła, że dla JD była po prostu Em.

I to się jej podobało.

Kiedy zadzwonił jej telefon, aż podskoczyła, wydając cichy pisk. Wypuściła powietrze, kiedy zobaczyła, że to Gabby. Jezu. Miała nerwy napięte jak postronki.

- Cześć - powiedziała, zaczerpując tchu. - Przestraszyłaś mnie. Szykuje się na imprezę i... - Urwała, kiedy usłyszała płacz, a właściwie szloch Gabby.
- Gabs? Co się dzieje? - Odruchowo zerknęła za okno. Na podwórku było pusto. Pokrywający je śnieg srebrzył się w świetle księżyca.
- Nie mogę... Em... przyjedź po mnie... On mnie uderzył... pokłóciliśmy się... - Gabby była roztrzęsiona; mówiła urywkami, przeplatając słowa chlupaniem.
- Czekaj, Gabs, co takiego? - Em była już w stanie gotowości. - Kto cię uderzył?
- Zach... - Gabby zaniósła się szlochom i przez chwilę Em w ogóle nie rozumiała, co mówiła. - Chciał porozmawiać. Wiem, że nie powinnam była jechać, ale... - Znowu płacz. - Pokłóciliśmy się i on... Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Jestem tu zupełnie sama. - Gabby zawodziła teraz żałościwie. Serce waliło Em jak młotem. Zach uderzył Gabby - drobną, śliczną Gabby. Boże. Zabiję go.
- Gabby. Już dobrze. Powiedz mi, gdzie jesteś. - Starła się mówić spokojnie. Trzymając telefon między uchem a ramieniem, wciągnęła skarpetki i rozglądała się gorączkowo za butami.
- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - powtórzyła Gabby.
- Przyjadę po ciebie, nic się nie martw. - Już w butach, szukała pośpiesznie kluczyków. Ponieważ jej samochód znowu był w warsztacie, bo trzeba było naprawić hamulce, korzystała teraz z toyoty mamy.
- Po prostu wyskoczyłam z jego wozu. I zaczęłam iść. Teraz... jestem w nowym centrum. Musiałam wejść do środka. - Znowu zaszlochała. - Jest mi strasznie zimno.
- Okej, Gabby? Posłuchaj mnie. Zostań tam. - Kluczyki, kluczyki, kluczyki. Gdzie je, u licha, wsadziła? - Będę tam za piętnaście minut. Nie ruszaj się nigdzie, okej?
- Okej. - Pociągnięcie nosem. - Okej.

- Już jadę, Gabby. - Em rozłączyła się i zlokalizowała kluczyki, które leżały na parapecie. Położyła je tam, kiedy rozmawiała z JD. Boże. JD. Zadzwoń do niego.

- Tak, madame? - Był wyraźnie podekscytowany.

- Cześć. Słuchaj, bardzo mi przykro, ale... - Urwała. Nagle zachciało się jej płakać.

- Co się dzieje? Czemu ci przykro?

- Chodzi o to, że... Gabby jest w tarapatkach. Poważnych. Muszę do niej jechać. - Em miała nadzieję, że nie gada jak wariatka.

- Och. Okej. - W jego głosie słychać było zawód.

- To nie żadna wymówka - tłumaczyła Em, wahając się, ile może mu zdradzić, bo nie wiedziała, czy Gabby by sobie tego życzyła. - Bardzo chcę iść z tobą na tę imprezę. I mam nadzieję, że zdążymy na ognisko. Ale najpierw muszę zająć się Gabby. Ona... ona nie jest nawet w domu. Jest w Potworze.

- W Potworze? Czemu? Nic jej nie jest? Chcesz, żebym z tobą pojechał? - zaproponował natychmiast JD. Chciała, żeby z nią pojechał, ale nie wiedziała, jak Gabby zareagowałaby na jego obecność.

- Nie. To znaczy tak, ale nie - mówiła szybko. - Myślę, że powinnam pojechać sama. Ale dzięki za propozycję. - Nie ma sprawy. Myślisz, że zdążysz na ognisko? - W jego głosie było tyle nadziei, że Em chciała przejść po sznurku jak po linie do jego pokoju i rzucić mu się w ramiona.

- Tak. Obiecuję. Do zobaczenia, okej?

- Na razie. Zadzwoń albo napisz, gdybyś potrzebowała pomocy.

Zbiegła na dół, chwyciła kurtkę z wieszaka i zawołała w stronę pokoju telewizyjnego, gdzie któreś z rodziców oglądało wiadomości:

- Jadę do Gabby, a potem na imprezę! Wrócę późno! - Starła się, by zabrzmiało to normalnie i na luzie. - Okej, skarbie! - odkrzyknęła mama. - Na razie. - Po czym, kiedy Em już wychodziła, dodała: - Uważaj na siebie!

Kiedy Em przyjechała, nowe centrum było rozświetlone. Słyszała, że robotnicy pracowali także nocami, żeby nadgonić

opóźnienie. To ją trochę uspokoiło. Przynajmniej Gabby nie była tu sama przez ostatnich dwadzieścia minut. I przynajmniej ona nie będzie tu sama. Co złego mogło się stać w obecności tylu ludzi? Zmrużyła oczy, wypatrując jasnych loków Gabby, ale jedyne co widziała, to połyskujące stalowe belki i pomarańczowe pachołki. Było głośno - skrzypiały dźwigi, warczały betoniarki. Żaden z robotników chyba nawet nie zauważył jej obecności.

Sięgając do kieszeni po komórkę, aby zadzwonić do Gabby, przypomniła sobie, że po tym, jak się przebrała, zapomniała założyć naszyjnik z węzłem. O nie. Miała go zaledwie od dwóch dni, ale jego brak spowodował, że jej serce znacznie przyspieszyło. Postanowiła wstąpić po naszyjnik w drodze na ognisko.

Świetnie. Jej stary telefon nie miał zasięgu; wystawienie go za okno, a nawet przejechanie w inne miejsce nic nie dało. Gabby miała lepszy aparat i więcej szczęścia. Będzie musiała pójść jej poszukać. Przekląła w duchu swoją najlepszą przyjaciółkę. „Następnym razem, kiedy świat będzie ci się walił na głowę, postaraj się czekać przy wyjściu, Gabs”. Ale zaraz przypomniła sobie, kto naprawdę jest winien tej sytuacji, i zassała powietrze. W końcu zrozumiała, co znaczyło gotować się z wściekłości. Wiedziała, że kiedy go zobaczy, najprawdopodobniej za jakieś pół godziny na ognisku, będzie musiała wziąć na wstrzymanie, żeby go nie opluć albo coś jeszcze gorszego. Ale teraz nie było czasu, żeby myśleć o zemście.

Wysiadła z samochodu i zawołała Gabby, ale jej głos niknął w hałasie. Po drugiej stronie budowy znajdowała się prawie ukończona część kompleksu. Może Gabby tam poszła, żeby się ogrzać. To miało sens. Em ruszyła naprzód, oglądając się co parę kroków, żeby nie stracić z oczu samochodu. Żałowała teraz, że nie przyjechał z nią JD.

Do najbardziej kompletnego skrzydła budynku przylegała część, którą dopiero zaczynali. Kręcili się tam robotnicy wylewający beton. Em przyglądała się przez chwilę ich pracy, zafascynowana szarą mazią, rozlewającą się niczym gęste ciasto naleśnikowe. Jeden z robotników uniósł głowę. Weszła szybko do środka, zanim ktokolwiek mógłby zapytać, co tutaj robiła.



Rozejrzała się. Puste powierzchnie sklepowe i betonowe schody. Zawołała Gabby. Jej głos odbił się echem od ścian. Żadnej odpowiedzi. Jej serce biło coraz szybciej. Co teraz? Krążyła w tę i z powrotem przy wejściu.

- Gabby? - zawołała głośniejszym głosem. - Gabby, gdzie jesteś? Ponownie wyciągnęła komórkę, ale niby czemu miałyby

działać tutaj, skoro teraz była jeszcze dalej od drogi? Już miała pobiec do auta i zawrócić kawałek, żeby spróbować zadzwonić do Gabby i spytać, gdzie dokładnie jest, kiedy usłyszała cichy płacz.

Dochodził z prawej strony. Zrobiła krok w głąb budynku.

- Gabs? - Jeszcze jeden. - Jestem tu, Gabby. Krzyknij, żebym mogła cię znaleźć. - Nadal słyszała łkanie, ale nikt nie odpowiadał.

Zapuszczała się w głąb, a z każdym kolejnym krokiem było coraz ciemniej. Przyświecała sobie telefonem, wypuszczając ustami małe obłoczki pary.

Szła powoli długim, pustym korytarzem. Wielkie prostokątne dziury, które w przyszłości miały być oknami wystawowymi, przypominały otwarte usta, ziejące czarną pustką.

Nagle wydało się jej, że usłyszała swoje imię. Głos dobiegał z głębi korytarza.

- Niepotrzebnie zapuściłaś się tak daleko. Nic nie widzę. Już idę - mówiła głośno, zbyt głośno, ale miała to gdzieś; chodziło jej głównie o to, żeby zagłuszyć swoje myśli.

Nagle, stał się prawdziwy cud - jej telefon zawibrował i za-pikał. Musiała złapać zasięg. Przystanęła i spojrzała na wyświetlacz. Ale wiadomość nie była od Gabby, tylko od JD.

„Jestem na imprezie. Gabby też tu jest. (!?)”

Oblało ją zimno, a przed oczami widziała jedynie mroczki. Znieruchomiała.

Ponownie usłyszała głos Gabby...

- Biedna, mała Emily... - W tym momencie ciche pochlipywanie zamieniło się w chichot.

Zupełnie jakby nagle odsłoniła się kurtyna: tuż przed nią stały furie. Teraz już nie wątpiła, że Drea miała rację - tym właśnie były. Ali, której czerwona szminka przywodziła jej na myśl

ludzką krew. Meg, dziewczyna, którą zabrała z pobocza. Na szyi znów miała połyskującą jasnoczerwoną wstążkę, ciasno zawiązaną, z kokardą pod prawym uchem. Em przypomniała sobie jedną z obozowych historii o duchach - pewna dziewczynka zawsze nosiła zieloną wstążkę, a gdyby ją kiedykolwiek rozwiązała, odpadłaby jej głowa. No i ta trzecia. O płomiennie rudych włosach i urodzie modelki. Ją też już widziała. Tamtego wieczoru, po imprezie u lana Minstera. Stała na poboczu drogi, tak samo zresztą jak tamte dwie. To musiała być Ty. Ta, która uwiodła Chase'a. Boże. Chase. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nadeszła jej kolej, żeby zapłacić. To nie z Gabby rozmawiała przez telefon. To były one. Udawały Gabby, żeby ją tutaj zwabić.

- Zostawcie mnie w spokoju - powiedziała, co zabrzmiało jak żalosne błaganie.

Patrzyły na nią. Nie, patrzyły w nią. Choć piękne, budziły przerażenie. Bo ich twarze były maskami. Musiała uciekać.

Zrobiła krok w tył, i jeszcze jeden, a potem odwróciła się i puściła biegiem. Jej koczek się rozplątał i włosy powiewały za nią. Biegnij - nie zatrzymuj się. Nie odwracała się, ale czuła, że podążały za nią. Jak dym. Dyszała, biegnąc, ale one przemieszczały się bezgłośnie. Korytarz wydawał się znacznie dłuższy niż wcześniej.

Źle skręciła. Czuła to. Biegła w złym kierunku. Zawróć. Zdawało się, że minęły wieki, nim myśl ta dotarła do jej nóg. Poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Szybciej. Musiała biec szybciej.

Wydostać się na zewnątrz. Dotrzeć do samochodu. Odjechać.

- Em! - wołały do niej. - Nie uciekniesz. Od tego nie ma ucieczki. Nie rozumiesz?

Była w centrum handlowym. Musiało być stąd jakieś inne wyjście. Jakaś inna ziejąca dziura, w której kiedyś będą zainstalowane szklane drzwi. Biegła dalej, przyświecając sobie telefonem.

A one nadal za nią sunęły. Nie mówiły na głos - słyszała je w głowie. Em. Em. Em. Zobaczyła przed sobą wyjście. Przebiegła przez nie. Nie. Źle. Znalazła się w dużym, pustym pomieszczeniu. Była w pułapce. Cholera. Poczula na szyi jakby dotyk ma-

cek. Wrzasnęła i wyskoczyła przez dziurę okienną z powrotem na korytarz. Biegła ile sił w nogach. Skręciła za róg. Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła. Była oszołomiona, zupełnie jakby właśnie zdjęto jej opaskę na oczy, po zabawie w „przytnij ogon osiołkowi”. Potknęła się o coś, prawie upadając na podłogę. Wrzasnęła:

- Nie! - Nie zatrzymuj się. Biegnij. Szybciej. Odzyskując równowagę, zobaczyła jakieś dwadzieścia metrów przed sobą dziurę w ścianie - na okno albo drzwi. Wpadało przez nią światło. Teraz widziała, że to była ta część budowy, gdzie robotnicy wylewali beton. Słyszała brzęk rur i warkot betoniarki. W końcu. Dasz radę. Musiała tylko wydostać się na zewnątrz. Tam byli robotnicy. Potem szybko do samochodu i odjedź. Ale wtedy usłyszała w głowie krystaliczny głos: Nie uciekniesz przed nami. Nawet nie próbuj. Między nią a wyjściem zmaterializowała się Ty.

To nie fair, pomyślała zrozpaczona Em. Była tak blisko. Nie fair. Miała ochotę urwać tej furii głowę. Wyjęła z ust kosmyk włosów, który wpadł tam, kiedy prawie upadła.

- Zejdź mi z drogi - wycedziła. Zrobiła krok w lewo. Ty również. Spróbowała przemknąć się prawą stroną. Ale Ty była i tam.

- Tędy - powiedziała Ty, kiwając na Em, żeby szła za nią wąskim korytarzem, oddalając się od otwartej przestrzeni. Zabrzmiało to, jakby chciała jej pomóc, ale Em nie była naiwna.

- Zostaw mnie w spokoju. - Em postanowiła czmychnąć, ale furia złapała ją za rękę. To było trochę tak, jakby wpadła w pajęczą sieć; prawie nieistniejące uczucie, którego nie sposób się pozbyć.

Pomyślała, że właśnie tak Ty załatwiła Chase'a. Zwabiła go w swoją sieć. Zahipnotyzowała. A potem zabiła. Jej obraz migał, co przyprawiało Em o zawroty głowy. Czuła się trochę tak, jakby patrzyła na kulę dyskotekową.

- Nie możesz uciec - mówiła spokojnie Ty. - Ale możemy jakoś się dogadać. - Na chwilę Em utonęła w zielonych oczach Ty. Potem zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu, przyglądając się białej tunice do ziemi i włosom, które zdawały się ślizgać po ramionach. Ty cały czas migała. - Chodź za mną. Chyba że

wolisz zostać... a wtedy, one się tobą zajmą. Kto wie, co się stanie.

Em cała była zlaną zimnym potem. Z trudem oddychała. Miała wrażenie, jakby gigantyczna pięść zacisnęła się na jej płucach. Cofnęła się. Wydawało się jej, czy na kogoś wpadła? Wrzasnęła:

- Pomocy! Proszę! Niech mi ktoś pomoże!

- Nikt cię nie słyszy - tłumaczyła jej Ty takim głosem, jakby mówiła do dwulatka. - Ostatnia szansa. Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć.

Z oczami pełnymi łez Em intensywnie myślała. Czemu nagle Ty miałaby jej pomagać? To bez sensu! Ale fakty były takie, że nie miała wyboru: nie było nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc, nie miała dokąd uciec.

- Dobra - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Okej.

Em ledwo mogła nadażyć za Ty, kiedy przemieszczały się ciemnym korytarzem. Zerknęła przez ramię. Ali i Meg nie było za nimi. Przynajmniej na razie. Może Ty rzeczywiście chciała jej pomóc. Dotarli do schodów. Ty zostawiła ją w tyle. Nagle Em zorientowała się, że była na zewnątrz, na jakimś tarasie na piętrze. Odetchnęła głęboko lodowatym powietrzem. Nigdzie nie widziała Ty. Po lewej były schody, którymi można było zejść na dół. Pędząc w ich stronę, widziała, jak dźwig zrzucił trzy ciężkie rury.

Dokładnie tam, gdzie by była, gdyby Ty nie stanęła jej na drodze. Teraz wylewali tam beton.

A potem usłyszała krzyki. Ktoś ją wołał: Em. Em. Em. Nie wiedziała tylko, czy naprawdę, czy było to zawroźnienie wiatru. Ali i Meg. Przygniotły je rury; zostaną zalane betonem.

Były uwięzione. Uwięzione. Czy to w ogóle możliwe?

Kierowała się w stronę samochodu. Uciekaj do domu. Uciekaj do JD. Uciekaj. Czy już zawsze będzie uciekać? Cała się trzęsła, a na jej policzkach zamarzały łzy. Nie rozglądała się za Ty, żeby jej podziękować ani dowiedzieć się, jak i czemu jej pomogła. Właśnie. Czemu mi pomogła?

Wytarła nos w rękaw i przejechała ręką po włosach. I nagle do niej dotarło. Poczwała ulgę.

Niesamowitą ulgę. Uśmiechnęła się. Miała je z głowy. Były uwięzione, a ona uciekła.

Ale uśmiech bardzo szybko zniknął z jej twarzy. Zobaczyła je. Zatrzymała się, nie mogła oddychać. Ali i Meg. Oparte o jej samochód, jakby czekały tam od wieków. Ali przeczesywała palcami jasne włosy, Meg przyglądała się paznokciom swojej lewej ręki. Ty szła do nich przez parking, przytrzymując w górze dół swojej tuniki.

- Nie! - Cały strach powrócił. To było jak walka z morskim żywiołem: oparłeś się jednej fali, tylko po to, by pokonała cię kolejna, groźniejsza i bardziej potężna. Em upadła na ziemię. - Dobra! - wrzasnęła. - Dopadłyście mnie. Możecie się mścić. Róbcie, co musicie. Słyszycie? Powiedziałam, że możecie mnie zabić.

Ali patrzyła na nią dziwnym wzrokiem. Odrzuciła włosy do tyłu.

- Ale my wcale nie chcemy cię zabić - powiedziała. - Poza tym już się zemściłyśmy. - Wskazała znacząco za siebie.

Em spojrzała. Za jej samochodem był drugi, pusty. Stał krzywo, jakby kierowca porzucił go w pośpiechu.

Natychmiast go rozpoznała. Było to sfatygowane niebieskie volvo JD.

Spojrzała z powrotem na Ali, Meg i Ty.

- Co jest grane? Wykiwałaś mnie - powiedziała do Ty, celując w nią palcem i potrząsając nim przed jej twarzą.

- Poszłaś za mną, bo chciałaś żyć - odparła Ty. - To był twój wybór. - Uśmiechnęła się szyderczo. - Do tej pory powinnaś była już się czegoś nauczyć o wyborach.

- Biedna Emily - odezwała się Meg śpiewnym głosem. - Najwyraźniej wcale nie jest taka bystra, jak mówią.

- Tak jest o wiele lepiej, skarbie - dodała wesoło Ali. - Właściwie to idealnie. Bo widzisz, kara powinna być odpowiednia do przewinienia.

Nagle wszystko stało się jasne. Ten krzyk spod rur. Zemsta, jakiej szukały. Boże. JD.

## Rozdział 25

Serce waliło jej jak młotem. JD zostanie zaraz pogrzebany pod warstwą betonu. Udusi się. Zginie. Biegła ile sił w nogach z powrotem na plac budowy. Betoniarka pracowała z warkotem. Wiedziała, że wkrótce zostanie opróżniona.

- Stop! Stop! - krzyczała, wymachując rękami, ale równie dobrze mogłaby być niewidzialna. Robotnik był za daleko. Świst wiatru mieszał się ze śmiechem trzech zjaw. Wreszcie padła na kolana i spojrzała w dół.

Tak. To był JD. Widziała jego włosy i kraciastą koszulę. Leżał bez ruchu, jakieś półtora metra niżej. Jego lewa noga była przygnieciona metalową rurą. Miał otwarte oczy, ale jego wzrok był zamglony. Em nie była pewna, czy ją widział.

- JD. JD - wykrztusiła. - Proszę, JD. Odezwij się. Jestem tu. Boże. JD. Proszę.

Nie odpowiedział. Po prostu leżał. Betoniarka warkotała złowrogo nad jej głową.

To już było pewne. Kara, na którą sobie zasłużyła, to nie śmierć. Tylko złamane serce. Cierpiące po stracie kogoś, kogo kochała.

Furie zamierzały złamać jej serce.

Z jej gardła wyrwał się szloch i ledwo widziała przez łzy. Kręciło się jej w głowie.

Nie. To nie było jej przeznaczenie. Nie zostanie ofiarą. Nie pozwoli, żeby furie wygrały. Napędzana adrenaliną, skoczyła w dół. Podbiegła do JD i napała na rurę z całej siły. Charcząc i dysząc z wysiłku, powtarzała w myślach: Odsunąć rurę. Wydostać JD. Zabrać go stąd. Uratować.

JD jęknął słabo:

- Em?

- Hej. Hej, JD. Jestem. Wyciągnę cię stąd. - Nie odpowiedział. Zobaczyła, że miał rozcięte czoło - rura musiała uderzyć go

w głowę, zanim przygniotła mu nogę. Przyjechał, żeby jej pomóc

albo furie go tu zwabiły. Przeklęła je w duchu. Była tak wściekła, że aż się w niej wszystko gotowało. Czowała do nich nienawiść za to, co jej robiły. Za to, że zwabiły tu JD. To nie była żadna sprawiedliwość, tylko okrucieństwo.

Nie miała pojęcia, czy furie będą na nią czekały, kiedy stąd wyjdzie, ale w tej chwili o to nie dbała. Liczył się tylko JD. Wyciągnie go stąd. Mięśnie bolały ją jak diabli, ale nie rezygnowała. Naparła mocniej.

- Trzymaj się - powiedziała, tak samo do siebie, jak do niego. - Trzymaj się, JD.

Wreszcie się udało - rura zsunęła się z jego nogi. Z wysiłku paliły ją ręce i ramiona. Zauważyła, że JD miał zakrwawione spodnie. Spojrzała na betoniarkę. Wylot bębna na razie był skierowany ku górze. Groziło im, że zostaną pogrzebani żywcem.

Przekreśliła JD na bok, a on skrzywił się z bólu.

- Musimy uciekać. Podniosę cię, dobrze, JD? - Powieki mu drgały i nie odpowiedział, ale wydawało się jej, że lekko sldnął głową.

Złapała jego prawą rękę i zarzuciła sobie na ramiona. Podniosła się najpierw na jedno kolano, a potem wyteżyła wszystkie siły i podźwignęła JD. Trzymając go mocno w pasie, ścisnęła jego nadgarstek przed swoją klatką piersiową. Czowała bicie jego serca. I czowała, jak jej spodnie nasiąkały krwią z jego uda. Zrobiła chwiejny krok naprzód, potem kolejny. Wiedziała, że musi się spieszyć. Był tak wysoki, że jego stopy ciągnęły się za nimi. Nabierała tchu i robiła krok. Ponownie jęknął. Obciążona głównie z jednej strony, miała wrażenie, jakby szła po pokładzie tonącego statku. Wreszcie dotarli do ściany. Nie mogła się wspiąć z nim na plecach. Rozejrzała się. Wkoło było tak głośno i jasno. A chłopak, który zawsze ją chronił, wykrwawiał się na śmierć.

W rogu leżała kupa gruzu; sięgała prawie połowy muru. Dotarła tam po czterech krokach. JD prawie nie reagował, a ona niemal wypluła płuca z wysiłku. Zastanawiała się, czy furie obserwowały ją, rozbawione - czy była to dla nich dodatkowa niespodziewana rozrywka. Odsunęła od siebie te myśli. Trzeba się skoncentrować.

- Musisz mi pomóc, JD - wysapała. - Musisz tak pozostać. - Usadziła go na kupie gruzu jak zepsuta lalkę. Głowa opadła mu na bok. Ujęła czule jego twarz i otarła krew ze skroni. Dopiero teraz zauważyła, w co był ubrany: ciemne džinsy i kraciastą koszulę. Żadnego kapelusza. Żadnej dziwacznej marynarki. Żadnej bluzy z jeleniem. Ubrał się tak specjalnie na imprezę. Chciał wyglądać zwyczajnie. Dla niej. Poczowała bolesne ukłucie w sercu, kiedy to sobie uświadomiła. - JD, posłuchaj mnie. Po prostu tak zostań.

Złapała się rękami krawędzi i podskoczyła. Krawędź wbiła się jej w brzuch, a wciągając się, rozwaliła sobie lewy łokieć. Na kolanach, obcierając je przez dziury, które nagle pojawiły się w jej džinsach, obróciła się z powrotem i spojrzała w dół. Potem położyła się na brzuchu i wyciągnęła do niego ramiona. Krzyczała, nawet nie rozpoznając własnego głosu.

- JD! JD! Jeśli mnie słyszysz, unieś ręce. - Była zdesperowana. - JD... zrobimy to wspólnie, a potem będziemy oglądać to wspaniałe życie, grać w gry planszowe i pływać razem przez całe lato. Będę cię całować. W świetle księżyca, w wodzie i pod dębem, który według twojego taty jest wasz, a według mojego nasz. Proszę, JD, pomóż mi, by to się spełniło. - Bełkocząc, szarpała za kołnierz jego koszuli. Jakimś cudem udało się jej podciągnąć go na tyle, by uchwycić go pod prawą pachą. Potem uchwyciła go pod lewą. Wreszcie, obejmując jego klatkę piersiową i ciągnąc z całej siły, zdołała go całkowicie podźwignąć. Kocham cię. Pociągnięcie. Kocham cię. Pociągnięcie. Kocham cię. Czoło miała spocone i ciekło jej z nosa.

Głośno skrzypiąc, bęben betoniarki przechylił się; zaczęło się jego opróżnianie. Gęsta, szara masa zaczęła powoli wypełniać pustą przestrzeń, wdzierając się w każdą szczelinę. Pociągnęła mocniej - musiała całkowicie wciągnąć JD. Proszę, modliła się w duchu. Proszę, pozwól mi go uratować. Udało się jej w ostatniej chwili - beton zaczął już pochłaniać jego conversy. Odciągnęła go kawałek, a potem nachyliła się nad nim i zaczęła potrząsać jego ramionami.

- JD - jęknęła, szlochając z ulgi. - JD, całe szczęście. Całe szczęście. Będzie dobrze. Sprowadzę pomoc.



Przyłożyła ucho do jego ust. Oddychał płytko. Sprawdziła mu puls. Bardzo słaby.

Rozejrzała się, spanikowana.

- Gdzie jesteście? - zawołała w przestrzeń. - Dokąd poszłyście? - Była jednocześnie przerażona i wściekła. - Ali! Meg! Ty! Wracajcie! Mówcie! Co teraz?

Zobaczyła je. Kawałek dalej, w mroku. Wszystkie trzy migotały. I Em wiedziała - choć nie miała pojęcia skąd - że zaraz znikną. A kiedy tak się stanie, JD umrze.

- Czekajcie. - Podniosła się chwiejnie, brudna, zapłakana, z krwawiącymi kolanami. - To nie w porządku. Wiecie to. Musicie to wiedzieć. To nie jest żadna sprawiedliwość. To w niczym nie pomaga. Niczego nie uczy. Ali i Meg ledwo było widać. Były już niemal przezroczyste. Ty była najwyraźniejsza. Em widziała białka jej oczu i białe pasemko we włosach. Przeszły ją ciarki. Podeszła do nich i złapała Ty za rękę. - Ty. Proszę. To, co zrobiłaś Chase'owi, to, co robisz mnie, nie ma sensu. To nie w porządku. Nie powinno tak być.

Jej słowa zawisły między nimi niczym kolibry. W końcu, z niemal ludzkim wyrazem oczu, Ty zrobiła krok naprzód, odsuwając się od sióstr.

Wyciągnęła rękę, a kiedy otworzyła dłoń, Em zobaczyła pięć błyszczących czerwonych kuleczek.

Wyglądały trochę jak ikra, trochę jak tabletki.

- Jeśli je połkniesz - powiedziała Ty - ocalisz go. Ale ostrzegam: wszystko ma swoje konsekwencje. Takie są zasady.

Em pojrzała na Ty, potem na kuleczki w jej dłoni, wreszcie z powrotem na JD, który z trudem chwycił powietrze. Wahala się. A jeśli to podstęp? Może te kuleczki były zatrute i umrze, tak samo jak JD?

Pomyślała o obietnicach, jakie mu złożyła. O rzeczach, które mieli robić razem. „Będę cię całować”.

- Jakie konsekwencje? Co to za zasady? - zapytała z sercem w gardle.

- Jeśli to zrobisz, zwiążesz się z nami na zawsze - odparła furia z uśmiechem. - I nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Ani

0 nas. Ani o tej nocy. A jeśli powiesz jemu, co się stało, znowu znajdzie się w niebezpieczeństwie, nawet jeszcze gorszym.

- To co on będzie myślał? - zapytała rozpaczliwie Em. - Co będzie pamiętał?

- To nie powinno cię interesować - ucięła Ty. - Bierzesz je czy nie?

Nie było się nad czym zastanawiać. To był jedyny sposób, by ocalić JD. Musiała spróbować.

Kuleczki były gładkie i zimne jak małeńkie kamyczki. Em włożyła je do ust.

- Połknij - powiedziała Ty. - Wszystkie.

Em połknęła. Miały gorzki smak. Czują, jak przemieszczały się w dół przełyku, a kiedy dotarły do żołądka, poczuła nieprzyjemne palenie.

Nagle usłyszała za plecami szelest JD się poruszył. Zamrugnął oczami, po czym odkaszlnął i wyszeptał:

- Em? - Patrzyła z rozdziawionymi ustami, jak podniósł się na łokciach. Znowu normalnie oddychał. Rozglądał się, dochodził do siebie.

- Boże. - Em odwróciła się, by zapytać Ty, co się stało. Ale jej już nie było. Wszystkie trzy zniknęły. Nie miała czasu, by się na tym zastanawiać, bo wtedy JD ponownie jęknął. Podbiegła do niego i przyklekła. Usiłował usiąść, ale z powrotem opadł na ziemię.

- Już dobrze - powiedziała, z jedną dłonią na klatce piersiowej JD, drugą w jego włosach. - Jestem tutaj.

Chociaż miała dziwne wrażenie, jakby jednocześnie była też gdzie indziej. Powietrze było jakieś ciężkie - czuła jakby swąd

1 zgniliznę.

JD złapał ją za rękę, pytając, co się stało. Patrzyła na niego, łkając i błagając go o przebaczenie.

- Już po wszystkim - szepnęła. - Tak mi przykro, JD. Tak bardzo mi przykro.

## Rozdział 26

Trzy tygodnie później

Marna Gabby zapowiadała łagodną, bezśnieżną wiosnę. Zima zaczęła się wcześniej i wyjątkowo ostro: „Zupełnie jakby coś wisiało w powietrzu”, jak lubiła mawiać Marty Dove. Styczeń wcale nie był cieplejszy - i brakowało śniegu, który mógłby jakoś wynagrodzić te lodowate temperatury. Urządzano różne imprezy, ale Em i Gabby przeważnie siedziały w domu, nakładały odżywki na włosy, oglądały łzawe komedie romantyczne i wertowały katalog Urban Outfitters, planując zakupy. Nie rozmawiały o Zachu, który kontynuował naukę w szkole z internatem w New Hampshire; jego ojczym, który był absolwentem tej szkoły, pociągnął za odpowiednie sznurki, by załatwić mu przeniesienie. Kolegom z drużyny powiedział, że dzięki temu łatwiej dostanie się do Yale. Em wiedziała, że miało to więcej wspólnego z tym, że Zach zawałił matkę. Ale już jej nie obchodziło, co robił Zach i dlaczego; bardzo jej ulżyło, kiedy to sobie uświadomiła.

Odbudowywała swoją przyjaźń z Gabby, spotykała się z Drea i czytała kolejne książki, które od niej pożyczała.

Dreczyły ją koszmary senne. W snach niezmiennie stała nad mroczną otchłanią, która wyciągała po nią swoje macki. Czasami pojawiał się w nich Chase, czasami JD. Czasami Ali, Ty i Meg. Czasami Zach. Niejeden raz budziła się z krzykiem.

Kiedy nie mogła spać, podchodziła do okna i wyglądała na zewnątrz. Widziała tam cienie - może nie tyle widziała, ile wyczuwała. Furie nie stopiły się jak lód. Pozostały zamrożone w jej pamięci.

A co do JD... Żaluzje w jego oknie były zaciągnięte od tamtego wieczoru, kiedy przywiozła go do domu z Potwora. Następnego ranka, po tym jak ocaliła mu życie, zobaczyła, że sznurek między ich oknami się przerwał - pewnie pod wpływem ciężaru sopli lodowych. Wyszedł do szkoły, jeszcze zanim się obudziła - na kółko matematyczne, jak dowiedziała się od jego mamy.

W szkole w ogóle na siebie nie wpadali. Pisała do niego esemesy i mejle; jeśli w ogóle odpowiadał, to zdawkowo.

Starła się to zrozumieć. Wiedziała, że furie musiały sprawić, że wierzył w coś, co nie było prawdą... Tylko w co? Zgodnie z umową nie mogła mu powiedzieć, co naprawdę się zdarzyło. Czuła, że był na nią zły; to wina furii, nie miała co do tego wątpliwości. Tylko co mogła zrobić? Jak miała się wytłumaczyć?

W końcu do niej dotarło, że choć ocaliła mu życie, to go straciła. Łykając te pigułki, dokonała wyboru. Łącząca ich więź została przerwana. Parę razy, kiedy ich spojrzenia się spotkały, patrzył na nią życzliwie, ale już bez tego uczucia co kiedyś. To było takie bolesne.

Furie dostały dokładnie to, czego chciały. Nie pokonała ich -mało tego, związała się z nimi na całe życie, nawet jeśli nie wiedziała, co to tak właściwie oznaczało. A do tego miała złamane serce.

Ale przynajmniej JD żył. I dopóki żył, istniała nadzieja, że może kiedyś znów ją pokocha. Nie mogła się załamywać. To było trochę jak przeciąganie niewidzialnej liny z furiami. A ona ciągle trzymała jej koniec.

Czasem, patrząc na wschodzące słońce, zastanawiała się, czy nie mogłaby naprawić ich relacji.

Powiedzieć mu, co się stało tamtego wieczoru, a także o wcześniejszych wydarzeniach, które do tego doprowadziły. O tym, jak się czuła, kiedy w końcu zrozumiała, że go kocha. Mogłaby mu opowiedzieć wszystko, czego dowiedziała się od Drei. Sprawić, by zrozumiał. A potem...

Właśnie. Co potem? W tym momencie jej rozważania zawsze się urywały. Przepelniała ją tęsknota, niepewność i frustracja. Czasami zastanawiała się, co lepsze: marzenie o nieosiągalnej miłości czy jej utrata?

Właśnie o tym rozmyślała o szóstej rano w pewną styczniową sobotę, kiedy zabrzączał jej telefon.

Wiadomość od Drei:

„Hej, Em - przyjeźdź jak najszybciej. Polowanie czas zacząć”. Em zacisnęła usta. Była zdecydowana.

W jej głowie rozbrzmiewały słowa Ty, często się to zdarzało: „Jeśli to zrobisz, zwiążesz

się z nami na zawsze". Nie wiedziała, jak mocne były łańcuchy, którymi się do nich przykuła, ale zamierzała się z nich uwolnić. Już ona da furiom nauczkę. Dostaną to, na co sobie zasłużyły.

Elitarna szkoła z internatem w New Hampshire. Blondyn o idealnym uśmiechu wychodzi z sali gimnastycznej po treningu koszykówki. Marszcząc brwi, pisze esemes:

„Mam dziś dużo nauki, skarbie. Zobaczymy się jutro”.

Nie chowa telefonu do torby, tylko wysyła kolejną wiadomość. Pod inny numer:

„Cześć, piękna. Zobaczymy się wieczorem? Mam dziś trochę czasu”.

- Co musi zrobić dziewczyna, żeby znaleźć się w twojej książce telefonicznej? - słyszy dźwięczny dziewczęcy głos.

Unosi głowę. Widzi przed sobą superlaskę, która z całą pewnością nie chodzi do jego szkoły.

Zauważyłby ją. I już dawno by do niej uderzył.

Piękna. Wysoka. Blondynka o małym nosku i pełnych ustach, pociągniętych czerwoną szminką.

- Zach - przedstawia się, wyciągając do niej rękę. - Sorry, że jestem taki spocony, wyszedłem właśnie z treningu.

- Wiem, kim jesteś - odpowiada dziewczyna wesoło. - Proszę, to dla ciebie. - Z zalotnym uśmiechem podaje mu delikatny czerwony storczyk.

Chłopak przyjmuje od niej kwiat, zdziwiony, że jest lekki jak piórko.

- Piękna dziewczyna i piękny kwiat? Czym sobie na to zasłużyłem? - Puszcza oczko.

Uśmiech nieznajomej robi się szerszy.

- Myślę, że wiesz.